TYGODNIK DOSTĘPNY RÓWNIEŻ Z KSIĄŻKĄ

Wydanie z książką w cenie 9,90 zł

ILE PO W ZNP I JEGO PREZESIE?

DR PIOTR GONTARCZYK DEMASKUJE KOLEJNE RZEKOME POLSKIE ZBRODNIE NA ŻYDACH, KTÓRYCH NIE POPEŁNIONO

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 14 (332) 2019
8–14 kwietnia
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

NAJWIĘKSZE TAJEMNICE TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ

CZY NA MIEJSCU TRAGEDII PADŁY STRZAŁY?

CZY KTOŚ MÓGŁ PRZEŻYĆ KATASTROFĘ?

CZY BYŁ SERYJNY SAMOBÓJCA?

CZY KTOŚ POWIEDZIAŁ PILOTOM: „ŚMIAŁO, ZMIEŚCISZ SIĘ"?

SKĄD SIĘ WZIĄŁ MIT O SZTUCZNEJ MGLE?

DLACZEGO ZHAŃBIONO PAMIĘĆ GEN. BŁASIKA?

CZY TO BYŁ ZAMACH?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
14
9 772544 269908

eprasa.pl 2761d14f30

CYFROWY POLSAT

Najlepsze filmy, seriale i sport na start

3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

NOWOŚĆ! Oferta dostępna również w TV kablowej w technologii IPTV!

Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. W przypadku telewizji kablowej IPTV należy uwzględnić opłatę za transmisję danych zgodną z taryfą operatora usługi Internet. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Gra o tron" © Home Box Office, Inc. LaLiga Santander, Bundesliga, Serie A TIM i wyścigi Formula 1™ w ELEVEN SPORTS. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl 2761d14l30

Papież – znak sprzeciwu

Jest coś symbolicznego w tym, że 2 kwietnia (a więc w rocznicę odejścia Jana Pawła II) zmarł reżyser Andrzej Trzos-Rastawiecki. W pamięci wielu pozostał jako dokumentalista Karola Wojtyły. W 1979 r. nakręcił „Pielgrzyma" – pierwszy w PRL film zrealizowany poza strukturami państwowymi i opowiadający o pierwszej pielgrzymce papieża do Polski. W 1983 r. powstał jego kolejny dokument – „Credo" – o drugiej pielgrzymce papieskiej. Twórca zmarł, mając 85 lat, a więc w tym samym wieku co jego bohater.

Ta śmierć to signum temporis. Odchodzą powoli ludzie z pokolenia Karola Wojtyły, w dorosłość wkraczają zaś roczniki, które nie pamiętają już jego pontyfikatu. Wraz z tym, niestety, pojawia się zjawisko, o którym mówił na portalu wPolityce.pl ks. prof. Paweł Bortkiewicz: „Po tych kilkunastu latach jesteśmy świadkami radykalnego zaniku pamięci w wymiarze publicznym o Janie Pawle II i jego nauczaniu. To sprawa bardzo bolesna. Z jednej strony, jestem głęboko przekonany, że w pojedynczych osobach, jako świadkach tamtych zdarzeń, ta pamięć trwa, ale coś się dokonuje w pamięci zbiorowej... Niestety, sądzę, że to proces, który jest w jakiejś mierze sterowany politycznie, ale i w samym Kościele powszechnym zaczęło się dziać coś niedobrego w związku z pewną erozją nauczania papieskiego, które do tej pory było czymś stałym". Jeszcze mocniej wyraził to ks. Arkadiusz Nocoń, który odprawiając mszę przy grobie papieża, powiedział, że dziś próbuje się pisać życiorys Jana Pawła II palcem Belzebuba.

Świętość ma to do siebie, że zawsze wywołuje wściekłość sił demonicznych. Nieprzypadkowo kard. Karol Wojtyła swe rekolekcje watykańskie w 1976 r. zatytułował „Znak sprzeciwu". Tak rozumiał jedną z ról Kościoła we współczesnym świecie, popadającym co jakiś czas w szaleństwa nowoczesnych utopii. Sam również był takim znakiem sprzeciwu wobec „cywilizacji śmierci", „zakamuflowanego totalitaryzmu", „dyktatury relatywizmu". Pozostaje takim znakiem także po swym odejściu, co tłumaczy wiele dzisiejszych ataków na pamięć o nim.

Jestem jednak przekonany, że jego świętość przetrzyma próbę czasu, pozostawiony zaś dorobek duchowy i intelektualny okaże się w przyszłości jeszcze bardziej aktualny niż za jego życia.

1 kwietnia byłem w bazylice św. Piotra przy grobie św. Jana Pawła II. Widziałem nieprzebrane rzesze pielgrzymów, które tłoczyły się tam, by choć przez chwilę pomodlić się w tym miejscu. Cześć dla polskiego papieża wciąż trwa w prostym ludzie, który nadal zachował sensus fidei. Jeszcze wyda ona swe owoce.

Grzegorz Górny

SIECI spis treści

32 *Platforma Broniarza*
Stanisław Janecki

35 Trwanie puszczy
Przemysław Barszcz

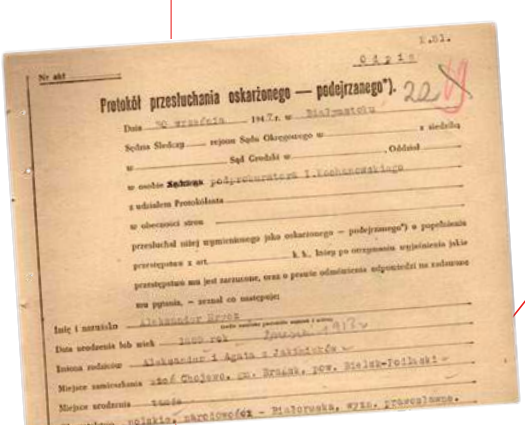
Protokół przesłuchania oskarżonego — podejrzanego").

45 Polskie zbrodnie na Żydach, których nie popełniono
Piotr Gontarczyk

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 RUCH CZWARTEGO TUSKA
Krzysztof Feusette

12 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

14 CHAMPS-ÉLYSÉES CZY WESTMINSTER PALACE?
Jan Pietrzak

15 ŻART AKTUALNY
Bronisław Wildstein

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 WOLNOŚĆ, SPRAWIEDLIWOŚĆ I KONSEKWENCJA
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY
Dorota Łosiewicz

19 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

20 FELIETONY
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 TAJEMNICE 10/04
Marek Pyza, Marcin Wikło

30 MYŚMY WSZYSTKO ZAPOMNIELI?
Maciej Pawlicki

KRAJ

32 PLATFORMA BRONIARZA
Stanisław Janecki

35 TRWANIE PUSZCZY
Przemysław Barszcz

40 ZE ZBIGNIEWEM KUŹMIUKIEM
rozmawia Michał Karnowski

45 POLSKIE ZBRODNIE NA ŻYDACH, KTÓRYCH NIE POPEŁNIONO
Piotr Gontarczyk

49 Z PAWŁEM MUCHĄ
rozmawia Marcin Fijołek

52 PODGLĄDANIE CUDZEJ NUDY
Krzysztof Feusette

SIECI KULTURY

55 CZY TO KONIEC MITU BONNIE I CLYDE'A
Łukasz Adamski

58 MUZYKA WZRUSZEŃ I REFLEKSJI
Adam Ciesielski

59 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

60 Z PIOTREM CHOMICKIM
rozmawia Dorota Łosiewicz

62 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

64 POLECA I ODRADZA
Łukasz Adamski

OPINIE

66 Z TOMASZEM SZAFRAŃSKIM
rozmawia Wojciech Biedroń

ŚWIAT

69 NA WSCHODZIE BEZ ZMIAN
Konrad Kołodziejski

72 FRANCJA AUTORYTARNA?
Aleksandra Rybińska

75 CUD PURIMOWY I POLSKA
Jan Rokita

GOSPODARKA

80 ZAKLINAJĄ SPOWOLNIENIE GOSPODARCZE
Janusz Szewczak

IMPRESJE

86 CHŁOPCY NA ŁĄKACH
Krzysztof Logan Tomaszewski

KUCHNIA

88 MOJE SMAKI: WOJCIECH ŻOŁĄDKOWICZ
Jolanta Gajda-Zadworna

89 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 POLSKA DEWIZA NARODOWA
Wojciech Reszczyński

91 FELIETONY
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 HORDY IGNORANTÓW
Wiktor Świetlik

93 PO ŻYCIE SIĘGNĄĆ LEPSZE
Aleksander Nalaskowski

94 SPRAWA PROF. CHAZANA
Jan Pospieszalski

95 FELIETONY
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 PRZECIEKI KONTROLOWANE
Ryszard Makowski

97 NON OMNIS MORIAR
Leszek Długosz

98 NIEMCY JAK ZAMUROWANI
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

14/0319/F | 14/0319/F

partner działu gospodarka
Bank Pekao
eprasa.pl 2761d14f30

Mistrzowska Bankowość Korporacyjna

Realizujemy transakcje kluczowe dla przedsiębiorstw i rynku finansowego w Polsce

850 mln EUR
Kredyt konsorcjalny
Pekao: Organizator, Agent Zabezpieczeń, Pierwotny Kredytodawca
Strategiczne finansowanie dla jednej z największych firm przemysłu chemicznego w Europie

2,75 mld PLN
Wezwanie na akcje Synthos – finansowanie i doradztwo
Pekao: Organizator, Agent Zabezpieczeń, Pierwotny Kredytodawca
PIB: Doradca w zakresie rynków kapitałowych, Podmiot Pośredniczący
Największe wezwanie w historii GPW, sfinansowane w całości polskim kapitałem

2,7 mld PLN
Kredyt konsorcjalny
Pekao: Bookrunner i MLA
PIB: Doradca M&A dla CVC przy przejęciu sieci sklepów Żabka
Finansowanie największego przejęcia w sektorze handlowym w Polsce w 2017 r.

2,5 mld PLN
Obligacje 3-letnie
Pekao: Organizator, Dealer
Największa w historii polskiego rynku emisja obligacji nieskarbowych przeprowadzona przez jednego dealera

350 mln EUR
Kredyt konsorcjalny
Pekao: MLA, Agent Zabezpieczeń
Rekordowe finansowanie budowlano-inwestycyjne 3 budynków Varso Place w centrum Warszawy

1,15 mld PLN
Wezwanie na akcje
PIB: Kompleksowe doradztwo i pośrednictwo przy wezwaniu Goldman Sachs Group na 100% akcji Robyg S.A.
Największe przejęcie dewelopera mieszkaniowego w Polsce i jedno z największych w historii GPW wezwań na spółkę z sektora

Ponad 1 mld PLN
Kredyty budowlane, inwestycyjne i VAT
Pekao: Wyłączny kredytodawca
Magazyny realizowane przez Panattoni w wielu lokalizacjach

221 mln EUR
Kredyt konsorcjalny
Pekao: MLA, obsługa rachunków
Finasowanie budowy The Warsaw HUB

930 mln PLN
Kredyt konsorcjalny
Pekao: MLA
Refinansowanie i finansowanie budowy sieci światłowodowych

300 mln PLN
Obligacje 5-letnie
Pekao: Organizator
PIB: Oferujący
Największa emisja dewelopera mieszkaniowego w historii polskiego rynku kapitałowego

294 mln PLN
SPO
PIB: Globalny Współkoordynator i Współzarządzający Księgą Popytu przy sprzedaży i emisji akcji
Jedna z największych transakcji na rynku akcji w Polsce

259 mln PLN
Kredyt konsorcjalny
Pekao: MLA, Agent kredytu, Agent Zabezpieczeń
Resi4Rent
Finansowanie nowatorskiego projektu budowy mieszkań na wynajem w konsorcjum z PZU

EUROMONEY BEST SERVICE TRADE FINANCE 2019
EUROMONEY MARKET LEADER TRADE FINANCE 2019

Bank Pekao S.A. liderem rynku finansowania handlu z najlepszą ofertą w Polsce – w opinii klientów (badanie Euromoney edycja 2019)

BEST INVESTMENT BANK AWARD 2019 GLOBAL FINANCE

Trzeci rok z rzędu Najlepszy Bank Inwestycyjny w Polsce według Global Finance (edycja 2019)

Bank Pekao
Bankowość Korporacyjna i Inwestycyjna

Pekao Investment Banking

Pekao Leasing

Bank Polska Kasa Opieki Spółka Akcyjna (Pekao) z siedzibą w Warszawie, ul. Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa, wpisany do rejestru przedsiębiorców w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, KRS: 0000014843, NIP: 526-00-06-841, REGON: 000010205, wysokość kapitału zakładowego i kapitału wpłaconego: 262 470 034 zł.

Pekao Investment Banking S.A. (PIB) z siedzibą w Warszawie, ul. Żwirki i Wigury 31, 02-091 Warszawa, wpisany do rejestru przedsiębiorców w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, KRS: 0000149937, NIP: 525-22-56-380, REGON: 015334494, wysokość kapitału zakładowego i kapitału wpłaconego: 225 141 851 zł.

eprasa.pl 2761d14f30

Sygnalista nadaje

„2015 r.: PO, PSL, SLD i .N to 6,7 mln głosów, PiS to 5,7 mln. Idą teraz łeb w łeb w sondażach. Liczby nie kłamią. To jest ocena złej kondycji opozycji i relatywnie dobrej PiS po ponad trzech latach rządzenia" – stwierdził politolog prof. Norbert Maliszewski i trudno nie przyznać mu racji. Ale dla dziennikarzy to fatalna wiadomość: skoro najspokojniejsza w historii kampania PiS przynosi mu efekty, to będzie jeszcze spokojniej. Czytaj: nudno.

PiS będzie promowało piątkę Kaczyńskiego, a w jej ramach „jarkowe", czyli trzynastą emeryturę. Piękne określenie zadomowiło się już w mediach publicznych i pewnie tak zostanie. W „Wiadomościach" jedna z pań w wieku senioralnym nie kryła zachwytu: „Niech będzie »jarkowa«, niech będzie »Kaczyńska«, ale to Jarek dał! Brawo tylko bić i wszyscy emeryci powinni wyjść z flagami i dziękować mu za to!". Cokolwiek by mówić, to jednak przeważy i da PiS władzę. Bo LGBT+ do garnka nie włożysz.

Piątkę Kaczyńskiego skrytykował Leszek Balcerowicz. „Wprowadzenie w życie tych gigantycznych obietnic PiS, kosztujących 40 mld rocznie, musi dać złe skutki, wzrost zagrożenia, wzrost zadłużenia. Nie ma wątpliwości, że to jest złe dla naszych perspektyw" – grzmiał ostatnio. To człowiek, który wciąż nie przerobił ani kryzysu lat 30., ani kryzysu roku 2008. On nie powinien się zajmować ekonomią, to zbyt niebezpieczne dla ludzi.

Opozycja pomaga PiS, jak umie. Poseł Nowoczesnej Jerzy Meysztowicz zaatakował dziennikarza TVP za wpiętą w klapę marynarki miniaturkę narodowej flagi. „Jeżeli ten program ma mieć chociaż pozór neutralności, to nie chciałbym, żeby pan w studio obnosił się ze znakiem, który kojarzy pana z PiS" – rzucił śmiało. A na uwagę, że to tylko polskie barwy, odpowiedział: „Wiemy, o co chodzi, i nie udawajmy głupa". PiS nie może przegrać, bo jak może przegrać partia, która nawet w oczach opozycji jest emanacją narodu i państwa?

Posłanka Koalicji Obywatelskiej Kamila Gasiuk-Pihowicz i były skarbnik Nowoczesnej Michał Pihowicz rozwodzą się – poinformował „Fakt". „Kamila powiedziała, że jak zdobędzie mandat, to zabiera dzieci i przeprowadza się do Brukseli" – mówi koleżanka Gasiuk-Pihowicz w rozmowie z tabloidem. Sama zainteresowana nie udziela w tej sprawie komentarza, słusznie apelując o uszanowanie prywatności. Ale losy Nowoczesnej i jej ludzi warto studiować, choćby jako ostrzeżenie dla tych wszystkich, którzy sądzą, że polityka to w sumie prosta sprawa.

Mocno się stara także ***Róża Thun***, europosłanka PO. Podczas spotkania z wyborcami podzieliła się z nimi taką oto refleksją, nie ukrywając przy tym wielkiej wesołości: „Jechałam ostatnio z lotniska taksówką i kierowca miał na lusterku powieszony różaniec. I ja od razu myślę, że pisior! My kojarzymy katolicką religię z PiS-em!". Ciekawa wypowiedź jak na córkę Jacka Woźniakowskiego. Europa potrafi człowieka i ogłupić, i cofnąć na drabinie społecznej.

Na tym tle ***Rafał Trzaskowski*** prezentuje się odrobinę lepiej, bo zadeklarował, że „ma duży szacunek dla tradycji i dla Kościoła". Zaatakował jednak episkopat za rzekome „wpisywanie się w tezy pisowskiej propagandy". Chodzi oczywiście o sprzeciw Kościoła wobec tzw. Karty LGBT+. Zdaniem Trzaskowskiego edukacja seksualna nie jest głównym celem karty, a jednym z jej elementów, na którym „skoncentrował się PiS". Być może, ale jedno warto przyjąć i utrwalić w głowie, panie prezydencie: wara od naszych dzieci!

Według medialnych doniesień, opuszczając wynajmowaną przez lata leśniczówkę w Puszczy Białowieskiej, Włodzimierz Cimoszewicz pozostawił po sobie ruinę. Miał powyrywać framugi w drzwiach, gniazdka, a nawet zerwać boazerię. „Demontaż przedstawiany jako demolka należał do oczekiwań nadleśni-

epras.pl 2761d14f30

ctwa! Za cenę kłamstwa chce się zrobić ze mnie człowieka nieuczciwego" – odpowiedział na zarzuty były premier, dodając, że „zabrał tylko swoje rzeczy". Niektóre sprawy siedzą jednak głęboko w genach.

Cimoszewicz jest warszawską jedynką Koalicji Europejskiej. Dlaczego walczy o mandat? Bo nie może znieść tego, co dzieje się w kraju. „Blisko cztery lata bezprawia, pogardy dla milionów ludzi, ich praw i wolności, dla demokracji i zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Cztery lata rządów łapczywych nepotów, niekompetentnych karierowiczów i kolesiów, lekkomyślnego braku odpowiedzialności za państwo, jego bezpieczeństwo i jego przyszłość" – twierdzi, dodając, że „w takiej sytuacji prawo do spokojnego odpoczynku nie istnieje". Tyle mocnych słów, a sens przecież jasny: zabrali leśniczówkę.

Po mocne słowa sięga również ***Adam Bodnar***, rzecznik praw obywatelskich. „W kontekście wydarzeń w Polsce, szczególnie w ciągu ostatnich lat, poczucie strachu zaczyna być jednak dominujące. Nawet jeśli osoby pełniące określone urzędy nie nazywają tego uczucia po imieniu, to trudno nie zauważyć jego występowania. Strach coraz bardziej przenika nasze życie publiczne" – alarmuje, oskarżając obóz rządzący. Ten facet jednak nie ma odwagi. Gdyby miał, zająłby się tymi środowiskami, które naprawdę terroryzują inaczej myślących. Np. sędziami, nauczycielami akademickimi, artystami. Zamiast tego zwyczajnie zmyśla.

Gerald Birgfellner, biznesmen, który nagrywał ***Jarosława Kaczyńskiego***, udzielił obszernego wywiadu „Gazecie Wyborczej". Widać wielki wysiłek redakcji, by różne zwody Austriaka ułożyć w miarę spójną całość. Ale nie wyszło. Bo jeśli np. Austriak twierdzi, że „w końcu lutego 2018 r. zadzwoniła pani Basia z informacją, że ksiądz [Sawicz] przyjeżdża i ma przynieść pieniądze", to wiadomo, że to wymysł. Sam pomysł z rzekomą kopertą brzmi egzotycznie, ale twierdzenie o poleceniu telefonicznym to już intelektualna bandyterka.

Birgfellner opisuje też swój dorobek: „Jestem menedżerem projektów. Zbieram ludzi i koordynuję ich pracę, by zbudować inwestycję. Moim najsłynniejszym dzieckiem jest największy w Europie outlet Parndorf w Austrii. Budowałem biurowce, centra handlowe, w Polsce pracowałem wcześniej we Wrocławiu. Przerabialiśmy tam małą galerię handlową". Osiągnięcia może i godne szacunku, ale jednak nie tak wielkie jak sugerowano lub sam sugerował. Bo trudno uznać budowę outletu, nawet wielkiego, za budowlę szczególnie prestiżową.

Austriak opowiada także o poszukiwaniu odpowiedniego banku. „Podczas jednej z rozmów z zapytałem Kaczyńskiego, czy ma jakiś ulubiony bank. W Austrii znam ludzi z kilku banków, w Polsce nie orientowałem się dobrze na tym rynku. Kaczyński powiedział, że Pekao SA i może mnie z nimi skontaktować. Zgodziłem się" – relacjonuje. To kuriozalne twierdzenia, bo jednym z atutów Austriaka miała być możliwość skorzystania z zagranicznego kredytu, by w ten sposób zdjąć ze sprawy kontekst polityczny; krajowy kierunek poszukiwań był wynikiem jego klęski na rynku europejskim.

W czasie rozmowy Birgfellner konsekwentnie przedstawia się także jako osoba wręcz naiwna, która nie miała nawet pojęcia o roli, jaką w Polsce odgrywa Jarosław Kaczyński, w co na marginesie trudno uwierzyć. Z drugiej strony, pytany o to, kiedy zaczął nagrywać prezesa PiS, odpowiada: „Co jakiś czas coś nagrywałem. Miałem poczucie, że muszę mieć coś w ręku, bo inaczej będzie po mnie". Mimo wysiłków redaktorów zapachniało cwaniaczkiem w typie szopenfeldziarza.

Biznesmen deklaruje, że się nie podda. „Kocham Polskę, lubię Warszawę i polską prowincję. Polska jest wspaniała, tkwi w niej olbrzymi potencjał, daje mnóstwo możliwości. Może być jednym z głównych krajów Europy. Teraz, gdy skończę zeznania w prokuraturze, pójdę na urlop. Muszę odpocząć, a potem kontynuować walkę o sprawiedliwość" – deklaruje. Ma prawo, ale musi pamiętać, że w państwie prawa za puste faktury nikt nie płaci.

Warszawę sparaliżowało kilkuset członków AgroUnii. Na kilka godzin zablokowali Aleje Jerozolimskie, jedną z dwóch najważniejszych ulic stolicy. Nie jeździły tramwaje ani autobusy. Szef organizacji Michał Kołodziejczak nie krył satysfakcji, dowodząc, że „mała liczba osób może zrobić megautrudnienia w Warszawie". Może, bo ma wsparcie stołecznego ratusza, który zgodził się na ten kuriozalny przemarsz Alejami. Czyżby to był kolejny pomysł na podkręcenie atmosfery w kraju? Na to wygląda.

„Wiadomości" TVP protest AgroUnii pokazały, ale pojechały też na wieś, by pogadać z rolnikiem, który do Warszawy nie przyjechał. Chłop ponarzekał na ceny nawozów sztucznych, a na pytanie, dlaczego nie maszeruje Alejami, ale jeździ traktorem, odpowiedział krótko: „Co tam protestować, trzeba robić!". Numer stary, ale zawsze dobry. I trudno chłopu odmówić racji.

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 2761d14f30

Ruch czwartego Tuska

KRZYSZTOF FEUSETTE

Kochani, wróciłem. Jestem. Zresztą przez cały czas z wami byłem, bo w końcu kto za tym Franzem chodził, żeby czymś przyłożył, kto Jeana-Claude'a ze schodów zbierał, jak mu się wirus filipiński włączał? Dziękuję, nie trzeba. Nie czas teraz na brawa i owacje, przed nami długi marsz. Droga powrotna. Pięknie mówi Agnieszka Holland, że powinno być tak, jak było. Ale niepotrzebnie się tego wstydzi. Ten list poparcia wysłany przez reżyserów, a potem informacja, że nikt tak naprawdę niczego nie podpisywał, bo wystarczyło nie odpowiedzieć, by zostać dopisanym, no, kochani moi, po co nam takie historie? Pani Agniesiu, tu się wstydzić nie ma czego. Jak mnie nagrano, kiedy mówię o jakimś pisowcu per „pisior", to czy ja się wstydziłem? Czy dostrzegliście w moich słowach albo działaniach choćby okruszek wstydu? A po Amber Gold? A po reprywatyzacji w Warszawie? Po OFE? Po raportach o głodnych dzieciach? Może po Smoleńsku? Kto widział we mnie wstyd, niech podniesie rękę... Tak, słucham, pośle Szczerba? Siku? Aha, no tak, słyszałem o pana problemach, proszę, niech pan idzie. I nie wraca. Pańskim kolegom faszystowskie bojówki toalety przenośne pod oknami podpalają, a pan przedkłada ciśnienie na pęcherz ponad ciśnienie na sukces? Proszę – won.

Jak ktoś jeszcze musi za potrzebą, to proszę bardzo. Miejsc na listach wyborczych nie ma zbyt dużo, więc i tak wielu z was zrobi za chwilę w gacie z wrażenia, jak nowocześnie będziemy tej jesieni maszerować. Wybory europejskie już pokazały, że możemy pójść w zasadzie z każdym, tylko nie z pisiorami. O, widzicie – znowu się nie wstydzę. Z każdym. Bo nasza partia taka właśnie jest. Potrafiliśmy, tak, wiem – to przede wszystkim zasługa Grzegorza, któremu należą się, mimo wszystko, mimo wielu błędów i braku charyzmy, no – zresztą sami wiecie, kim Shrek nigdy nie będzie, wielkie oklaski, dobra – wystarczy. Szkoda, że nie ma go dzisiaj z nami, ale nie chcieliśmy go niepokoić w czasie zasłużonego urlopu, na którym pewnie i tak nie ma zasięgu. No nic, Grzesiu zrobił swoje, Grzesiu może wyjechać. Myślę, że wielokrotnie przyjdzie nam jeszcze współpracować, przede wszystkim na boisku, przy wspaniałych akcjach, jakie ten niepozorny chłopak potrafi przeprowadzać lewym skrzydłem.

Jeszcze bardziej cieszę się z tego, że jest z nami Robert. Kochany, pokaż się! Brawa dla tego przystojniaka, który udowodnił, że nawet w Słupsku, jak się dobrze pogrzebie, jest co robić. Piękne boa, Robercie, dzięki, że jesteś, bo jakby cię nie było, musiałbym cię wymyślić. Muszę wam, kochani, zdradzić, że Robert przyjął ode mnie propozycję utworzenia przy Radzie Ministrów zakładu fryzjerskiego, który obsługiwałby naszych członków oraz członkinie. W nowoczesnej Europie nie ma miejsca na stylistyczną partyzantkę, jak u niektórych na tej sali. Tak, tak, do pana mówię, panie Misiło, skończą się pana ekstrawagancje, jeśli nadal chce pan prowadzić rozgrzewkę przed posiedzeniami naszego klubu w Senacie, bo w tej właśnie roli mam pana zapisanego na kartce przez koleżankę Lubnauer. Gdzie pani jest, pani Kasiu? Niechże się pani pokaże! A czemu tak nieśmiało? Płacze pani? Co się stało? Jaki Rysiek? Aha, rozumiem. Nieprzyjemna sprawa. Panie Ryszardzie, czy jest pan tutaj?! Czy ktoś widzi pana Ryszarda?! Jak to – pod biurkiem? Panie Rysiu, a co pan tu robi? Dobrze, spokojnie, bo się pan zapowietrzy. Co pan zrobił pani Kasi? A czemu pan jej pokazał? Tak, wiem, że język tylko, ale czy to ładnie? A ja miałem pana kiedyś za prawdziwego liberała. Żeby pan wiedział, jak oni w tej Brukseli w pana wierzyli. Pan był ich przedostatnią nadzieją, a dzisiaj – co? Zgniłe jajco, panie Rysiu. Koalicję pan popierał, chociaż i pani Kamilka, i pani Kasia już raz pana z siodełka wysadziły. Na Wiosnę pan głosował, chociaż Koalicję popierał. Podpisać się pan nie umie nawet na dokumencie, nazwę partii taką pan wymyślił, że ani pan, ani te pana Joanny nie potrafią jej zapamiętać. Nie mówię, że wszystko jest źle. Fajnie pan sobie radził jako ten stand-uper, co to coś śmiesznego powie, albo bez sensu, albo się wywróci, albo łbem w coś przywali, no, ale to już jest dzisiaj passé. Ja nawet miałem dla pana propozycję programową, ale w tej sytuacji, gdy pan tu język pokazuje, to ja nie wiem, czy nowy prezes telewizji na to pójdzie. Bo mnie się marzyło, panie Ryśku, żeby pan, jak już wygramy te wybory i damy Lisowi urządzić rzeź na Woronicza, to żeby pan poprowadził wtedy, oczywiście – ze swoją partnerką, coś na kształt „Koncertu życzeń". O, na przykład mecenas Giertych, pokaż się, stary koniu, mógłby napisać parę zgrabnych słów na ręce lidera partii, którą tu za chwilę stworzymy. W imieniu wszystkich prawników poza tymi, których wsadzimy do więzienia. Usiądź już, Roman, bo reflektor zasłaniasz.

To co? Czas na listy kandydatów do Sejmu. Podaję nazwiska, okręgi i numery, ale przede wszystkim apeluję: dość już porażek. Precz z pisowskim bolszewizmem, precz z pisowskim faszyzmem, precz z pisowskim rozdawnictwem. Wszystkie ręce na pokład. Nie można drugi raz przejechać tej samej zakonnicy! Każdy z nas musi w sobie odnaleźć wewnętrznego Niesiołowskiego, ale takiego, który nie da się przekupić fasolką po bretońsku! Każdy musi być Palikotem, ale bez świńskiego ryja i aktu oskarżenia. To były nasze ikony, nasze lokomotywy, nasi kamikadze. Bez takich ludzi, bez ich determinacji w tępieniu pisowskiej szarańczy, bez ich rozsądnego cynizmu i czarującej obłudy – nie wygramy już żadnych wyborów! Proszę bardzo – kto na ochotnika? Wszyscy? Wspaniale!

7/0419/F

eprasa.pl 2761d14f30

Weź udział w unikalnym programie benefitowym

ORLEN

Warto mieć ORLEN W PORTFELU

Program dla Akcjonariuszy Indywidualnych PKN ORLEN

OSZCZĘDZISZ NA PALIWIE AŻ DO 540 ZŁ ROCZNIE

KUPISZ TANIEJ NA STACJACH ORLEN

ZYSKASZ WIEDZĘ O RYNKACH FINANSOWYCH W AKADEMII INWESTOWANIA

OTRZYMASZ CERTYFIKAT SYGNOWANY PRZEZ CFA SOCIETY POLAND

Więcej informacji na www.orlenwportfelu.pl oraz na infolinii pod numerami:
801 167 536 (801 1 ORLEN) 502 167 536 (502 1 ORLEN)

PARTNER PROGRAMU: PKO Dom Maklerski

PARTNER EDUKACYJNY AKADEMII: CFA Society Poland

PARTNER MERYTORYCZNY PROGRAMU: Stowarzyszenie Inwestorów Indywidualnych

Program ORLEN W PORTFELU ani też żaden z udostępnianych komunikatów czy dokumentów na jego temat, nie stanowi oferty sprzedaży ani zachęty do złożenia oferty kupna papierów wartościowych PKN ORLEN S.A.
Publikacja takich materiałów nie oznacza również rekomendowania przez PKN ORLEN S.A. ani przez żaden inny podmiot sprzedaży bądź kupna jakichkolwiek papierów wartościowych, w szczególności papierów wartościowych PKN ORLEN S.A.

eprasa.pl 2761d14f30

Francja – nikt nie broni kościołów

Na przestrzeni ostatnich ośmiu lat dwukrotnie wzrosła liczba profanacji kościołów i innych aktów wandalizmu wymierzonych w chrześcijańskie miejsca kultu we Francji. Według francuskiego dziennika „Le Figaro", który powołuje się na dane Obserwatorium Chrystianofobii, w 2010 r. było ich jeszcze 522, a w 2018 r. już 1063.

5 marca splądrowano kościół katolicki w Reichstett, 7 marca uszkodzono organy w katedrze w Saint-Denis pod Paryżem, 11 marca zniszczono ołtarz w kościele Saint-Louis w Strasburgu, a 17 marca wybuchł ogromny pożar w kościele Saint-Sulpice w Paryżu. Obrazy pożaru obiegły świat.

Niektóre przypadki profanacji są wręcz szokujące. W lutym tego roku tzw. nieznani sprawcy włamali się do kościoła Notre-Dame-des Enfants w Nîmes, gdzie defekowali na ołtarz, a następnie uformowali z fekaliów krzyż, w który wcisnęli hostie. Wierni byli oburzeni, ale rzecznik episkopatu Olivier Ribadeau nie chciał komentować sprawy, bo – jak zaznaczył – „nie chce dolewać oliwy do ognia".

Milczy jednak nie tylko episkopat nad Sekwaną, lecz także papież Franciszek. Brak też chętnych do obrony Kościoła katolickiego w szeregach francuskich polityków, ze znamiennym wyjątkiem centroprawicowej partii Les Républicains i jej przywódcy Laurenta Wauquieza.

Jak podkreśla w wywiadzie dla „Le Figaro" historyk i eseista François Huguenin, w dzisiejszej laickiej Francji bardzo głęboko zakorzeniona jest niechęć do Kościoła oraz wiary. A ta niechęć rośnie wraz z utratą znaczenia i wpływów Kościoła w społeczeństwie. Zaledwie 5 proc. Francuzów to dziś praktykujący katolicy. „Chrześcijanie we współczesnej Francji padają ofiarą przemocy powodowanej nienawiścią do Kościoła za jego dawne wpływy oraz pogardą dla jego obecnej słabości" – wyjaśnia Huguenin. Według niego chrześcijanie są dziś w mniejszości nad Sekwaną, ale wartości, które reprezentują, wciąż stanowią fundamenty społeczeństwa. „To te wartości są atakowane przez sprawców profanacji" – dodaje historyk.

Sami księża uważają, że profanacje wynikają z „niewiedzy, czym jest religia, do czego służy kościół", a nie z politycznych przekonań sprawców. Debaty nie chcą, by „nie drażnić".

Kościół we Francji jest dziś tak zmarginalizowany, że boi się bronić tego, co z niego jeszcze zostało.

Aleksandra Rybińska

Fot. agneswebster/instagram, Shutterstock

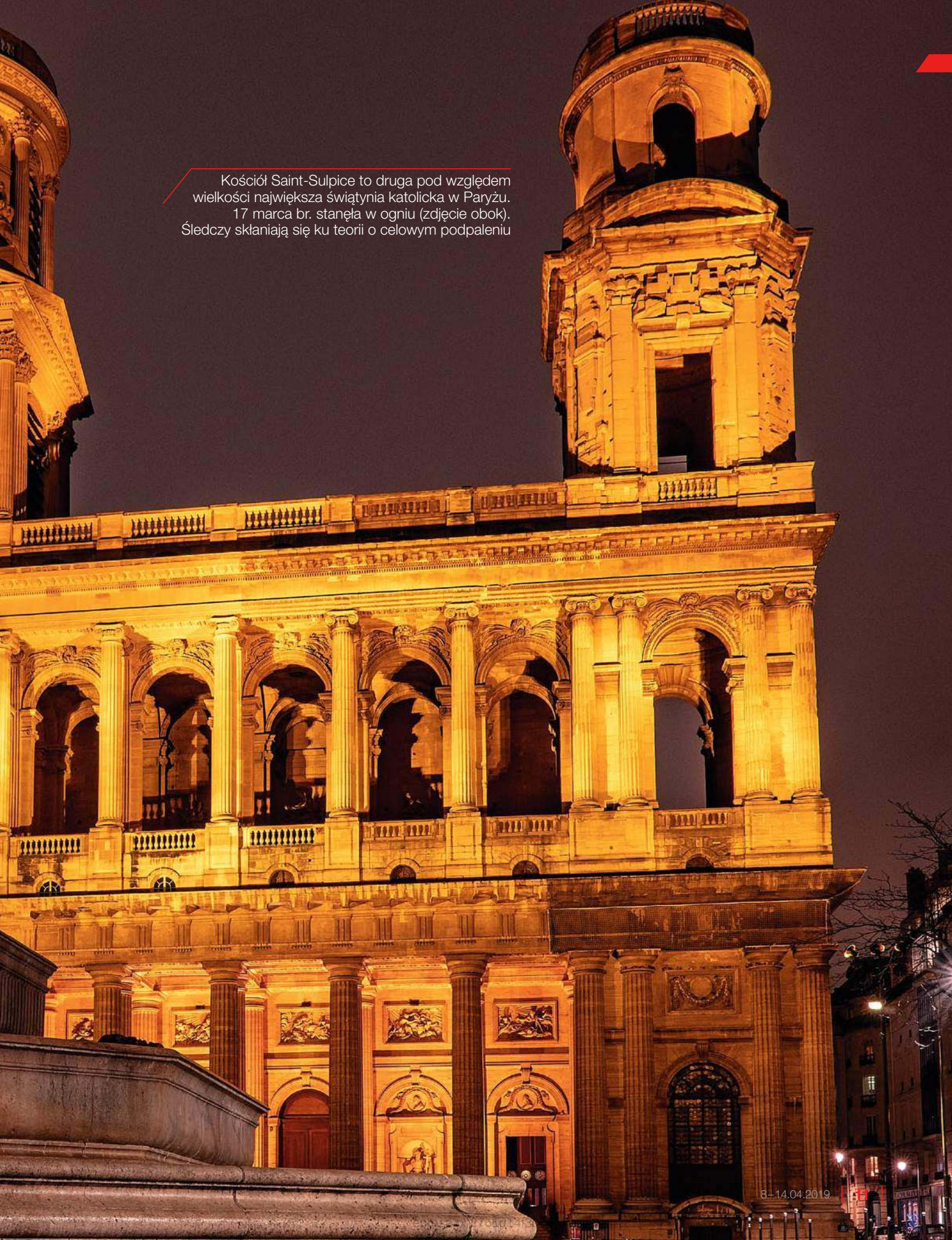

Kościół Saint-Sulpice to druga pod względem wielkości największa świątynia katolicka w Paryżu. 17 marca br. stanęła w ogniu (zdjęcie obok). Śledczy skłaniają się ku teorii o celowym podpaleniu

Turcja

Erdoğan ma kłopoty

„Nie wygraliśmy i straciliśmy pewne miasta" – powiedział prezydent Turcji Recep Erdoğan po ogłoszeniu wyników wyborów samorządowych, które odbyły się w ostatnią niedzielę marca. „Pewne miasta" to eufemizm, chodzi bowiem o osiem z dwunastu największych miast Turcji, w tym dwie najważniejsze metropolie: Stambuł i stolicę kraju Ankarę. To duży cios dla rządzącej Partii Sprawiedliwości i Dobrobytu, również osobiście dla samego Erdoğana, który swoją wielką karierę polityczną rozpoczął w 1994 r. właśnie od zwycięstwa w wyborach samorządowych i objęcia stanowiska burmistrza Stambułu.

Zdaniem komentatorów kluczem do porażki partii Erdoğana była postawa wyborców kurdyjskich. Zwykle Kurdowie opowiadają się za wspierającą mniejszości Ludową Partią Demokratyczną, ale tym razem – aby nie rozpraszać głosów – wsparli w dużych miastach kandydatów opozycyjnego Sojuszu Narodu, bloku wyborczego utworzonego przez socjaldemokratyczną Republikańską Partię Ludową i liberałów z Dobrej Partii. To przechyliło szalę na stronę opozycji i może być zapowiedzią podobnej taktyki w wyborach prezydenckich za cztery lata.

Głównych przyczyn spadających notowań partii Erdoğana należy jednak szukać poza bieżącą polityką. Największe triumfy Erdoğana przypadły na lata gwałtownego wzrostu gospodarczego. Gdy nadciągnął kryzys, część wyborców wycofała poparcie dla obozu prezydenckiego. Spore znaczenie mają też dynamiczne zmiany demograficzne i społeczne. Hossa przyśpieszyła wewnętrzną migrację do dużych miast. Początkowo wzmocniło to konserwatywny islamski elektorat w metropoliach, ale wbrew nadziejom obozu Erdoğana nie było to zjawisko trwałe. Część nowych mieszkańców przeszła proces przyśpieszonej sekularyzacji i liberalizacji. W rezultacie coraz więcej wyborców miejskich, zwłaszcza młodych, głosuje za opozycją.

Jest wreszcie nierozwiązany problem kurdyjski. Kurdowie stanowią dziś czwartą część ludności Turcji. Ich liczba stale rośnie i – według prognoz – w najbliższych dziesięcioleciach może wzrosnąć do jednej trzeciej. Mimo to są oni praktycznie pozbawieni autonomii, licznych działaczy kurdyjskich – wśród nich dziennikarzy oraz prawie setkę burmistrzów kurdyjskich miast – wsadzono za kraty. Istnieje obawa, że dalsze represje mogą doprowadzić do wybuchu poważnego konfliktu wewnętrznego w Turcji.

Tymczasem Erdoğan odpowiada na piętrzące się problemy zaostrzeniem islamskiej retoryki i hasłami o nadciągającej cywilizacyjnej wojnie między muzułmanami a resztą świata. Nie rokuje to dobrze na przyszłość.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock

Włochy

Ostatnia nadzieja w młodzieży

Od dwóch tygodni całe Włochy żyją sprawą gimnazjalistów z miasta Crema, którzy omal nie spłonęli żywcem zamordowani przez niejakiego Ousseynou Sy, Senegalczyka z włoskim obywatelstwem. Przypomnijmy, że czarnoskóry kierowca porwał pojazd, którym przewoził 50 uczniów, a potem rozlał w nim benzynę i podpalił. W ostatniej chwili udało się zapobiec tragedii i uratować pasażerów. 14 trafiło do szpitala, w tym 12 dzieci.

Akcja ratunkowa nie byłaby możliwa, gdyby nie 13-latek egipskiego pochodzenia Ramy Shehata. Gdy zamachowiec, grożąc nożem, kazał wszystkim oddać telefony komórkowe, on ukrył aparat. Poprosił kolegów, by zachowywali się głośno, a sam, korzystając z hałasu i chowając się za siedzeniem, zadzwonił po karabinierów. Gdyby ci ostatni przybyli później, nie skończyłoby się tylko na poparzeniach. Na wieść o okolicznościach wydarzenia minister spraw wewnętrznych Matteo Salvini w trybie ekspresowym polecił przyznać młodemu Egipcjaninowi włoskie obywatelstwo.

Drugim chłopcem, który również nie oddał swej komórki, by zadzwonić po pomoc, był mały blondyn Riccardo. Ramy okazał się od niego jednak trochę szybszy. Kolejnym bohaterem stał się inny z nastolatków, który dobrowolnie zaoferował się porywaczowi jako zakładnik, gdy ten zagroził, że wysadzi w powietrze autobus.

Kamera filmująca ucieczkę dzieci z płonącego pojazdu zarejestrowała z kolei jednego z gimnazjalistów krzyczącego ze wszystkich sił: „Kocham cię! Kocham cię!". Dziennikarzy zaintrygowało zachowanie chłopca, dlatego postanowili go odnaleźć. Zagadkowym uczniem okazał się 12-letni Guglielmo. Z rozpromienioną twarzą opowiedział, że w najbardziej krytycznym momencie zaczął się modlić o ocalenie dla siebie, swoich kolegów i nauczycieli. Wyjaśnił, że kiedy udało im się w końcu uratować, zaczął krzyczeć na cały głos: „Boże! Kocham cię!".

Niektórzy komentatorzy piszą, że w takich właśnie nastolatkach jest cała nadzieja Włoch.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 2761d14f30

USA

Film, który budzi strach

6 mln dol. w weekend otwarcia zarobił film „Unplanned", mimo że jest pokazywany tylko w tysiącu kin w USA. To drugi najlepszy wynik otwarcia tzw. christian movies po „Bóg nie umarł 2" (ponad 7 mln dol.).

Film twórców „Czy naprawdę wierzysz?" opowiada historię Abby Johnson (w tej roli Ashley Bratcher), aktywistki pracującej dla giganta aborcyjnego Planned Parenthood. Johnson była dyrektorką jednej z klinik w Teksasie. Obserwując codziennie obraz dzieci na monitorach USG, zaczęła mieć wątpliwości i zrozumiała, że nie ma do czynienia ze „zlepkiem komórek", lecz przykłada ręce do zabijania ludzi w ich prenatalnej fazie rozwoju. Dziś jest jedną z najsłynniejszych działaczek ruchu pro-life w USA.

Film o jej życiu od razu zaczął trafiać na trudności. Najpierw dostał w kinach kategorię R, która oznacza, że na seans bez opieki dorosłych mogą wejść tylko osoby powyżej 17. roku życia. Producenci nie lubią tej kategorii, bo bardzo ogranicza wpływy z biletów, dlatego większość filmów z przemocą otrzymuje kategorię powyżej 13 lat. Jednak „Unplanned" dostał taką samą kategorię jak horrory, produkcje z okrutnymi scenami lub pokazujące nagość. Reklamy filmu odmówiły również wszystkie kanały należące do koncernu Discovery (pewnie w Polsce TVN też będzie miał zakaz reklamowania „Unplanned"). Oficjalny powód? „Delikatna tematyka".

Produkcja wywołała wściekłość biznesu aborcyjnego. Planned Parenthood wydało oświadczenie oskarżające twórców filmu o manipulacje. Organizacja założona przez zwolenniczkę eugeniki i rasistkę Margaret Sanger nie zgadza się bowiem z zarzutem, że dokonuje masowo aborcji. Zniknęło również oficjalne konto filmu na Twitterze, jednak tylko na kilka godzin. Przywrócono je po masowej krytyce ze strony użytkowników serwisu i konserwatywnych mediów.

Oczywiście każda kontrowersja i próba cenzury produkcji świetnie wpływa na jej oglądalność. Niektórzy prognozują, że „Unplanned" zarobi w kinach nawet 20 mln dol. (co dla produkcji z tzw. nurtu chrześcijańskiego jest dużą sumą). Zastanawia jednak ostentacyjne blokowanie dystrybucji filmu przez wielki biznes. Rzecz jasna, ma w tym swój interes Planned Parenthood, któremu administracja Donalda Trumpa obcięła hojne dotacje. Jednak inni? Aż tak drażni ich argumentacja byłych aborcjonistów? Tak bardzo boją się świadectwa osoby wywodzącej się z ich kręgów? Kto wie, może producentom filmu udało się znaleźć najlepszą metodę walki z horrorem aborcji?

Łukasz Adamski

Fot. Shutterstock

Profesorowie pod ostrzałem

W połowie lutego, podczas konferencji CDU na temat migracji, politolog prof. Egbert Jahn z Uniwersytetu Goethego we Frankfurcie nad Menem zasugerował stworzenie specjalnych osiedli dla imigrantów. „Powinny one powstać na wyspach lub na terenach trudno dostępnych, żeby ograniczyć mobilność. Tylko na tych wyspach imigranci mogliby otrzymywać świadczenia socjalne oraz żywność. Poza nimi umarliby z głodu" – mówił cytowany przez „Bild" naukowiec. Miesiąc później uczelnia wykreśliła go z internetowego spisu wykładowców. Próżno także szukać politologa w rejestrze wykładów. Według samego zainteresowanego wykreślono go, ponieważ jego wypowiedzi „zostały uznane za szkodliwe dla uczelni". Uniwersytet twierdzi, że wykasował profil Jahna, bo przeszedł on na emeryturę, choć wciąż wykłada.

Przypadek naukowca nie jest odosobniony. Jak pisze „Die Welt", studenci coraz częściej odgrywają rolę cenzorów i terroryzują wykładowców, którzy ich zdaniem łamią zasadę politycznej poprawności. Ofiarami tego terroru padli m.in. politolog Herfried Münkler z Uniwersytetu Humboldta w Berlinie, jego kolega historyk Jörg Baberowski oraz Johannes Varwick, kierownik katedry stosunków międzynarodowych na uniwersytecie w Halle-Wittenberg. W przypadku Münklera grupa skrajnie lewicowych studentów zarzuciła mu seksizm, eurocentryzm oraz imperializm. Założono blog, który monitorował zawartość jego wykładów. „Nieznani sprawcy" zdemolowali jego biuro i namalowali na jego drzwiach czerwoną farbą ciała obryzgane krwią.

Varwick z kolei podpadł lewicowym studentom, gdy zaprosił na jeden ze swoich wykładów byłego generała Bundeswehry. Uznano go za militarystę i od tego momentu nie zaznał już spokoju. Studenci zakleili całe miasto plakatami z portretem politologa ubranego w pikielhaubę. „Bardzo trudno jest w takich warunkach uzyskać środki na badania" – skarży się Varwick w rozmowie z „Die Welt". Baberowski zaś jest już od lat terroryzowany przez grupę trockistowskich studentów, którzy nienawidzą go za jego badania nad stalinizmem. Część z nich stale go śledzi, nawet za granicą, filmując każdy jego krok i występ. Niedawno sąd uznał, że mają oni prawo nazywać go publicznie „prawicowym ekstremistą", nawet jeśli nie jest to zgodne z prawdą. Ma to poważne skutki dla naukowca: uczelnia nie chce udzielić zgody na utworzenie przez niego centrum ds. badań porównawczych nad dyktaturami. Rektorat uczelni nie odpowiada już nawet na jego e-maile.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl 2761d14f30

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Champs-Élysées czy Westminster Palace?

Jan Pietrzak

Pasjonujący show polityczny pod tytułem brexit urządzili nam Brytyjczycy. Na wszystkich wydziałach politologii będzie się ten przypadek przerabiać latami. Takiego nagromadzenia emocji, opcji, zwodów i uników, przy zachowaniu reguł „starej" demokracji, nie widziano od dawna w Europie. Jest to przypadek bardziej skomplikowany niż toczące się w tym samym okresie uliczne zadymy „żółtych kamizelek" przeciwko wyalienowanej władzy. Bo też sytuacja jest bardziej złożona.

We Francji obywatele mają dość złego prezydenta, którego sami, przez pomyłkę, wybrali. W Londynie mają dość władzy Brukseli, której raczej nie wybierali. Manfred Weber, przymierzany na następcę Junckera w kolejnej kadencji UE, jak to butny Niemiec, potraktował poczynania Izby Gmin dość surowo: „To klęska klasy politycznej Wielkiej Brytanii".

Można jednak, patrząc z innej niż niemiecka perspektywy, zauważyć, że chęć opuszczenia Unii Europejskiej przez jedno z najmocniejszych państw jest klęską brukselskiej oligarchii, niemiłosiernie się panoszącej bez poszanowania dla narodowych odrębności i godności. „Dumny Albion" z trudem znosił połajanki Junckera i Tuska. My ze wschodnich rejonów kontynentu, z komunistycznej szkoły przetrwania, słabiej reagujemy na upokorzenia, arogancję, bo nas przez długie lata uczono pokory wobec możnych tego świata. Ale Brytole mają za sobą mocarstwową przeszłość, uwierają ich dyktat i maniery eurokratów, postanowili się więc wycofać z toksycznego związku. Okazało się to niełatwe.

Pojawiła się zupełnie nowa, nieprzewidywana traktatami, sytuacja i zamęt w mediach, w głowach i w partiach. A partie są tam ukształtowane przez JOW-y, co skutkuje brakiem dyscypliny partyjnej. Czyli duża część partii ma prawo nie popierać własnego rządu. To taka ciekawostka pod rozwagę Pawłowi Kukizowi.

Wracając do meritum, należy się zastanowić, czy klęską demokracji jest chaos w Palace of Westminster, czy agresja Macrona wobec demonstrantów na Champs-Élysées przy pomocy policji, sił specjalnych, armatek, pojazdów opancerzonych itp. Otóż teoretycznie biorąc, demokracja funkcjonuje dobrze, gdy ludzie kłócą się w parlamencie, a nie tłuką na ulicach...

Co dziś warte jest słowo

Z aktorem Mateuszem Rusinem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy „Szóstka" to serial z misją?

Mateusz Rusin: Porusza ważny temat. Może pozwoli zwiększyć świadomość dotyczącą oddawania narządów, w tym przypadku nerek. Bez nerki, która komuś ratuje życie, da się żyć, ale oczywiście nie jest to prosta sytuacja. W „Szóstce" mówimy o tzw. przeszczepie łańcuchowym. Wymaga on ogromnej precyzji. Nie tylko na poziomie medycznym. Chodzi też o to, by nikt „z łańcucha" się nie wyłamał.

Tymczasem w grę wchodzą ludzkie dylematy, emocje?

Pokazujemy relacje między bohaterami. Często złożone, komplikujące się w czasie. Ktoś z kimś jest, podejmuje decyzję o przeszczepie, a potem dochodzi do rozstania i co wtedy? Wycofać się z danej obietnicy? Przerwać stworzony już łańcuch? Myślę, że ten serial jest o ludzkich postawach. O tym, co dziś warte jest słowo.

Szóstkę bohaterów oglądamy już na ekranie, a co dzieje się „Pod powierzchnią"?

Zakończyły się zdjęcia do drugiego sezonu (emisja jesienią). Gram w nim policjanta.

Pierwsza mundurowa rola?

Jeśli nie liczyć sutanny noszonej w „Ranczu". Na pewno służba. Cieszę się, że to postać tak inna od tej duchownej, ale też np. od pianisty z „Dziewczyn ze Lwowa". W aktorstwie interesuje mnie poszukiwanie. Otwieranie się na innych ludzi. Na spotkania.

A co z muzyką?

Z powodu „zajętości" daliśmy sobie z zespołem Cukierki trochę przerwy przy drugiej płycie, ale nie wyobrażam sobie, że miałbym nie tworzyć muzyki, nie grać koncertów, nie śpiewać. Nie chcę z tego rezygnować.

Fot. Bartosz Krupa/East News

eprasa.pl 2761d14f30

BRONISŁAW WILDSTEIN

Żart aktualny

Obecnie ofiary ideologicznej inkwizycji nie trafiają na stos, ale konsekwentnie są niszczone publicznie

Nastolatka nie przeszła miejskich eliminacji do Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w Bielsku-Białej. Na FB podzieliła się swoim oburzeniem. Ogłosiła, że od członka jury, aktora, do którego się udała, aby dowiedzieć się o przyczynach swojego niepowodzenia, usłyszała, że „jest piękna i ma piękne ciało", a więc wszystko, co potrzebne do kariery, ale powinna popracować nad dykcją. „Nie zgadzam się, aby młody człowiek, wychodząc na scenę, chcąc uzewnętrznić siebie, padał ofiarą seksizmu. Przedstawiciel środowiska, które zawsze budziło we mnie podziw i fascynacje, splunął mi dzisiaj w twarz brudem, którego nie zdołał, a może nawet nie próbował ukryć za teatralną maską" – egzaltowała się recytatorka.

Sprawę podchwycił z właściwą sobie troską o standardy... no, wiadomo, miejscowy dodatek „GW". Nie zainteresował się, co ma do powiedzenia oskarżony, i błędnie poinformował o zasadach konkursu. Współczuł natomiast „poszkodowanej", że nie było żadnego świadka zajścia. To znaczy był, jej chłopak, który wprawdzie nic nie słyszał, natomiast zauważył, że aktor spoglądał na biust dziewczyny. Jak to w „GW", w kolejnym tekście pojawił się już ktoś, kto podobno słyszał inkryminowaną wypowiedź.

Aktor oficjalnie ogłosił, że jego opinia o występie „poszkodowanej" była delikatna, zaprzeczył, aby użył przytoczonych przez nią słów, niemniej przeprosił, jeśli został błędnie zrozumiany. Jest niski, ma udokumentowane problemy z kręgosłupem szyjnym, nie jest w stanie podnieść głowy do góry. Biust wysokiej dziewczyny w butach na obcasach znajdował się na wysokości jego oczu.

Organizatorzy konkursu zwracają uwagę, że po zakończeniu występów jurorzy spokojnie rozmawiali z wykonawcami i nikt do nikogo zastrzeżeń nie zgłaszał.

Sprawa jednak na tym się nie skończyła. Grono znanych (i nieznanych) przedstawicieli kultury w tasiemcowym „Liście otwartym" postanowiło nadać jej ciąg dalszy.

„Lech Śliwonik, przedstawiając stanowisko Zarządu Głównego Towarzystwa Kultury Teatralnej, wyraża opinię, że zarzuty opierające się wyłącznie na słowach osoby pokrzywdzonej nie powinny być przedmiotem publicznej debaty. Taka postawa zamyka możliwość przeciwstawiania się seksizmowi i innym formom przemocy, których jedynym świadkiem jest najczęściej osoba doznająca krzywdy. Tego typu publiczne wypowiedzi przyczyniają się w istocie do legitymizacji przemocy, poniżenia ofiar i są próbą zamknięcia publicznej debaty, dzięki której możemy zmieniać społeczną praktykę".

Celem jest więc rewolucja obyczajowa („zmiana społecznej praktyki"), a konkretna sprawa i jej bohaterowie są tylko pretekstem i, jak to w rewolucji, zarówno oni, jak i normy sprawiedliwości oraz przyzwoitości nie mają znaczenia. Dobrze nawet jeśli staną się ofiarą – zarówno ludzie, jak i reguły – ustępując miejsca nowym, których nadzorować będą rzecznicy emancypacji. Dlatego sygnatariusze listu są przeciw zasadzie domniemania niewinności. W sprawach ideologicznych, a każda może taką być, zwłaszcza pomówienia o „seksizm", niewinności trzeba dowodzić. Paskudny nowotwór językowy, jakim jest wymieniony termin, zakłada przecież akceptację tez feministycznej ideologii. Niestety, bezmyślnie powtarzany jest przez coraz szersze rzesze.

Autorzy listu cechują się świadomą i twardą, ideologiczną wiarą. Czytając ich listę, na której znajdują się takie tuzy rzetelności i bezstronności, jak Agnieszka Holland, Agata Diduszko-Zyglewska czy Jacek Dehnel, przestajemy się dziwić.

Oni nie potrzebują dowodów, pomówiony aktor został już przez nich skazany, a egzaltowana pannica, która dzięki sprawie zaistniała – apoteozowana. „Uważamy, że słowa jurora naruszają zasady dobrego współbycia, etykę zawodową oraz są rażącym przykładem wykorzystania pozycji władzy. Wierzymy Aleksandrze Burdzińskiej. Wspieramy całym sercem postawę jej, Mateusza Wardyńskiego i ich kolegów".

Sygnatariusze piszą o sobie skromnie „My, ludzie kultury". Powinni pisać: my, ludzie wiary. Jakiej? A no takiej, która w imię górnolotnych frazesów niszczy ludzi. Żyjemy w czasach łagodnych. Obecnie ofiary ideologicznej inkwizycji nie trafiają na stos, ale konsekwentnie są niszczone publicznie.

Holland była kiedyś miłośniczką Kundery, jedną z jego powieści przełożyła na polski. W szczególnie przez nią lubianym „Żarcie" bieg wypadków uruchamia dowcip na temat ideologii, który jeden z bohaterów robi w pocztówce wysłanej dziewczynie. Wychwycony i napiętnowany przez komunistyczny kolektyw staje się przyczyną wyrzucenia go z partii i ze studiów, a w konsekwencji jego życiowej klęski.

Być może aktor z Bielska zażartował w stosunku do recytatorki. Czy Holland zdaje sobie sprawę, że uczestniczy w zebraniu partyjnym z „Żartu"?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2761d14f30

OGNIEM NA WPROST

Pająk w tęczowej sieci

Zbliżające się wybory do europarlamentu prowokują celebrytów do publicznych wynurzeń na tematy polityczne. Nie wykorzystał okazji, żeby siedzieć cicho Maciej „Tu-polew" Stuhr. Już dobry miesiąc temu rząd ogłosił 500+ także na pierwsze dziecko, ale Stuhr czekał i myślał. W końcu przemówił: „Proponuję 500+ za każdą myśl o robieniu dzieci!". To nieważne, że program 500+ zredukował liczbę dzieci żyjących w skrajnym ubóstwie, nieważne, że nakręcił wewnętrzną koniunkturę, ważne, żeby palnąć. Gdybym miał wybierać, wolałbym słuchać piosenek sióstr Godlewskich (a nie jest to łatwe), niż wsłuchiwać się w słowa tego mędrca.

Na portalu Wyborcza.pl w imieniu redakcji z Czerskiej odezwała się Malwina Pająk. Pani Pająk wylewa łzy nad losem nastolatka, którego ponoć matka wraz z ojczymem, oboje wierzący (to bardzo ważne w tym przekazie), wyrzucili z domu. A dlaczego? Dla „Gazety Wyborczej" jest tylko jeden, ale za to konkretny powód. Dowiedzieli się, że jest gejem. „Ludzie powołujący się na tradycyjne wartości wystawili własnego dzieciaka za drzwi jak zepsuty przedmiot" – ubolewa w imieniu redakcji jej przedstawicielka. A ja z kolei ubolewam nad tym, że takie panie jak Malwina Pająk, wtrącają się w pomalowanych na tęczowo walonkach w wychowanie nie swoich dzieci, wymachując przy tym sztandarem „solidarności, akceptacji, demokratycznych standardów oraz troską o respektowanie praw człowieka w Polsce". Oczywiście cała ta historyjka ma służyć poparciu idei karty LGBT+ stołecznego prezydenta tysiąclecia Rafała Trzaskowskiego, którego jedynymi jak na razie „sławnymi" osiągnięciami są: wypuszczenie z zajezdni tramwaju tolerancji (powinien jeździć z tablicą „Nur für Schwulen" – „Tylko dla gejów") oraz zamiar budowy hostelu dla osób waginosceptycznych. Trawestując słowa marszałka Piłsudskiego: zachciało się hotela, serdela, burdela panom nieheteronormatywnym.

W odpowiedzi na raz agresywną, innym razem wzbudzającą współczucie oraz mającą chwytać za serce promocję homoseksualizmu wśród dzieci i młodzieży, a także forsowanie „edukacji" seksualnej opartej na standardach WHO w polskich szkołach „istnieje pilna potrzeba zwiększenia ochrony najmłodszych przed demoralizacją i przemocą seksualną". Tak w każdym razie twierdzi Fundacja PRO – Prawo do Życia i wszczyna inicjatywę ustawodawczą, której celem jest zablokowanie lobby LGBT dostępu do dzieci. Założenie jest proste. Za propagowanie podejmowania przez dzieci obcowania płciowego lub innych czynności seksualnych będzie groziła kara więzienia do dwóch lat. Wymiar kary zwiększy się do trzech lat, jeśli do tego typu wydarzenia dojdzie na terenie szkoły lub innej placówki oświatowej. Czy nie za surowo? W tym kontekście przyjrzyjmy się środowisku przyszłych „edukatorów". Szczególnie aktywne jest na tym polu Stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza, należące do lobby LGBT. To właśnie jego członkowie są odpowiedzialni za tzw. warszawską kartę LGBT+ i plany seksedukacji dzieci w stołecznych szkołach. Jedną z gwiazd tego środowiska jest Maciej Gośniowski, ksywa Gąsiu. Swoją karierę w środowisku LGBT zaczynał jako student w gejowskim klubie go-go. W jednym z wywiadów przyznał, że niejednokrotnie był tam molestowany seksualnie. Ale generalnie nie ma problemu, bo, jak dodał: „Nie jestem od gadania, tylko od pokazywania dupy". Stwierdził również, że nie ma nic do uprawiania prostytucji i że chciałby zawrzeć homoseksualne „małżeństwo" oraz mieć dzieci. Co do inicjatywy ustawodawczej Fundacji PRO – Prawo do Życia, to jak mawiała moja babcia: „I o to Polska się biła!".

Działalność islamskiego ugrupowania Hizb ut-Tahrir jest zabroniona nie tylko w wielu krajach europejskich, lecz także w państwach muzułmańskich. Bynajmniej nie przeszkodziło to zorganizowaniu przez jej działaczy piątkowych modłów pod Christiansborgiem, siedzibą duńskiego parlamentu. Przed gmachem zrobiło się dosłownie czarno-zielono (ulubione kolory Mahometa). Po przetłumaczeniu modlitwy z arabskiego na angielski i opublikowaniu nagrania na YouTubie okazało się, że przesłanie jest nienawistne i agresywne, pełne gróźb pod adresem Zachodu oraz niewiernych. Proklamuje wyższość islamu nad wszystkimi innymi wyznaniami, a muzułmanów nad wszystkimi innymi ludźmi. Terror w Nowej Zelandii to nie zbrodnia popełniona przez pojedynczego szaleńca, lecz „wyraz zachodniej krucjaty nienawiści, winnej celowych ataków na wiarę muzułmanów". Ku pokrzepieniu serc prowadzący modły imam zapowiedział: „Stąd, z samego serca cywilizacji niewiernych [...], przywrócona zostanie epoka islamu wbrew ich woli, pokonamy każdego zdrajcę i obłudnika". Żmija hodowana na własnej piersi z dnia na dzień rośnie.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2761d14f30

Wolność, sprawiedliwość i konsekwencja

20 marca 2019 r. na budynku Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego została uroczyście odsłonięta tablica poświęcona prezydentowi RP prof. Lechowi Kaczyńskiemu, który pracował na gdańskiej uczelni przez blisko 30 lat, prowadząc działalność naukową i dydaktyczną, łącząc ją z zaangażowaniem społecznym i politycznym.

Lech Kaczyński ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie Warszawskim. W 1971 r. rozpoczął pracę na Uniwersytecie Gdańskim. Początkowo był związany z Instytutem Prawa Państwowego, by następnie przenieść się do Zakładu Prawa Pracy. Pod koniec lat 70. zaangażował się w działalność Biura Interwencji Komitetu Obrony Robotników, a od 1978 r. wspierał Wolne Związki Zawodowe. Pracę w UG łączył z wykładami dla robotników z zakresu prawa pracy i historii.

Marta Kaczyńska-Zielińska

W biografii prezydenta pod red. Sławomira Cenckiewicza napisano, że był jedynym pracownikiem naukowym UG, który czynnie działał w niezależnej polityce. Zdawał sobie sprawę, że wielu asystentów i adiunktów ze względu na swoje polityczne zaangażowanie traciło pracę na uczelni. Jesienią 1978 r. został otwarcie zaatakowany na swoim wydziale za aktywność w WZZ, co stanowiło zapowiedź próby jego zwolnienia z uczelni i trudności z uzyskaniem stopnia doktora nauk prawnych. Na wszelkich polach swojej aktywności Lech Kaczyński miał wsparcie swojej żony, Marii.

W 1980 r. obronił rozprawę doktorską pt. „Zakres swobody stron w zakresie kształtowania treści stosunku pracy" przygotowywaną pod kierunkiem doc. dr. hab. Romana Korolca, a po jego śmierci prof. dr. hab. Czesława Jackowiaka. Otrzymał za nią nagrodę w prestiżowym konkursie miesięcznika „Państwo i Prawo". W swojej rozprawie Lech Kaczyński stworzył uznawaną wówczas za bardzo odważną i zdecydowanie niewygodną politycznie koncepcję semidyspozytywnego charakteru prawnego norm prawa pracy. Według poglądów przedstawicieli doktryny prawa pracy prace Lecha Kaczyńskiego odegrały fundamentalną rolę w analizie zasady uprzywilejowania pracownika. Stanowi ona jedną z podstawowych, dyrektywalnych zasad polskiego prawa pracy, która została ukonstytuowana w przepisie art. 18 Kodeksu pracy wedle podstawowych założeń konstrukcyjnych stworzonych ponad 40 lat temu właśnie przez Lecha Kaczyńskiego. Realizuje ona funkcję ochronną prawa pracy, stanowiąc, że postanowienia umów o pracę oraz innych aktów, na których podstawie powstaje stosunek pracy, nie mogą być mniej korzystne dla pracownika niż przepisy prawa pracy, a postanowienia umów mniej korzystne dla pracownika niż przepisy kodeksowe powinny być zastąpione przez te ostatnie.

Lech Kaczyński jest także twórcą do dziś uznawanego podziału norm prawa pracy na ich stosunek do autonomii woli stron, tj. wspomniane normy semidyspozytywne, normy semiimperatywne oraz normy imperatywne. Niewielu zdaje sobie zapewne sprawę z tego, że był on autorem części zapisów porozumień sierpniowych, a także części statutów „Solidarności" dotyczących strajków, sekcji branżowych i układów zbiorowych.

W 1990 r. Lech Kaczyński uzyskał stopień naukowy doktora habilitowanego nauk prawnych na podstawie rozprawy „Renta socjalna". W treści monografii rozwinięta została i wzbogacona o uzasadnienie aksjologiczne koncepcja prawa zabezpieczenia społecznego jako systemu środków wspierających obywateli, którzy utracili zdolność do podjęcia pracy lub znaleźli się w trudnych sytuacjach życiowych. Obszarem jego badań objęte były także źródła prawa pracy.

Po odejściu z Uniwersytetu Gdańskiego prof. Kaczyński wykładał w Bałtyckiej Wyższej Szkole Humanistycznej w Koszalinie oraz na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Był autorem kilkudziesięciu opracowań naukowych z zakresu prawa pracy i prawa zabezpieczenia społecznego. Zajmował się też prawem morskim oraz spółdzielczością. Był członkiem Rady Administracyjnej Międzynarodowej Organizacji Pracy, a także członkiem Komisji Kodyfikacyjnej przy Ministrze Pracy i Polityki Socjalnej oraz wiceprzewodniczącym rady programowej Instytutu Spraw Publicznych.

Prezydent Lech Kaczyński był konsekwentny i wierny swoim solidarnym przekonaniom naukowym. Na każdym etapie swojej kariery politycznej zwieńczonej tragicznie na najwyższym urzędzie swoją postawą dowodził o swoim głębokim przeświadczeniu, że kluczem do skutecznej modernizacji Polski nie powinno być szukanie większej efektywności ekonomicznej poprzez doktrynalnie uzasadniane ograniczanie praw pracowniczych i dekompozycję systemu ubezpieczeń społecznych i zdrowotnych. Według Lecha Kaczyńskiego modernizacja Polski powinna polegać na uzyskaniu wysokiej dynamiki rozwojowej w warunkach solidarności społecznej poprzez wzmożone nakłady na rozwój kapitału ludzkiego, na naukę i edukację, na tworzenie warunków do innowacji oraz na nowoczesną infrastrukturę.

eprasa.pl 2761d14f30

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Węże

W Polsce przyznano antynagrody przemysłu filmowego, czyli statuetki Węży, które od 2012 r. trafiają do najgorszych, zdaniem kapituły, krajowych filmów i aktorów. Dla wielu sporym zaskoczeniem okazała się nagroda Węża dla Daniela Olbrychskiego. Otrzymał on statuetkę w kategorii „występ poniżej talentu" za rolę w filmie „DJ". Może to wyróżnienie ma związek z tym, że aktor ostatnio porządnie pluje jadem.

100 tys. dol.

– tyle do podziału otrzymały trzy zespoły, które znalazły się w finale organizowanego przez NASA konkursu na dom na Marsie. Amerykańska agencja kosmiczna zaprezentowała najlepiej ocenione propozycje.

ok. 71 tys. dol.

– tyle mogą zarobić ochotniczki, które zechcą poleżeć. NASA poszukuje kandydatek, które wezmą udział w badaniu i spędzą 60 dni w łóżku. Wszystko, by znaleźć odpowiedź na pytanie, w jaki sposób sztuczna grawitacja może pomóc w poprawie stanu fizycznego astronautów podczas misji.

2020

– do tego roku wyspa Komodo będzie niedostępna dla turystów. Tak zdecydował rząd Indonezji. Wszystko po to, by chronić zamieszkujący tę wyspę rzadki i zagrożony gatunek waranów, nazywanych „ostatnimi smokami na świecie".

Prawdziwe laski

Jeden z polskich księży, Marcin Mironiuk, został napadnięty podczas odprawiania Eucharystii w parafii Matki Bożej Królowej Polski w Edmonton, w Kanadzie. Na duchownego rzucił się niezatrzymany do tej pory mężczyzna i zaczął go dusić. Starsze panie, które uczestniczyły we mszy, natychmiast pospieszyły księdzu na ratunek. Bardzo skutecznym orężem przeciw napastnikowi okazały się laski. Dusiciel zwiał i do tej pory się nie odnalazł. Oto, co może polska laska! Ale prawdziwym widowiskiem byłoby starcie laski kontra czarne parasolki.

Uffo

Lech Wałęsa postanowił się wytłumaczyć ze swoich niedawnych słów o kosmitach. Podczas spotkania z mieszkańcami Krosna były prezydent snuł swoje rozważania o bardziej rozwiniętych cywilizacjach: „Oni nam przeszkodzą, przetną na pół, Ziemia się zwinie, wszystkich nas zgniecie" – ostrzegł Wałęsa i dodał, że obca cywilizacja „może nas tak przytrzymać pięć tysięcy lat", a później „przyślą nam Adama i Ewę i od nowa znów będziemy budować świat". Po medialnej burzy, jaką rozpętały wywody naszego noblisty, Wałęsa postanowił dorzucić co nieco do tamtej wypowiedzi: „Ja mam swoje UFO, mój punkt widzenia, nie naukowy, nie książkowy, tylko mój i ja go przy okazji pewnych zdarzeń, jako moje UFO przedstawiłem. Jeśli ktoś odleciał, to wy z waszą głupotą, w waszym nędznym kłamstwie i oszustwie. Ludzie z Krosna, odpowiedzcie tym cymbałom!" – zdenerwował się były prezydent. Uff, to tylko UFO. Od dziś możemy mówić: polegać jak na Zawiszy i ufoć jak Wałęsie.

eprasa.pl 2761d14f30

Tęczowe dzieciństwo

„Od września 2020 r. do angielskich szkół ma wejść zmodyfikowana, najbardziej radykalna zmiana programu nauczania relacji i edukacji seksualnej (RSE) od dwóch dekad. Nowy program szerzący sprzeczne z prawem naturalnym zachowania seksualne będzie obowiązkowy tak w szkołach publicznych, jak i w prywatnych przez cały okres edukacji" – informuje pch24.pl. Tylko czy tęczowe dzieciństwo na pewno jest takie dobre?

„Ostatnio jechałam z lotniska taksówką i kierowca miał różaniec na lusterku powieszony. I ja od razu myślę, że pisior" – powiedziała Róża Thun. A jak ja słucham Thun, to od razu wiem, że to platfus. To widać, słychać i czuć.

A taki był ładny

Wygląda na to, że dobra passa lewicowego premiera Kanady Justina Trudeau to pieśń przeszłości. Według byłej minister sprawiedliwości obecny szef rządu próbował na nią naciskać w sprawie tuszowania afery korupcyjnej. Wszystko ma być zapisane na taśmach i poparte szeroką dokumentacją. „Sprawa dotyczy afery, w którą zamieszany jest kanadyjski koncern SNC-Lavalin. Byli członkowie zarządu firmy mieli dawać łapówki reżimowi Muammara Kaddafiego w zamian za kontrakty w Libii. Z doniesień mediów wynika, że w całej sprawie negatywną rolę miał odegrać także premier Justin Trudeau. Liberalny polityk miał naciskać na minister sprawiedliwości, by prokuratura odstąpiła od ścigania dyrekcji SNC-Lavalin, ograniczając się do kary grzywny" – informuje Wprost.pl. I tak się okazało, że najpiękniejszy premier świata wcale nie jest taki atrakcyjny.

Fot. Andrzej Wiktor, CBC.ca, Shutterstock (x3)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

O ideologu, który jeździł koleją

Dominik Zdort

Grzegorz Sroczyński, publicysta niezmiernie ciekawy, zrobił wywiad dla portalu Gazeta.pl na temat transportu w Polsce. Swoją drogą to niepokojące, że dobrzy dziennikarze polityczni muszą się dziś zajmować kolejnictwem. Myliłby się jednak ten, kto uważa, że kwestie transportu nie są elementem polityki czy ideologii.

Wręcz przeciwnie – a przynajmniej tak uważa rozmówca Sroczyńskiego, prezes fundacji Prokolej Jakub Majewski. Otóż twierdzi on, że osłabienie kolei w latach 90. było celowym działaniem polskiej klasy politycznej. Obywateli planowo zniechęcano do jeżdżenia pociągami. „Powiedzmy, że chce pan zamknąć linię kolejową z miasta A do miasta B. Najpierw trzeba zmniejszyć prędkość pociągu: jeździł 60 km/h, a teraz jeździ 40 km/h. Podróż trwa dłużej. Drugi etap to tzw. rozkomunikowanie, czyli zmiana rozkładu jazdy tak, żeby nie dało się przesiąść na stacjach węzłowych. Trzeci etap to cięcie kursów. Jest – owszem – dojazd na 8 rano, ale nie ma jak wrócić po 16" – analizuje Majewski.

I domaga się – pewnie słusznie – aby Polacy przesiedli się z aut do pociągów. W jaki sposób chce nas do tego przekonać? Jeśli ktoś chce wjechać samochodem do centrum miasta, niech płaci. I niech mu się trudniej jeździ – trzeba zwęzić ulice. „Szeroka droga zachęca do jazdy samochodem [...]. Tak samo jest z parkingami – im więcej tanich miejsc parkingowych w mieście, tym trudniej zaparkować" – przekonuje Majewski.

No jeszcze ten odwieczny problem z istnieniem rodzin: „W dużych miastach ruch generują rodzice, którzy popadli w paranoję podwożenia dzieci do szkół i na wszelkie zajęcia dodatkowe. Masowo korkują ulice i chodniki". Na to jest prosta rada – należy zakazać podwożenia dzieci pod drzwi szkoły.

Ograniczyć trzeba też poruszanie się samochodami poza miastami. Jeśli ktoś chce korzystać z drogi ekspresowej (obecnie wszystkie są darmowe), niech płaci. Droższe powinny być opłaty za autostrady. Skutkiem tego – podsumowuje Majewski – „przejazd pociągiem czy autobusem stanie się konkurencyjny w stosunku do jazdy samochodem".

Wszystko to byłoby niebezpieczne, gdyby nie było tak niepoważne. Bo to zabawne, gdy bezwzględny krytyk manipulacji administracyjnych i socjologicznych, za pomocą których w latach 90. zlikwidowano kolej, dziś – aby „wyciągnąć" Polaków z samochodów – domaga się stosowania równie nieuczciwych sztuczek.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 2761d14f30

RZECZY POSPOLITE

Cud w Bahrajnie

Tomasz Łysiak

Ostatni wyścig Formuły 1 w Bahrajnie przyniósł tak wiele emocji i zwrotów akcji, że wydarzenia z toru można by nawet unieść do jakieś metafory. Sytuacja wyglądała tak...

Młodziutki debiutant w Ferrari, Charles Leclerc, najpierw nie dał szans starym mistrzom w piątkowych i sobotnich treningach, a następnie wygrał sobotnie kwalifikacje, uzyskując pole position. Gdy w niedzielne popołudnie kibice zasiedli przed telewizorami na całym świecie, uwaga była skupiona na tym młodziaku: startuje z pierwszego miejsca, czy da radę je utrzymać i pobić starszych, doświadczonych kierowców, w tym broniącego tytułu Hamiltona jadącego w mercedesie? Leclerc najpierw stracił pozycję, a potem szybko ją odzyskał. W brawurowy sposób wyprzedził nawet kolegę z zespołu, Sebastiana Vettela, i był znowu pierwszy. Miał coraz większą przewagę nad goniącymi go bolidami. I na prawie 10 okrążeń przed końcem dzieje się dramat. W jego ferrari pada system odzyskiwania energii. Samochód traci 20 proc. mocy. To skazuje kierowcę na porażkę ze ścigającymi „wilkami". Głos mu się łamie w trakcie komunikacji z ekipą techniczną, ma łzy w oczach, mówi: „Boże! To niemożliwe!". Nie ma szans. Najpierw wyprzedza go Hamilton. Potem Bottas. Obaj z Mercedesa. Młody Leclerc pyta przez radio swój team: „Dopadnie mnie Verstappen?". I wtedy... ekipa techniczna kłamie. Pada komunikat :„Nie, dasz radę!". Ale komentatorzy i wszyscy ludzie na świecie liczą szybko, kilka okrążeń, po pięć sekund nadrabiania przez Verstappena na każde... Nie, nie ma szans. Kłamstwo służy temu, by młodemu kierowcy nie padło morale, by chłopak myślał, że obroni chociaż podium, będzie miał trzecie miejsce. I cały świat wie, że on nie da rady. Poza nim samym. Ludzie płaczą na widowni, przed telewizorami. Zostają ostatnie dwa, trzy okrążenia. I... dzieje się cud! Nagle w obu autach Renault padają silniki. Jedno z nich zatrzymuje się na torze. Wyjeżdża samochód bezpieczeństwa. Zgodnie z przepisami nie wolno już wyprzedzać. Leclerc dowozi trzecie miejsce...

Ten iście szekspirowski dramat sportowy może stanowić dobrą nauczkę. Także dla polityków. Nie ma pewnych zwycięstw. Ani pewnych porażek. Walka trwa zawsze do końca.

Szczury do rury

Piotr Cywiński

„Nie chcę pozwolić tej ekipie bezczelnych partaczy na wyprowadzenie nas z Unii" – zagrzmiał w TVN24 chobieliński dworak w nieco zmoczonych spodniach, były szef dyplomacji Radek/Radosław Sikorski. Tak, tak..., ten od hołdu berlińskiego, ten sam, który zagrzewał do dorżnięcia watahy z PiS, ten dżentelmen, który (przepraszam jego Szanowną Panią Małżonkę Anne Applebaum, że zacytuję), rozprawiał w rozmowie z Janem Kulczykiem o tej „suce", tej „pi...ie", co to należało ją „przep... dolić jak trzeba", a i stewardessę biznesmena „nie zrzuciłby z końca członka", tenże właśnie światowiec, od „robienia laski Amerykanom" i „rozbioru Ukrainy", którego teraz „szlag trafia, gdy widzi, jak marnowany jest dorobek pokolenia Solidarności" i staje do boju, żeby powalczyć o Polskę w którymś z brukselskich klubów.

Tak jak – dla przypomnienia – w stanie wojennym, gdy wybrał spokój na emigracji, studiował w oksfordzkim Pembroke College i walczył w elitarnym Klubie Bullingdona, znanym z popijaw, rozrób i niemoralnego prowadzenia się jego członków. Nawiasem mówiąc, Sikorski uczył się tylko trzy lata i uzyskał najniższy stopień zawodowy Bachelora (licencjata). Ale, że umie zadbać o swoje, po kilku latach napisał do uczelni prośbę o automatyczne przyznanie mu tytułu Mastera (odpowiednik magistra), nadawanego tym absolwentom, którzy coś osiągnęli. A on przecież osiągnął, ministrem był, więc pewnie mu przyznali.

„Masterowi" Sikorskiemu wtóruje były szef dyplomacji, a nawet premier Włodzimierz Cimoszewicz, dawniej wierny towarzysz PZPR i generała Wojciecha Jaruzelskiego, znany też pod pseudonimem „Carex", jako współpracownik tajnych służb za nieboszczki Polski tzw. ludowej, ostatnio występujący z roli gajowego, który ogołocił leśniczówkę nawet z kontaktów w ścianie. I Cimoszewicz chce teraz pokazać „wszystkim przyjaciołom w Europie, że Polska to nie jest PiS", wygrać wespół z Radkiem wybory i „wyrzucić PiS na śmietnik!". Ich program zdradziła – też była premier i też kandydatka totalsów do europarlamentu – Ewa Kopacz, cytuję: „Naszą linią programową jest to, że my się nie cofniemy nawet na krok w tych obietnicach, które żeśmy złożyli, czyli nie zabierzemy tego, co dało PiS".

Z takimi „jedynkami" z Platformy tzw. Obywatelskiej i przystawek to lepiej przegrać, niż wygrać. Wszystkim więc zwolennikom Koalicji tzw. Europejskiej życzę spokojnych snów, słowami Artura Zyskowskiego: Dobranoc, pchły na noc, karaluchy pod poduchy, krety do skarpety, mrówki do kryjówki, szczury do rury – kolorowych snów, zobaczymy się znów...

eprasa.pl 2761d14f30

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: DEJAN GOSPODAREK/REPORTER, SHUTTERSTOCK X3

eprasa.pl 2761d14f30

Tajemnice 10/04

Dziewięć lat temu światem wstrząsnęła informacja o katastrofie w Smoleńsku. Od czasu narodowej tragedii bardzo zmieniła się Polska i Polacy. Dojrzało nowe pokolenie. Dorosły osoby, które wówczas miały 10 lat. Wiele się dowiedzieliśmy o tym, co się wydarzyło na rosyjskiej ziemi w tamten sobotni poranek. Ale i wiele nam umknęło, a niektóre kłamstwa bardzo się utrwaliły. Są tacy – nie tylko w Moskwie – którzy uważają, że sprawa jest bezapelacyjnie wyjaśniona. Naszym zdaniem Smoleńsk wciąż jest zagadką. Choć wierzymy, że nie pozostanie nią na zawsze. Warto dziś postawić pytania, które nadal nas nurtują, i raz jeszcze dotknąć smoleńskich tajemnic

eprasa.pl 2761d14f30

Czy w Smoleńsku doszło do zamachu?

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Nie ma na to niepodważalnych dowodów, choć kusi ciąg przyczynowo-skutkowy prowadzący od znalezienia materiałów wybuchowych do zamachu. Jednak takie uproszczenie może być wręcz niebezpieczne. Przy wyjaśnianiu przyczyn katastrofy lotniczej ważne jest trzymanie się faktów i ostrożne wyciąganie wniosków. Dwa tygodnie temu w tygodniku „Sieci" ujawniliśmy efekty badań brytyjskiego laboratorium wojskowego w Kent, w którym potwierdzono obecność materiałów wybuchowych (w tym trotylu) na elementach wraku tupolewa. Wciąż zastrzegamy: to dopiero częściowe wyniki badań (z przesłanych 200 próbek przebadano kilkadziesiąt, obecność materiałów wybuchowych potwierdzono na zdecydowanej większości z nich), a o jakiekolwiek podsumowanie śledczy będą mogli się pokusić dopiero, gdy uzyskają wyniki analiz ze wszystkich trzech laboratoriów (również w Rzymie i Belfaście), którym zlecono taką pracę.

Czy potwierdzenie odnalezienia materiałów wybuchowych na próbkach z wraku oznacza, że na pokładzie tupolewa doszło do wybuchu? Odpowiedzi wciąż nie mamy – należy najpierw należycie zinterpretować szczegółowe wyniki badań laboratoryjnych.

Jest jednak wiele innych dających do myślenia kwestii – rozpad samolotu na 60 tys. kawałków (czego dowiódł raport polskich archeologów pracujących w październiku 2010 r. w Smoleńsku) czy analizy sposobu wbicia się drzwi samolotu w ziemię, przeprowadzone przez National Institute for Aviation Research w USA.

Czy za katastrofą stoją Rosjanie?

Należałoby właściwie zacząć od końca, czyli obecnego stanu śledztwa i „pomocy" strony rosyjskiej. Zasadnicza część wniosków o pomoc prawną kierowanych do Moskwy pozostaje bez odpowiedzi albo jest realizowana częściowo i po długim czasie. Czy tak zachowuje się państwo, które nie ma nic do ukrycia?

To oczywiście poszlaki, ale ich nagromadzenie budzi najgorsze skojarzenia. Najważniejsze dowody – wrak i czarne skrzynki – wciąż są w Rosji i nie zanosi się, by szybko pojawiły

Fot. WOJTEK LASKI/EAST NEWS

eprasa.pl 2761d14f30

się w Polsce. Dostęp do nich „jest nieograniczony", ale tylko w medialnych przekazach przedstawicieli rosyjskich władz. Dobrze było to widać w czasie ostatniego, wrześniowego wyjazdu do Smoleńska polskich prokuratorów, gdy nie mieli oni prawa nawet niczego dotykać. Następnym testem jakości tej współpracy będzie to, czy Moskwa zgodzi się na kolejny przylot do Smoleńska polskich prokuratorów, tym razem wraz z zagranicznymi biegłymi, z którymi właśnie podpisano umowę o współpracy w śledztwie.

Najmocniejszą poszlaką wskazującą na nieczyste intencje Moskwy jest to, co działo się tuż po katastrofie. Piszemy o tym niżej w wątku oddania śledztwa Rosjanom. Ale przecież tych zdumiewających manipulacji jest więcej, wymieńmy tylko drobną część: wkręcanie żarówek w lotniskowe reflektory po katastrofie, przenoszenie części wraku o kilkadziesiąt metrów, niepozwolenie archeologom na dokładne zbadanie terenu katastrofy, kłamstwa w raporcie MAK, nieudostępnienie dokumentacji lotniska, przekazanie polskiemu MON fałszywych kart podejścia do lądowania, nieprawidłowe wskazania radiolatarni (o czym zeznali piloci jaka-40), decyzja o zalutowaniu trumien (podjęta wespół z polskim rządem), fałszerstwa w dokumentacji z sekcji zwłok i niewyobrażalna skala łgarstw, jakimi ws. 10/04 od początku do dziś posługują się w pełni zależne od Kremla rosyjskie media.

Kluczowe jest pytanie o rolę rosyjskich kontrolerów lotu z tzw. wieży w Smoleńsku. Polska prokuratura od dawna chce postawić im zarzuty, strona rosyjska skutecznie to uniemożliwia. Niestety, nagrań rejestrujących pracę wieży nie ma, gdyż „przypadek" sprawił, że akurat wtedy zaciął się magnetowid. Jednak z analizy komandorów z Dęblina pracujących dla podkomisji MON wiemy, że załoga tupolewa była sprowadzana nieprawidłowo. Musi paść pytanie o celowość takiego działania. Będąc w ubiegłym roku w Smoleńsku, wykonaliśmy lot dronem, zadając mu parametry z rejestratorów Tu-154M. Po obejrzeniu filmu, który opublikowaliśmy w telewizji wPolsce.pl, nawet laik się zorientuje, że maszyna nie leciała na pas, lecz była kierowana na miejsce zdecydowanie po jego lewej stronie.

Czy Donald Tusk oddał śledztwo Rosjanom?

Tak. To jego największy smoleński grzech i praprzyczyna tego, że od dziewięciu lat sprawa nie jest wyjaśniona i być może nigdy do końca nie zostanie rozwikłana. Bo to były polski premier odpowiada za pozostawanie w Rosji kluczowych dowodów – nawet nie pomyślał o domaganiu się zwrotu wraku (późniejszy holenderski przypadek dowodzi, że byłoby to skuteczne), gdy cały świat z uwagą patrzył na naszą tragedię, a czarne skrzynki powołana przez niego komisja rządowa, podpisem Jerzego Millera, oddała w wieczną dyspozycję („do zakończenia śledztwa oraz postępowania przed sądem") Moskwie.

Jak ujawnialiśmy w licznych publikacjach w „Sieci", opartych na dziesiątkach dokumentów KPRM oraz MSZ, rząd Tuska postawił sobie za cel „ucywilizowanie" Rosji, ocieplenie stosunków. Mimo że od ataku na Gruzję w 2008 r. nikt nie miał wątpliwości, że Kreml jest we władaniu agresora odbudowującego swoją imperialną politykę. Dlatego, zgodnie z oczekiwaniem Moskwy, uroczystości 70. rocznicy zbrodni katyńskiej rozdzielono, by nielubiany w Rosji Lech Kaczyński, domagający się historycznej prawdy i polskiej podmiotowości, nie przeszkadzał w pojednaniu Tuska z Putinem. Zadziwiający kurs w relacjach z państwem Putina polskie władze utrzymywały również przez długie miesiące po katastrofie.

Największą cenę nasze państwo zapłaciło za postawę Donalda Tuska w pierwszych godzinach i dniach po katastrofie. Szef rządu zaprezentował wówczas mieszaninę nieprzygotowania, bezradności, naiwności, ignorancji, irracjonalnej ufności wobec Rosjan. Premierzy obu państw przytulający się przy wraku Tu-154M oraz Tusk ściskający skore do współpracy z Putinem pięści to do dziś jedne z najbardziej symbolicznych zdjęć z tamtego dnia. Jeszcze bardziej obciążające niż te sceny są dla Tuska fakty: całkowita rezygnacja z pomocy międzynarodowej (co „przyklepała" na nagrywanym spotkaniu 13 kwietnia w Moskwie Ewa Kopacz) i wbrew rzeczywistości przekonywanie polskiej opinii publicznej, że współpraca Polski i Rosji przebiega wzorowo. Było dokładnie odwrotnie. Minister zdrowia plotła androny o pracy „ramię w ramię" przy sekcjach z Rosjanami i przekopywaniu ziemi „na metr w głąb", a Tusk czarował Polaków pełną empatii mimiką i oratorskimi popisami.

W rzeczywistości strona polska nie uczestniczyła w badaniu miejsca katastrofy, czarne skrzynki podjęto, zanim na miejsce dotarła słaba reprezentacja specjalistów z Warszawy, nie dopuszczono nas do oblotu lotniska, nie przekazano materiałów z tego oblotu, odmawiano dostępu do dokumentów i innych dowodów, a gdy już nadchodziły, to często je fałszowano (protokoły z sekcji czy zeznania kontrolerów). Rząd zrezygnował ze wspólnej komisji, statystując w dochodzeniu i skazując się na rolę petenta w postępowaniu rosyjskim, a badanie katastrofy – niezgodnie ze sztuką – oparto na niekorzystnej dla nas podstawie prawnej, 13. załączniku do konwencji chicagowskiej. W styczniu 2011 r., gdy rosyjski komitet MAK zakończył swoje działania, rząd nie domagał się nawet realizacji zapisów konwencji i nie wystąpił o zwrot wraku.

Wszystko, co działo się w kolejnych miesiącach i latach, było już konsekwencją błędów nie do wybaczenia popełnionych w kwietniu 2010 r. Obóz PO stał się zakładnikiem swojej słabości, którą nieudolnie krył brnięciem w kłamstwa i oskarżaniem ówczesnej opozycji o polityczne wykorzystywanie tragedii.

Kto powinien ponieść odpowiedzialność za katastrofę?

Może raczej trzeba zapytać: kto ją poniósł? Praktycznie nikt. Choć oczywistością w każdym cywilizowanym kraju byłyby dymisje: szefa BOR, który wbrew instrukcji HEAD pozwolił na lot głowy państwa na nieczynne lotnisko; ministra obrony narodowej, który wsadził wszystkich dowódców rodzajów

eprasa.pl 2761d14f30

wojsk do jednego samolotu (a wcześniej wysłał go do remontu w rosyjskich zakładach bez żadnego nadzoru); prokuratora generalnego i naczelnego prokuratora wojskowego, którzy zgodzili się na pogrzeby ofiar bez przeprowadzonych sekcji zwłok nawet bez jakichkolwiek dokumentów; szefa kancelarii premiera Tomasza Arabskiego (proces jego oraz czworga innych urzędników z KPRM – z oskarżenia części rodzin – dobiega końca), który wedle prawa był organizatorem tego lotu i czuwał nad całą logistyką uroczystości.

Zamiast tego były awanse – jak kolejne generalskie gwiazdki dla Mariana Janickiego, stanowisko ambasadora w Hiszpanii dla Arabskiego czy wojewody małopolskiego dla Jerzego Millera. Nagradzano też Rosjan – p.o. prezydent Bronisław Komorowski odznaczył lekarzy sądowych, laborantów, wojskowych, pilotów, strażaków i ekspertów medycyny sądowej za prace po katastrofie. Jak pokaże przyszłość, nagrodzono tych, którzy manipulowali prawdą o naszej narodowej tragedii.

Jak media kłamały o okolicznościach katastrofy?

Gorący czas sobotniego poranka 10 kwietnia 2010 r. w polskich mediach przepełniony był niepewnymi i czasem sprzecznymi informacjami. Jest problem z samolotem, coś się stało przy lądowaniu, jest kilka ofiar, wszyscy zginęli... W takim momencie trudno o precyzję i te początkowe niedociągnięcia rozgrzeszamy. Nie da się jednak przymknąć oka na festiwal kłamstwa, który z politycznej motywacji odbył się później.

Wydaje się, że początkiem dezinformacji był SMS z partyjnym przekazem wysłany politykom Platformy Obywatelskiej, by wiedzieli, w jakim tonie wypowiadać się tuż po tragedii. Jego treść ujawnił generał Sławomir Petelicki: „Katastrofę spowodowali piloci, którzy zeszli we mgle poniżej 100 metrów. Do ustalenia pozostaje, kto ich do tego skłonił".

To po tej informacji sprzyjający ówczesnej władzy dziennikarze rzucili się do stachanowskiej roboty, by postawioną tezę udowodnić. Czy media z premedytacją kłamały? Tak! Przypomnijmy o forsowanej narracji o kłótni generała Andrzeja Błasika z kapitanem Arkadiuszem Protasiukiem przed odlotem. Gdy po tygodniach wałkowania tematu pokazano wreszcie film z monitoringu, stało się jasne, że zatargu nie było. Najbardziej aktywne ośrodki medialne z potężną siłą wzmocniły także rosyjską tezę o tym, że generał Błasik był pijany i naciskał na załogę, by lądowała w gęstej mgle. To wtedy jeden z pilotów – tak podawała to z pasją dziennikarka TVN24 – miał wypowiedzieć słowa: „Jak nie wyląduję, to mnie zabiją". To było kłamstwo.

O tej szczegółowo zaplanowanej operacji konstruowania smoleńskiego kłamstwa opowiada film śp. Antoniego Krauzego „Smoleńsk". Obraz niemiłosiernie atakowany był głównie za grę aktorską i niezbyt wyrafinowane efekty specjalne, co wiązało się oczywiście z kosztami. Nie próbowano jednak walczyć – to znamienne – z osią opowieści, którą były medialne kłamstwa ws. 10/04. W tym sensie artysta odniósł sukces, opowiedział prawdę.

Co odkryto w trumnach?

W czerwcu 2017 r. ujawniliśmy w tygodniku „Sieci" fotografie wykonane w moskiewskim zakładzie medycyny sądowej podczas składania ciał ofiar do trumien. To obrazy szokujące, szczególnie ze względu na szczegóły, które poznaliśmy później. Nie bez powodu zatytułowaliśmy tamtą publikację „Piekielne prosektorium". W czasie jednej z ekshumacji przeprowadzonych w 2017 r. dokonano najbardziej

eprasa.pl 2761d14f30

bulwersującego ze wszystkich dotychczasowych odkryć. W jednej trumnie znajdowały się dwie głowy, trzy nogi i cztery miednice.

Należy także przypomnieć dramatyczne wystąpienie Marioli Karwety, wdowy po admirale Andrzeju Karwecie, która zdradziła, że w trumnie jej męża w workach na śmieci były również szczątki... siedmiu innych osób.

Oto najprostsza odpowiedź na pytanie, dlaczego słuszna była trudna decyzja prokuratury o konieczności ekshumacji wszystkich ofiar.

Czy doszło do celowego bezczeszczenia zwłok? Niestety, tak. Świadczy o tym choćby odkrycie, także dokonane po latach, serca zaszytego w nodze Zbigniewa Wassermanna czy niedopałek papierosa znaleziony w płucach prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego.

Kto robi politykę na Smoleńsku?

W tej kwestii wiele rzeczy naprawdę wygląda inaczej niż przekaz, który ma trafiać do opinii publicznej. W katastrofie zginęli, to czasem umyka, przedstawiciele wszystkich sił parlamentarnych. Jak ta sprawa była wyjaśniana w czasie rządów koalicji PO-PSL, piszemy powyżej. Politycznym zobowiązaniem Prawa i Sprawiedliwości była obietnica wyjaśnienia przyczyn tragedii, to ten obóz został wręcz Smoleńskiem przygnieciony, stracił wiele czołowych postaci, z prezydentem na czele. Wypełnianie tego zobowiązania idzie raz lepiej, raz gorzej. Również dlatego, że emocje nawet po latach nie opadły, a często są celowo podkręcane. Udało się – przyznajemy to z przykrością – podzielić Polaków na obozy, wmówić im, że jeśli podważasz wersję raportu MAK albo komisji Millera, to jesteś w „smoleńskiej sekcie". To wyjątkowo okrutny zabieg – wyszydzanie i stygmatyzowanie, które ma sprawić, by ludzie na samo hasło „Smoleńsk" odwracali głowy, by mieli poczucie, że nie obejmują sprawy, że jest dla nich zbyt trudna, że mają jej dosyć.

Dlaczego to było tak ważne? Wspólnota, która powstała po 10 kwietnia 2010 r., była dla ówcześnie rządzących niebezpieczna. Odczytywano to na chłodno jako czynnik mobilizujący, zwierający szeregi politycznego przeciwnika. Stąd operacja gmatwania, zohydzania, zakończona niestety powodzeniem. PiS na tym rozhuśtaniu emocji politycznie straciło. Prawda i dążenie do niej same się nie bronią, wobec zmasowanego PR są bezsilne. Być może dlatego partia Jarosława Kaczyńskiego w czasie kampanii wyborczych sprawę katastrofy usuwa z agendy, co wcale nie oznacza odejścia od zobowiązania wyjaśnienia jej przyczyn. Po prostu nie mówi się o tym głośno.

Czy ofiary Smoleńska są godnie upamiętnione?

Równolegle z walką o prawdę na temat przyczyn katastrofy smoleńskiej toczyła się prawdziwa wojna o godne upamiętnienie ofiar. Pamiętamy morze zniczy przed Pałacem Prezydenckim i modlitewną wspólnotę w pierwszych dniach

po katastrofie. Podniosłą atmosferę przerwał Bronisław Komorowski, który w pierwszym wywiadzie po wygranych wyborach ogłosił konieczność usunięcia krzyża sprzed pałacu, co dziwne, przy aprobacie warszawskiego biskupa. Była to próba walki z rodzącą się wokół Smoleńska, niebezpieczną z politycznego punktu widzenia, jednością Polaków (podobne zabiegi obserwowaliśmy kilka dni po katastrofie, gdy w obrzydliwy sposób sprzeciwiano się pochówkowi pary prezydenckiej na Wawelu). Próba udana – rozpoczęła się wojna o krzyż, szalał Janusz Palikot, na Krakowskim Przedmieściu dochodziło do barbarzyńskich scen, dzięki którym opinia publiczna mogła być sukcesywnie zniesmaczana „wojną polsko-polską" i sprawą, „która dzieli Polaków".

Polacy nie mieli jednak wątpliwości, że naszej elicie takie upamiętnienie się po prostu należy, czego dowodem są setki, może nawet tysiące lokalnych inicjatyw, pomników, obelisków, tablic, często w parafiach. Niektóre są bardzo estetyczne i udane (np. pomnik gen. Błasika w bazie lotniczej w Krzesinach czy monument na pl. Piłsudskiego), niektóre mniej (makieta tupolewa w Kałkowie czy tablica poświęcona Lechowi Kaczyńskiemu przed ratuszem w stolicy), ale jednego nie można odebrać ich twórcom i fundatorom – to była potrzeba serca.

Wielkim osiągnięciem, które należy przypisać środowisku skupionemu wokół Jarosława Kaczyńskiego, jest odsłonięcie pomników na pl. Piłsudskiego w Warszawie. O to tak

Fot. Krzysztof Korowski

eprasa.pl 2761d14f30

Fot. RIA Novosti/EAST NEWS

naprawdę szła gra, jeśli mówimy o godnym upamiętnieniu ofiar, tego jak ognia bała się poprzednia prezydent stolicy. Hanna Gronkiewicz-Waltz najpierw stanowczo sprzeciwiła się pomnikowi na Krakowskim Przedmieściu, potem jako jego lokalizację zaproponowała pętlę autobusową „prawie" na Trakcie Królewskim. W tym przypadku „prawie" robi naprawdę bolesną różnicę. To doprawdy żenujące, że na spełnienie woli Polaków w tak delikatnej sprawie musieliśmy czekać ponad osiem lat i że musiało się ono dokonać za pomocą fortelu. Przypomnijmy, iż upamiętnienie było możliwe dzięki temu, że pl. Piłsudskiego został wyjęty spod kurateli miasta i oddany wojewodzie.

Stojąc przed pomnikiem wszystkich ofiar i czytając ich nazwiska (podane alfabetycznie, bez funkcji), mamy świadomość, kogo straciliśmy. Może dziewiąta rocznica to dobry moment, by rozpocząć dyskusję o budowie muzeum, w którym przybliżono by ich życie i dziedzictwo?

Dlaczego zhańbiono pamięć gen. Andrzeja Błasika?

Dla Rosjan był idealnym kandydatem na kozła ofiarnego – szanowany NATO-wski generał, u progu wielkiej kariery w Pakcie Północnoatlantyckim, niekształcony w Moskwie, odbudowujący polskie lotnictwo. Postanowiono go wrobić w całkowicie wyimaginowaną rolę posłańca prezydenta, który rzekomo miał kazać pilotom lądować przy beznadziejnych warunkach pogodowych. W dodatku skłamano, jakoby znajdował się pod wpływem alkoholu. Taka wersja poszła w świat wraz z ogłoszeniem raportu MAK. Do dziś funkcjonuje w wielu miejscach – nie tylko w rosyjskich mediach. Wdowa po generale została pozbawiona jakiegokolwiek wsparcia polskiego państwa. Członkowie komisji Millera do dziś twierdzą, że generał znajdował się w kokpicie, choć dowody, na które się powołują, temu przeczą (choćby miejsce znalezienia ciała).

Czy ktoś powiedział pilotom: „Zmieścisz się, śmiało"?

Nie. Jedynym człowiekiem, który takowe słowa usłyszał, jest Andrzej Artymowicz, producent dźwięku, który nie wiedzieć czemu stał się biegłym prokuratury wojskowej i dokonał kolejnego odsłuchu kopii nagrania z czarnej skrzynki. A może właśnie wiadomo, skąd ta kariera Artymowicza? Jego brat, Paweł, polonijny profesor astrofizyki z Kanady, długo prowadził w internecie krucjatę przeciwko wszystkim, którzy podważali oficjalne ustalenia MAK i komisji Millera.

eprasa.pl 2761d14f30

Powyższy cytat do dziś kolportuje w mediach społecznościowych Radosław Sikorski (ten sam, który natychmiast po tragedii znał jej przyczynę i w rozmowie telefonicznej z Jarosławem Kaczyńskim mówił o błędzie pilotów). Nową wersję stenogramu – Artymowicza – prokuratorzy opublikowali w przeddzień piątej rocznicy katastrofy, dzięki czemu raz jeszcze, po latach, uderzyli w śp. dowódcę Sił Powietrznych, bo to jemu wspomniane słowa przypisał Artymowicz. Dodajmy, że żadna inna analiza nagrania ich nie potwierdziła (zajmowano się tym na przestrzeni dziewięciu lat wielokrotnie, w czym uczestniczyły najpoważniejsze polskie instytuty), a wielu ekspertów podważało rzekomo cudowną metodologię oczyszczania nagrania przez biegłego wojskówki. Wśród nich znajdował się Peter French, prezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Akustyki i Fonetyki Sądowej, który rozprawił się z rewelacjami Artymowicza na łamach „Gazety Wyborczej" – tej samej, która przez kilka wcześniejszych dni pompowała kłamliwy stenogram.

Czy istnieje nagranie rozmowy braci Kaczyńskich?

Nie, ale nie ma powodów, by nie wierzyć relacji Jarosława Kaczyńskiego co do jej treści. Nic jej nie podważa, poza fantasmagoriami Lecha Wałęsy i jemu podobnych. Zapisy czarnych skrzynek w zestawieniu z dokładnym czasem połączeń z telefonu satelitarnego wskazują, że w momencie rozmowy braci prezydent nie wiedział jeszcze o warunkach pogodowych w Smoleńsku. Prezes PiS wielokrotnie opowiadał, że krótka, ostatnia rozmowa z bratem dotyczyła stanu zdrowia przebywającej w szpitalu mamy.

Czy ktoś przeżył katastrofę?

Nie, nie było na to żadnych szans. Taka plotka pojawiła się niedługo po tragedii, a zupełnie nieodpowiedzialnie do publicznej wiadomości przekazało ją polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Między innymi na tej podstawie snuto spiskowe teorie i dopatrywano się oznak życia wśród pasażerów na najsłynniejszym filmie nagranym krótko po tragedii, gdy samolot jeszcze płonął.

Czy na miejscu tragedii padły strzały?

Kilka lat temu internet pełen był dywagacji na ten temat. Uczciwie trzeba przyznać, że nigdy nie udało się wyjaśnić tej kwestii. Przez pewien czas za dowód na najbardziej szokujące hipotezy uchodziło zdjęcie jednej z ofiar z raną głowy przypominającą ślad po kuli. Sekcja zwłok nie potwierdziła tych przypuszczeń. Nierozwiązana pozostaje natomiast sprawa dźwięków przypominających wystrzały zarejestrowanych na wspomnianym wyżej filmie. Zajmowała się tym prokuratura wojskowa, która poprosiła nawet ekspertów z ABW o ekspertyzę, ale ci oficjalnie skonkludowali, że nie sposób ustalić pochodzenia tych dźwięków. Podejrzenia wzmogły ujawniane w mediach relacje świadków, w tym kilkorga rosyjskich milicjantów, którzy takowe wystrzały mieli słyszeć. Gdzieniegdzie pojawia się również teoria, według której dźwięki strzałów to eksplozje amunicji oficerów BOR; nie stwierdzono jednak, by w ich broni czy magazynkach brakowało nabojów. Powtórzmy więc: nie ma dowodów, by ktokolwiek na miejscu katastrofy używał broni.

Czy istniał seryjny samobójca?

Ten termin urósł do rangi swoistej miejskiej legendy. To lista wielu głośnych samobójstw, które wydarzyły się po Smoleńsku. Ofiary miały zginąć, bo mogły się przyczynić do ujawnienia „prawdy" o katastrofie. Czy jednak można obok siebie postawić np. gen. Petelickiego, Andrzeja Leppera, technika pokładowego Remigiusza Musia (był w załodze jaka-40, który lądował w Smoleńsku przed tupolewem) lub operatora „Faktów" TVN Krzysztofa Knyża? Poza domysłami, pasującymi do wyjątkowo atrakcyjnej spiskowej teorii, niewiele ich łączy.

Skąd się wziął mit o sztucznej mgle?

Dziś już chyba nie sposób odpowiedzieć na pytanie, kto był pierwszy – sieciowe anonimy publikujące filmy z wojskowymi maszynami do produkcji dymu, nierozważni politycy czy szybciej piszący niż myślący dziennikarze. Przez pewien czas mówiło się, że wymyślił to jeden z byłych pełnomocników części rodzin ofiar. Ale to też nie jest prawdą. Podobnie jak relacja prof. Normana Daviesa, który twierdził, że teorię sztucznej mgły rozkolportował film Marii Dłużewskiej i Joanny Lichockiej pt. „Mgła". Prawdopodobnie filmu w ogóle nie widział. Za to na potrzeby wywiadu z 2012 r. we „Wprost" zmyślił sceny, których w tym dokumencie nie ma, a wszystko po to, by osoby wątpiące w oficjalne wersje wydarzeń łatwiej zaszufladkować jako obłąkanych zwolenników spiskowych teorii. Tak zresztą czyni się do dziś. Żelaznym argumentem przeciw oponentom raportów MAK/Millera jest przypisywanie im skrajności o mgle, helu, dobijaniu rannych etc., choćby nigdy o tym nie wspominali.

Niestety nie pomaga w rozprawieniu się z tą hipotezą sama podkomisja przy MON, której jeden z najważniejszych członków, omawiając niedawno w TV Republika kwestię pogody w dniu katastrofy, pozwolił sobie na irracjonalne dywagacje o manipulacjach ośrodkami wyżowymi i przesuwaniu nad Siewiernyj mas powietrza znad ciepłego jeziora rynnowego

eprasa.pl 2761d14f30

w Diesnogorsku (z którego woda chłodzi reaktor tamtejszej elektrowni atomowej). Dodajmy, że Diesnogorsk znajduje się 100 km od Smoleńska...

Komu wierzyć w sprawie wyjaśniania tragedii?

Dawne raporty – MAK, komisji Millera – oraz wnioski Wojskowej Prokuratury Okręgowej nie są wiele warte. Zostały wielokrotnie fundamentalnie podważone. Ich autorzy dopuścili się licznych zaniechań, błędów, a czasem po prostu kłamstw. Dziś mamy dwa postępowania – Prokuratury Krajowej i podkomisji przy MON. Nie rozpatrujemy ich ustaleń w kategoriach wiary. Bo nie należy nikomu wierzyć, lecz cierpliwie czekać i myśleć. Byśmy na koniec mogli powiedzieć „wiemy" zamiast „wierzymy". Mamy świadomość napięcia pomiędzy tymi ciałami, swoistej rywalizacji – z obu stron – która tej sprawie szkodzi.

Nie rozumiemy aury nadmiernej tajemniczości towarzyszącej pracom prokuratury, jej więcej niż skromnej polityki informacyjnej. Nie rozumiemy opieszałości w prowadzeniu tzw. śledztw okołosmoleńskich (dotyczących kwestii organizacyjnych czy odpowiedzialności urzędników za działania po katastrofie). Ale dostrzegamy w głównym śledztwie dawno wyczekiwane działania, o których nie chcieli słyszeć poprzednicy – ekshumacje i kompleksowe badania sądowo-medyczne, a przede wszystkim umiędzynarodowienie sprawy poprzez powołanie najwybitniejszych biegłych i podjęcie współpracy z najlepszymi zagranicznymi instytucjami kryminalistycznymi oraz naukowymi. To najbardziej podtrzymuje nadzieję na rzetelne wyjaśnienie tragedii.

Nie zgadzamy się z częścią wniosków podkomisji kierowanej przez Antoniego Macierewicza, bo niedostatecznie uzasadnia stawiane hipotezy. Ale wiemy, że w jej składzie są ludzie, którzy zrobili już wiele dobrego dla odkrycia prawdy o 10/04, działając – przed 2015 r. – w warunkach skrajnie trudnych. Liczymy na to, że ich praca nie pójdzie na marne.

Czekamy na ostateczne ustalenia jednego i drugiego postępowania, wierząc, że zwycięży w nich prawda, a nie pobudki polityczne czy osobiste.

* * *

Katastrofą smoleńską zajmujemy się od samego początku, niezależnie od scenariuszy politycznych i dbałości o własną pozycję zawodową. Najlepiej, jak potrafimy. Stawiamy zasadnicze pytania, nie zadowalamy się bałamutnymi odpowiedziami. Patrzymy na ręce politykom, prokuratorom, badaczom. W sprawie 10/04 nigdy nie byliśmy niczyimi zakładnikami. Zasadniczym celem pozostaje dla nas prawda o naszej narodowej tragedii.

Taką pracę obiecaliśmy Rodzinom Ofiar i słowa dotrzymamy. Należy się to ich Bliskim, wybitnym Polakom, którzy zasłużyli na cześć, a których w wielu momentach polskie państwo opuściło.

REKLAMA

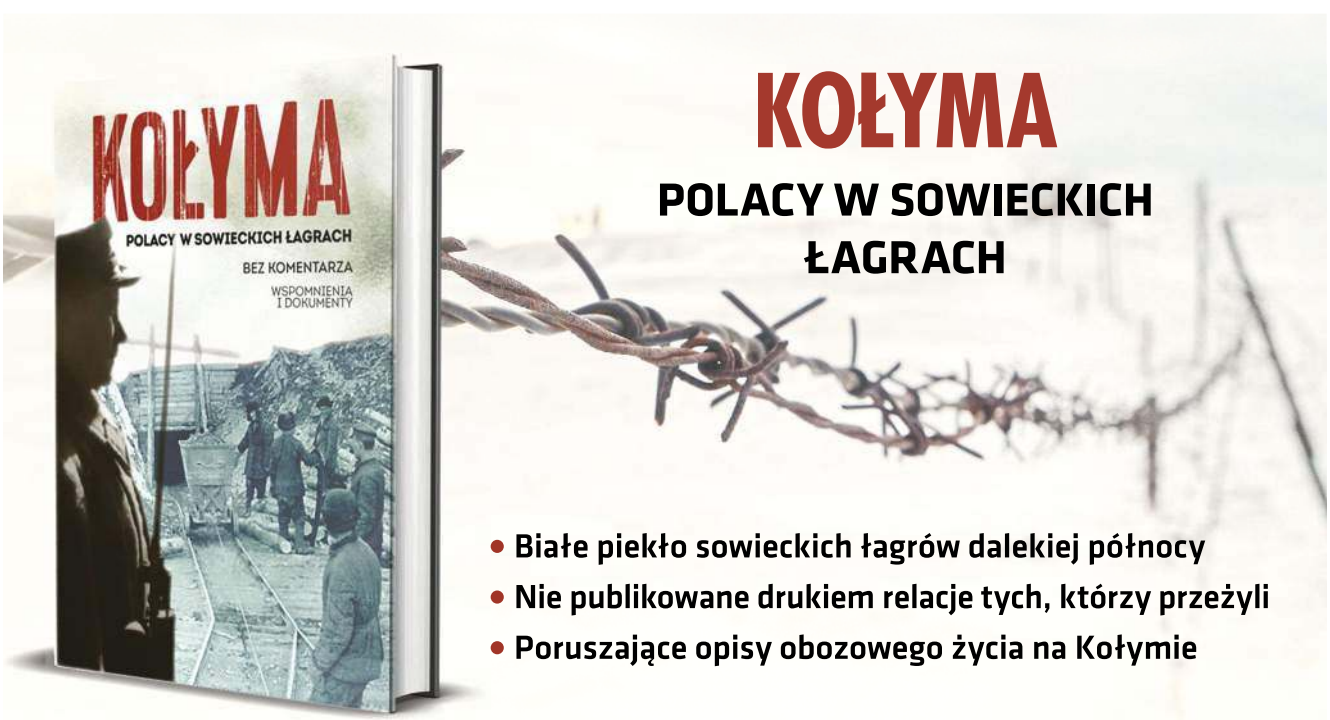

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Patronat medialny: Polskie Radio 24, w SIECI HISTORII, HISTORIA POLSKA ZBROJNA, SIECI, HIST MAG .ORG

47/0319/F

eprasa.pl 2761d14f30

Myśmy wszystko zapomnieli?

Czy ta rana jeszcze boli? Czy może „zabliźniła się błoną podłości”? Już słyszę: dlaczego zaraz podłości? Po co w ogóle przypominać tak przykrą sprawę? Przecież można jakoś tak sobie żyć – chyłkiem. Nie tyle nawet zagłuszać głos sumienia, ile pozwolić mu ucichnąć. I on cichnie. Czy zaczęliśmy żyć chyłkiem?

MACIEJ PAWLICKI

Nie wystarczyło dziewięć lat, by odsłonić przyczynę smoleńskiej tragedii. Wiele wskazuje na to, że przez pierwsze pięć trwały starania, by ją ukryć. Czy ostatnie lata zostały dobrze wykorzystane, byśmy poznali prawdę – nie wiem. Wydawało mi się, że trzy i pół roku po objęciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość wiedzieć będziemy wszystko albo prawie wszystko. Przede wszystkim wiedzieć, a nie domyślać się, że samolot rozszarpała eksplozja. Mimo wielu faktów i poszlak wciąż tego nie wiemy z absolutną pewnością. Faktów wskazujących na polityczny mord jest przerażająco wiele. Ale wciąż nie ma dowodów tak twardych, by rozwiały wszelkie wątpliwości. Lepiej więc, że nie ogłasza się już kategorycznych twierdzeń, nie mogąc poprzeć ich niekwestionowalnymi dowodami. Dobrze, że wreszcie powstał potężny zespół (a właściwie kilka zespołów) najwybitniejszych światowych specjalistów, którzy pracują nad kompleksową ekspertyzą. Taką, której obalić się nie da. Niech pracują tyle, ile trzeba, ani dnia krócej.

W międzyczasie jednak, w dziesiątym roku niepewności, porachujmy w tej sprawie swoje sumienie. Kilka lat temu, gdy sprawa smoleńskiej tragedii w przestrzeni publicznej była jeszcze żywa, napisałem tekst pt. „Trąd”. Podzieliłem w nim Polaków na cztery grupy: tych, którzy wiedzą, że w Smoleńsku na pewno był zamach; tych, którzy wiedzą, że na pewno zamachu nie było; tych, którzy nie wiedzą i nie chcą wiedzieć, boją się prawdy; i wreszcie tych – do których i siebie zaliczyłem – którzy domyślają się, ale wciąż nie wiedzą, a wiedzieć bardzo chcą. Tekst był o tym, że wielu Polaków niszczy choroba duszy: dla świętego spokoju, a może po prostu ze strachu, gotowi są nie pytać, jak i dlaczego zginęli ich prezydent oraz połowa politycznej elity. Ten trąd nas niszczył.

I dokonał spustoszeń. Dziś polski pejzaż wygląda inaczej, podzieliłbym go już tylko na trzy grupy. Po pierwsze – tych, których „sprawa smoleńska” okropnie drażni, chcą ją natychmiast wymazać z przestrzeni publicznej, a ludzi nadal się nią zajmujących ośmieszać, odzierać z godności, traktować jak wariatów i nekrofilów. Do tej grupy zaliczyć niestety wypada sporą część polskich twórców kultury, którzy bawią się wesoło, gdy kabaretowy artysta z sowieckim poczuciem humoru powie coś do śmiechu o tupolewie albo pomylonych szczątkach smoleńskich nieboszczyków. Grupa druga to ci, którzy niewyjaśnienie przyczyn tragedii uważają za hańbę Polski i Polaków, za dowód słabości i osamotnienia polskiego państwa oraz zapowiedź jego upadku, jeśli szybkie przebudzenie nie nastąpi. I wreszcie grupa trzecia, chyba najliczniejsza. Ci, którzy o smoleńskiej tragedii nie myślą już jak o poszukiwaniu prawdy ani o obronie przed kłamstwem, tym bardziej nie myślą w kategoriach dobra i zła, zbrodni i kary, traktując ją jako sprawę niezałatwioną, ale przykrą i męczącą. Męczącą także tym, że nie okazaliśmy się wystarczająco skuteczni, by uporządkować ten kryminologicznie i aksjologicznie rozedrgany obszar. Podświadomie wypychamy go więc z pamięci, przed samymi sobą nie przyznając się, że wolimy zaprzątać sobie głowy czymś zupełnie innym, działać tam, gdzie nie będziemy czuć swojej upokarzającej bezradności. To grupa zmęczonych obowiązkiem stania na straży. Myślę, że duchowa ewolucja właśnie tej grupy zadecyduje o tym, kim jako naród będziemy w najbliższych dekadach. Czy w ogóle będziemy narodem.

We wciąż na nowo aktualnym narodowym arcydramacie Wyspiański każe mówić Panu Młodemu w chwili gorzkiej szczerości: „Mego dziadka piłą rżnęli, myśmy wszystko zapomnieli”. Mówi o rabacji galicyjskiej, czyli o dniach krwawych zapustów roku 1846, gdy podburzeni przez Austriaków, ale przecież jednak polscy chłopi rżnęli polską szlachtę, jej głowy dostarczali Austriakom, odbierając za nie zapłatę. I tak unicestwiając narodowe powstanie. Od galicyjskiej rabacji do czasu pisania „Wesela” minęło ponad pół wieku, ale krakowskich inteligentów rana nadal bolała. Szczególnie bolało owo zapomnienie o mordowanych braciach, siostrach, rodzicach, dziadkach. Czasem świadome, częściej podświadome wymazywanie z pamięci. Jakby zabicie ich ponowne. Także przyszłość jest groźna. „To co było, może przyjść” – mówi Wyspiański. Podsycana nienawiść może wybuchnąć.

Kultura narodu to umiejętność dodawania do siebie kolejnych elementów, przekazywania ich między pokoleniami, czerpania z nich, rozwijania,

eprasa.pl 2761d14f30

czasem także kontestowania, ale nieustannego twórczego odnoszenia się do systemu wartości, wokół których wysiłkiem i krwią pokoleń zbudowaliśmy Polskę. Polska stoi pamięcią, dzięki narodowej kulturze przetrwała państwowy niebyt. Ale ma też liczne grzechy zapomnienia. Zapomnieliśmy o 200 tys. Polaków zamordowanych na Wołyniu, nie domagamy się prawdy ani szukania winnych. Spychając w niepamięć 96 ofiar i zawsze, gdy strącamy w niepamięć ofiarę tych, dzięki którym nie mówimy dziś po rosyjsku czy niemiecku, karlejemy, maleje polski naród.

Smoleńsk ma w polskiej historii miejsce szczególne. Matejko namalował mędrca-błazna Zygmunta Starego na obrazie „Stańczyk w czasie balu na dworze królowej Bony, kiedy wieść przychodzi o utracie Smoleńska". Opisał chwilę roku 1514, gdy – wskutek braku polskiej odsieczy – wojewoda smoleński musiał poddać Smoleńsk oblegającym go wojskom Moskwy. Tylko błazen rozumie, jak bardzo utrata Smoleńska i wzrost potęgi Moskwy zaciążą nad polską historią. Wiek później hetman Żółkiewski w bitwie pod Kłuszynem pobił wojska moskiewskie i Smoleńsk odebrał, a potem polskiemu królowi przyprowadził moskiewskiego cara, by na Zamku Królewskim w Warszawie bił przed nim czołem o ziemię i składał hołd. Pamiątkowy zapis o tym zdarzeniu widać na warszawskiej kolumnie Zygmunta, obok której cztery wieki później przez 96 miesięcy szły marsze w smoleńskie miesięcznice. Triumfu Żółkiewskiego nie potrafiliśmy utrwalić, królewicz Władysław carem nie został, choć moskiewscy bojarzy błagali. Ambicje króla Zygmunta, który sam chciał zostać carem, odebrały polskiej dynastii władzę nad Moskwą. Być może wielowiekową.

Po co przypominam te historie? Jakoś tak się historia układa, że Smoleńsk to dla Polski niebezpieczne miejsce. Nie tyle terytorialnie, ile symbolicznie. Niebezpieczne dla ducha. Kolejna smoleńska pułapka z roku 2010 zmieniła się w polską posmoleńską katastrofę. I nie mam tu na myśli tych, którzy rechoczą z dowcipów o „tu-polewie". Mówię o nas, którzyśmy już prawie zapomnieli. Wiadomo – żyć trzeba. W przyszłość patrzeć z Konradem, nie dać się Geniuszowi zapędzić do wawelskich lochów, ale porządek świata stoi na tym, że to Antygona miała rację, nie Kreon. Ta rana przysycha, już tak nie pali, już tak nie boli, ale nie zagoiła się ani trochę. I nie może się zagoić, dopóki jest w niej trucizna.

Odsunięcie w niepamięć, ciche pogodzenie się z niemożnością poznania prawdy, czyli należytego opisania śmierci poległych, pogodzenie się ze swą bezsilnością w tak kluczowej sprawie – wepchnie nas w zakłamanie maskujące wstyd, zniszczy nas jako narodową i państwową wspólnotę. Zamieni w już inną zbiorowość. Bez najcenniejszych więzi.

Zapewne wiele tekstów „smoleńskich" tak się kończyło, ale nie znajdę lepszej puenty niż ta z Mickiewicza, mocna jak przysięga: „Jeśli zapomnę o Nich, Ty Boże na Niebie, Zapomnij o mnie!".

Im już nie pomożemy. Ale uratujemy siebie.

Fot. Wilczyński Krzysztof/Muzeum Narodowe w Warszawie

Ile jest PO w Związku Nauczycielstwa Polskiego i jego prezesie?

Platforma Broniarza

STANISŁAW JANECKI

Sławomir Broniarz, prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego, żądanie podwyżek dla nauczycieli w wysokości co najmniej 1 tys. zł ogłosił w grudniu 2018 r. Przewodniczący Platformy Obywatelskiej Grzegorz Schetyna żądaną sumę zaakceptował dopiero trzy miesiące później, choć trudno powiedzieć, kiedy mógłby realnie swoją obietnicę spełnić, skoro nie wiadomo, czy i kiedy będzie rządził. Lider PO zsynchronizował się z szefem ZNP, gdyż na obecnym etapie związek ma najbliżej do Platformy i Koalicji Europejskiej. Wcześniej miewał bliżej do Sojuszu Lewicy Demokratycznej czy Komitetu Obrony Demokracji. Ale z PO związek nauczycielski gra od lat, mimo że się z tą partią spierał, szczególnie wtedy, gdy ministrami edukacji były Krystyna Szumilas oraz Joanna Kluzik-Rostkowska.

Jak te spory naprawdę wyglądały, świadczy list Sławomira Broniarza do premier Ewy Kopacz z 14 października 2014 r., która objęła to stanowisko 22 września 2014 r. Prezes ZNP tak naciskał nową szefową rządu: „Szanowna Pani! Z okazji objęcia przez Panią stanowiska Premiera mam zaszczyt w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego przekazać Pani serdeczne gratulacje oraz życzenia sukcesów w pełnieniu tej odpowiedzialnej misji. Pragnę wyrazić nadzieję, że edukacja będzie dla Pani jednym z priorytetów, a działania Pani rządu wpłyną na poprawę jakości kształcenia oraz zapewnią pracownikom oświaty dobre warunki zatrudnienia i wynagrodzenia, stworzą im perspektywy rozwoju oraz przyczynią się do poprawy wizerunku zawodu nauczyciela, przywracając mu jego dawne znaczenie". Podobnych listów Sławomir Broniarz nie wysłał ani do premier Beaty Szydło, ani do premiera Mateusza Morawieckiego.

Związek Nauczycielstwa Polskiego, nawet spierając się z rządami Donalda Tuska i Ewy Kopacz (protestowano w listopadzie 2013 r., w kwietniu 2014 r., w kwietniu 2015 r.), nie chciał im zrobić realnej krzywdy, a raczej rozładować buntownicze nastroje wśród nauczycieli. A gdy PO znalazła się w opozycji, wszelkie spory miedzy partią Grzegorza Schetyny a związkiem Sławomira Broniarza ustały. Obecnie mamy wręcz do czynienia z mówieniem jednym głosem i działaniem ręka w rękę. Wcześniej taka

eprasa.pl 2761d14f30

Fot. Maciej Luczniewski/REPORTER

ZNP nie chciał mieć nic wspólnego z polityką i bieżącą walką polityczną tylko wtedy, gdy rządziła Platforma (wcześniej SLD). Za to wszelkie opory znikły, gdy do władzy doszło Prawo i Sprawiedliwość

jednomyślność panowała tylko między ZNP a SLD. Ale skoro obecnie Sojusz jest samodzielnie słabiutki, jedynym politycznym protektorem dla związku może być PO i szerzej Koalicja Europejska. Dziwi więc, że Grzegorz Schetyna odpowiedział na postulaty ZNP (z grudnia 2018 r.) z trzymiesięcznym opóźnieniem. Obecnie zrobiłby to zapewne w ciągu tygodnia albo nawet tego samego dnia.

W JEDNEJ ŁAWCE Z TUSKIEM

Współpraca ZNP z PO była widoczna już w listopadzie 2010 r. Premier Donald Tusk był wtedy gościem 40. Krajowego Zjazdu Delegatów ZNP, na którym Sławomira Broniarza wybrano na prezesa na czwartą kadencję. Premier i prezes zasiedli wówczas w jednej szkolnej ławie. I Donald Tusk ogłosił epokowe osiągnięcie swojego rządu: „Wzrost płac dla nauczycieli o 50 proc. do końca 2012 r.", co oczywiście było „dla Polski projektem o wymiarze cywilizacyjnym". Premier Tusk opowiadał delegatom ZNP, jak to w 2007 r. jego rząd zadeklarował, że przez kilka lat będzie podnosił nakłady na wynagrodzenia nauczycieli, tak by doprowadzić do 50-procentowego wzrostu do końca kadencji w 2011 r. W listopadzie 2010 r. było już wiadomo, że plan się opóźni, więc Tusk kokietował: „Mam nadzieję, że państwo rozumiecie, iż ten ambitny cel przesunie się do 2012 r.". Państwo mieli zrozumieć, że opóźnienie jest wywołane „światowym kryzysem gospodarczym". Donald Tusk obiecał wtedy, że „rząd nie będzie wymuszać żadnych zmian bez zgody nauczycieli". Na koniec stwierdził: „Polacy mają powód do poważnego wyrzutu sumienia, że tak późno zabrano się za podnoszenie rangi nauczyciela w wymiarze materialnym". Ale PO ten błąd postanowiła naprawić. Nie dziwi więc wdzięczność związku, mimo że z „podnoszeniem rangi" nie było wcale różowo.

Gdy we wrześniu 2013 r. trzy centrale związkowe protestowały przeciwko polityce rządu Donalda Tuska, ZNP stanął w jego obronie. 11 września 2013 r. ZNP i jego prezes zadeklarowali, że nawet biorąc udział w protestach, nie chcą mieć nic wspólnego z odsuwaniem rządu od władzy, a nawet z polityką. „ZNP dystansuje się od wszelkich prób upolitycznienia związkowych protestów we wrześniu 2013 r. Uznajemy, że protesty pracownicze nie powinny służyć realizacji celów politycznych żadnej partii czy środowisk powiązanych z ugrupowaniami politycznymi. Nie powinny być wykorzystywane również do bieżącej walki politycznej, obliczonej na zmianę rządu i zwycięstwo danej partii w nadchodzących wyborach parlamentarnych. Dlatego też ZNP dystansuje się od wszelkich prób upolitycznienia związkowych protestów" – napisał Sławomir Broniarz w imieniu ZNP.

Nauczycielski związek nie chciał mieć jednak nic wspólnego z polityką i bieżącą walką polityczną tylko wtedy, gdy rządziła PO (wcześniej SLD). Za to wszelkie opory znikły, gdy do władzy doszło Prawo i Sprawiedliwość. Wtedy ZNP razem z KOD i opozycyjnymi partiami jak najbardziej się w bieżącą walkę polityczną włączał.

TYM SAMYM GŁOSEM

29 grudnia 2018 r. prezes ZNP wysłał list do premiera Mateusza Morawieckiego, prosząc o spotkanie i rozmowę na temat reformy edukacji oraz podwyżek dla nauczycieli. „ZNP z coraz większym niepokojem obserwuje skutki wdrażanej od 1 września 2017 r. reformy strukturalnej i programowej w oświacie. [...] Reformatorzy [...] spowodowali chaos organizacyjny i programowy w polskiej szkole" – pisał Sławomir Broniarz. Kolejny list do premiera Morawieckiego prezes Broniarz napisał 25 lutego 2019 r. I wyrzucał szefowi rządu, że skoro „podczas ostatniej konwencji Prawa i Sprawiedliwości zapewniał pan o dobrej kondycji polskiej gospodarki. Powiedział pan również, że »Europa dla PiS to europejskie zarobki«, a pana formacja polityczna »chce gonić Europę w jej zarobkach i dobrobycie«, [...] to mamy nadzieję, że mówiąc o dążeniu do europejskich zarobków, miał pan na myśli edukację, ponieważ na niskie zarobki polskich nauczycieli zwracają uwagę nawet instytucje międzynarodowe". A ponieważ „płace zasadnicze nauczycieli wzrosły od stycznia tego [2019] roku od 83 do 115 zł netto, [...] sytuacja w oświacie jest bardzo napięta: trzy reprezentatywne związki zawodowe, w tym największy – Związek

eprasa.pl 2761d14f30

Sławomir Broniarz pod ramię z liderami opozycji podczas marszu KOD 7 maja 2016 r.

Fot. Andrzej Skwarczyński

Nauczycielstwa Polskiego, weszły w spór zbiorowy. To, czy w najbliższym czasie dojdzie do ogólnopolskiego strajku w oświacie, zależy dzisiaj od decyzji rządu, na czele którego pan stoi". A potem spór zbiorowy tylko się zaostrzał, czyli związek parł do ogólnopolskiego strajku, co spotkało się z wyjątkowym zrozumieniem i poparciem opozycji, a szczególnie PO. Właściwie trudno było odróżnić wypowiedzi prezesa Broniarza i polityków Platformy. Nie tylko te dotyczące płac, lecz i te odnoszące się do reformy minister Anny Zalewskiej.

W grudniu 2018 r. ZNP i PO zgodnie rozumieli i wspierali akcję protestacyjną polegającą na „udawaniu się na zwolnienia lekarskie". A to dlatego, iż „jest rzeczą niedopuszczalną, że nauczyciel rozpoczynający pracę zarabia 1750 zł" – jak mówił prezes ZNP. Dlatego tysiące nauczycieli poszło na zwolnienia lekarskie „w okresie egzaminu kończącego ósmą klasę i egzaminu gimnazjalnego". Nikomu nie przeszkadzało to, że chodzi o lewe zwolnienia, czyli oszustwo. Na taką formę protestu nikt nie wpadł, gdy rządziła PO.

W czasie największych protestów za rządów PO (23 listopada 2013 r.) nie było strajków ani lewych zwolnień, a tylko ok. 20 tys. nauczycieli przeszło z Torwaru przed Kancelarię Premiera. Protestowali przeciwko zmianom w Karcie nauczyciela. Kolejna manifestacja przeszła przez Warszawę w kwietniu 2014 r., a następna w kwietniu 2015 r. Podczas manifestacji ZNP ujawnił, iż „oczekuje, że od stycznia 2016 r. płaca nauczycieli wzrośnie o minimum 10 proc.". A to dlatego, że „ostatni raz płace zasadnicze nauczycieli wzrosły we wrześniu 2012 r. – maksymalna kwota podwyżki wyniosła 114 zł". Manifestacje szły przez Warszawę, a rząd PO robił swoje, protestami się nie przejmując, gdyż w takiej formie mu nie szkodziły. Natomiast minister Joanna Kluzik-Rostkowska przekonywała, iż „w ciągu dziesięciu lat jego budżet zwiększył się z 25 do 40 mld zł. W tym czasie liczba uczniów spadła o 23 proc., czyli o ponad milion, a liczba nauczycieli o 11 proc. Mamy więc znacząco mniej uczniów i znacząco więcej pieniędzy. Jeśli ZNP chce rozmawiać o podwyżkach, musi wziąć odpowiedzialność za rozpoczęcie prac nad zmianą Karty nauczyciela. Dodatkowych pieniędzy na podwyżki w budżecie nie będzie". ZNP się trochę oburzał, ale przyjął to do wiadomości. Dziś, razem z Platformą, ZNP nie dopuszcza możliwości, że w budżecie nie ma pieniędzy na podwyżki.

NIE CHCĘ GLORYFIKOWAĆ, ALE MUSZĘ

ZNP specjalnie nie przeszkadzało, że w latach 2008–2011 zniknęło 595 szkół (podstawowych, gimnazjów i średnich), a w latach 2012–2014 zlikwidowano kolejne 551 szkół, czyli łącznie w latach 2008–2014 aż 1146. Pracę straciło kilkanaście tysięcy nauczycieli. Jednocześnie obniżano wymiar czasu pracy „do pół etatu czy »cząstki« etatu typu – 3/18, a nawet 1/18!" – jak mówił prezes ZNP Sławomir Broniarz. W 2014 r. skala zwolnień nauczycieli była mniejsza tylko dlatego, że w tym roku odbywały się wybory samorządowe, a wtedy samorządowcy unikają niepopularnych decyzji. Nie przeprowadzano wówczas żadnej reformy systemu edukacji. Szkoły likwidowano, gdyż rząd PO zmniejszał dofinansowanie i nie było pieniędzy na ich utrzymanie. ZNP nawet nie rozważał wtedy ogólnopolskiego strajku nauczycieli.

W 2016 r. prezes ZNP Sławomir Broniarz oświadczył: „Nie chciałbym gloryfikować poprzedniej władzy, ale podwyżki były dość duże". Nie chciałby, ale gloryfikował. Za co? Za to, że w 2008 r. nauczycielskie płace wzrosły o 10 proc., w 2009 r. dwukrotnie o 5 proc., w 2010 r. o 7 proc., w 2011 r. – o 7 proc., zaś w 2012 r. – o 3,8 proc. I na tym się skończyło.

W następnych latach były tylko manifestacje, pikiety i oflagowania, którymi nikt z rządu PO się nie przejmował, a wręcz uważano, że nauczyciele sobie pokrzyczą i będzie spokój. I tak w istocie było, tym bardziej że Sławomir Broniarz ograniczył działania ZNP do składania do minister edukacji wniosków w sprawie podwyżek (dwukrotnie w 2014 r.). Wnioski o podwyżki składano także do premiera Donalda Tuska (w maju 2014 r.) oraz do premier Ewy Kopacz (w październiku 2014 r.). Efekt był taki, że równie dobrze można by pisać na Berdyczów, ale prezes Broniarz mógł tłumaczyć nauczycielom, że się stara. Oczywiście starał się bezskutecznie. Ale przecież nie mógł być „wykorzystywany do bieżącej walki politycznej, obliczonej na zmianę rządu i zwycięstwo danej partii w nadchodzących wyborach parlamentarnych". Co innego, gdy rządzi PiS. Wtedy z Platformą Obywatelską można robić wszystko, żeby wróciła władza, której prezes Broniarz „nie chciałby gloryfikować", ale co ma począć, gdy jej się to należy.

eprasa.pl 2761d14f30

Trwanie puszczy

Zanim rozpocząłem przygotowania do napisania tego tekstu, sądziłem, że będzie objaśniał mechanizmy przyrody. Teraz już wiem, że w głównej mierze będzie o tym, czy potrafimy z sobą rozmawiać. W tle jest zielona, pierwotna puszcza. Do myślenia dały mi już same rozmowy telefoniczne, które odbyłem przed wyjazdem. W głosach rozmówców z Białowieży i Hajnówki, z którymi umawiałem się na spotkania, wyczułem ostrożność, a w głębszych pokładach żal

Ols – podmokłe zbiorowisko leśne. Fragment pierwotnego lasu nizinnego w parku narodowym

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Gdy pakowałem aparaty i obiektywy, a następnie jechałem przez noc ponad pół tysiąca kilometrów, najpierw na północ trasą E7, a później na wschód nową S8, myślałem głównie o tym, że cykl przyrodniczy oraz trwanie puszczy są dużo dłuższe niż jakiekolwiek rządy, koalicje i opozycje. Czy smutek pobrzmiewający w wypowiedziach indagowanych przeze mnie osób, z którymi za chwilę miałem się spotkać, wypływał właśnie z poczucia, że ponadczasowa wartość, której są strażnikami, wtłaczana jest w koleiny politycznej doraźności? Jadę i postanawiam, że te rozmowy nie będą ani o PiS, ani o PO. Że taka retoryka w lesie, który ma 12 tys. lat, nie ma sensu. Co więcej, nazywanie tych, którzy nie chcą ciąć drzew, „ekolewakami", a tych, którzy planują prowadzenie gospodarki leśnej – „pazernymi bandytami", przynosi wielką szkodę. Największą samej Puszczy Białowieskiej.

TORNADO I FILOZOFIA PRZYRODY

To, co w normalnych okolicznościach byłoby „dwoma głosami w dyskusji" lub „różnymi poglądami na sprawę", w skłóconym świecie, w którym przyszło nam żyć, określane jest jako „konflikt". Osią tego konfliktu tornada była polityka. Jego niszczycielski ruch przez Polskę zagarnął także kulturę, naukę, a nawet język i relacje rodzinne. W końcu przyszedł czas na przyrodę. Zagadnienia związane z jej ochroną zostały wciągnięte w wielki wir konfliktu. Niepotrzebnie.

Dualizm w rozumieniu roli człowieka w przyrodzie cechował ludzkość już od XVI w. Aktualna polityczna potrzeba społeczeństwa, aby specjaliści od puszczy brali się za bary o to, czy człowiek powinien aktywnie kształtować rzeczywistość przyrodniczą, czy pozostawić ją samą sobie, mogłaby być wystudzona chociażby dzięki prostej konstatacji, że przerabiali już to Francis Bacon i Michel de Montaigne. Ten pierwszy postulował konieczność podporządkowania natury człowiekowi (dodawał jednak: „Nie można bowiem przyrody zwyciężyć inaczej niż przez to, że się jej słucha"). Montaigne odżegnywał się od dyktatu człowieka nad światem przyrody. Za Baconem, w rozumieniu nadrzędnej roli człowieka w przyrodzie, poszli Kartezjusz i Newton. To, co naturalne, uprzedmiotowili. Człowiek, czyli „rzecz myśląca" (res cogitans), według Kartezjusza miał moc podporządkowania sobie pozbawionej celowości przyrody. Odwrotna wizja, zakładająca rezygnację z dominacji człowieka w przyrodzie oraz zdolność samoregulacji natury, będzie się przewijać przez dzieje. Różne jej odmiany głosili m.in. Jan Jakub Rousseau, utylitarysta Jeremy Bentham, Friedrich Schelling, amerykański romantyk Ralph Emerson itd.

Omszała puszczańska lipa

Rezerwat Lasy Naturalne Puszczy Białowieskiej

Fot. Z archiwum autora (x8)

eprasa.pl 2761d14f30

W mateczniku prastarych lasów…

W PUSZCZY

Nad ranem pokonuję ostatni odcinek trasy. Jadę wolno z Hajnówki do Białowieży. Jestem w środku puszczy. Drzewa tworzą piękny, mroczny tunel. Mógłbym jechać szybciej, lecz wlokę się 40 km/h. Szósty zmysł podpowiada mi ostrożność. Słusznie. 30 m przede mną nagle na drogę wbiega chmara jeleni i skokami znika po drugiej stronie w lesie. Choć jest już wiosna, wokół leży świeżo spadły, z pewnością ostatni tego roku śnieg. Rano będę przemierzał mateczniki puszczy z leśnikami z Nadleśnictwa Hajnówka. Następnego dnia dzięki uprzejmości dyrekcji Instytutu Biologii Ssaków PAN będę miał możliwość zobaczyć te same miejsca innymi oczami.

Czy jest sens pisać, że Puszcza Białowieska to 1,5 tys. km2 naturalnych, nizinnych lasów europejskich; że niemalże połowa tego kompleksu leży w Polsce; że 17 proc. polskiej puszczy to park narodowy, ale ochroną bierną objęte jest aż 45 proc. Puszczy Białowieskiej po stronie Polski; że las został wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO? Z pewnością tak. Warto wciąż dokonywać przypominającej inwentaryzacji puszczańskich dóbr, aby wiedzieć, o co toczy się gra.

Warto też zdefiniować problem. Nie jest to jednak proste. Trudności, tak jak sama puszcza, są zniuansowane. Nie da się jednym zdaniem ani hasłem opisać, w czym tkwi problem. „Kornik?", „Ciąć czy nie ciąć?", „Ochrona czynna czy bierna?". Gdy zaczynam drążyć jeden temat, pojawiają się jak grzyby po deszczu nowe. Po kilku dniach spędzonych w prastarym lesie z jego gospodarzami stwierdzam, że zaprzęganie polityki komplikuje sytuację do kwadratu. Jedno jest pewne – w obliczu niełatwej diagnozy trzeba być ostrożnym z wystawianiem łatwych recept. W tym, co niektórzy postronni widzowie chcieliby widzieć jako konflikt, a ja proponowałbym określenie „wyzwanie", nic nie jest czarno-białe.

W NADLEŚNICTWIE

Rano stawiam się w Hajnówce. W dużym, dobrze utrzymanym budynku nadleśnictwa spędzam dłuższą chwilę. Rozmawiam z nadleśniczym i inżynierem nadzoru. Nadleśniczy Mariusz Agiejczyk mówi, że pierwszy rezerwat białowieski, który stał się później parkiem narodowym, powstał dla ochrony i poznania unikatowego, pierwotnego lasu. I że w swojej pracy robi właśnie to – stara się poznać procesy puszczańskie oraz wspomagać je tam, gdzie trzeba w zmieniających się warunkach. Boli go zarzut, że gospodarka leśna prowadzona jest dla zysku. I rzeczywiście – puszczańskie nadleśnictwa są deficytowe. Lasy Państwowe dopłacają do nich, żeby mogły kontynuować myśl pierwszego dyrektora tej instytucji Adama Loreta. To dzięki niemu przerwano rabunkową wycinkę Puszczy Białowieskiej prowadzoną po I wojnie światowej przez brytyjską firmę Century, a najcenniejszą część objęto ochroną jako Białowieski Park Narodowy.

Poruszamy kwestię, że nie wszystkie drzewostany puszczy są lasem pierwotnym, a także tę, że poza parkiem narodowym, na terenie administrowanym przez Lasy Państwowe, znajduje się niewiele mniejszy od parku rezerwat, w którym nie prowadzi się gospodarki leśnej.

Nadleśniczy mówi też o odpowiedzialności – o zapewnieniu bezpieczeństwa wzdłuż dróg, na które mogą się przewrócić zabite przez kornika suche świerki, i o rosnącym zagrożeniu pożarowym. I o tym, że nic nie zwalnia go od odpowiedzialności za powierzone mu obowiązki oraz bezpieczeństwo ludzi.

Nadleśniczy podejmuje jeszcze jeden ważny temat. W zasadzie wszyscy późniejsi rozmówcy go poruszyli: to problem miejscowej ludności. Podczas tych kilku dni usłyszałem wszystkie możliwe interpretacje sytuacji mieszkańców na tym terenie: od zagrożenia utknięciem w swoistym skansenie, jeśli poszerzy się park i ograniczy wszelką ludzką aktywność, po wizję szansy na rozwój turystyki, jaka miałaby się stać udziałem mieszkańców w przypadku poszerzenia parku.

Po rozmowie w nadleśnictwie wyruszamy w teren wraz z inżynierem nadzoru. To, co w zamkniętej przestrzeni gabinetu wydawało się odległe, nagle staje się namacalne, pachnące, szumiące i zielone. I szare – tam, gdzie buszował kornik drukarz. Oglądamy miejsca, w których leśnicy próbują powstrzymać gradację tego chrząszcza. Czy jeżeli pozostawimy je samym sobie, zamiast pierwotnej puszczy nie pojawią się gatunki inwazyjne? Śnieg zalegający cienką warstwą na ściółce pomiędzy drzewami powoli topi się w mocnym słońcu, którego promienie kilka dni temu rozpoczęły wędrówkę od równika w kierunku Zwrotnika Raka.

PARK NARODOWY

Wczesnym popołudniem jestem z powrotem w Białowieży, w zjawiskowym obiekcie z wieżą, usytuowanym w samym środku starego pałacowego parku. W budynku mieści się siedziba Białowieskiego Parku Narodowego oraz muzeum. Jedno ze zdjęć z muzealnej

Żerowisko kornika na martwym świerku w puszczy

eprasa.pl 2761d14f30

Czy problem wody wkrótce nie stanie się bardziej palący niż problem kornika?

Przylaszczki w Puszczy

ekspozycji ma następujący podpis: „Las naturalny to przeciwieństwo lasu gospodarczego, który człowiek sadzi, pielęgnuje i użytkuje. W naturalnym nie ma gatunków złych i dobrych, pożądanych i niechcianych. To ogromny organizm złożony z wielu wzajemnie powiązanych elementów. Tu śmierć jednego drzewa oznacza początek życia następnego". A inny podpis: „Dzięki nieingerowaniu człowieka w procesy zachodzące w lasach Białowieskiego Parku Narodowego możemy obserwować naturalne przemiany drzewostanów".

Zdania te mogłyby stać się mottem polityki Białowieskiego Parku Narodowego. Gospodarkę leśną realizowaną przez Lasy Państwowe możemy porównać do działań utalentowanego fryzjera, nieznacznie i kunsztownie podcinającego długie, naturalne włosy, aby były silne oraz zdrowe. Natomiast BPN jest miejscem realizacji koncepcji, w myśl której fryzura powinna być prawdziwie dzika. Nie ma tu mowy o puszczy, która naturalność osiąga z drobną pomocą piły. Postuluje się tu natomiast naturalność bezkompromisową, opartą wyłącznie na mechanizmach lasu, z wszystkimi tego konsekwencjami. Postuluje się i realizuje – tak właśnie, bez gospodarki leśnej, wygląda puszcza na terenie Białowieskiego Parku Narodowego.

O tym rozmawiam z zastępcą dyrektora Białowieskiego Parku Narodowego do spraw ochrony przyrody Aleksandrem Bołbotem. Mówi, że poglądy na puszczę prezentowane przez obecne w Białowieży instytucje naukowe ścierały się od przedwojnia. Zwraca uwagę, że Światowe Dziedzictwo nie powinno dzielić ani antagonizować. Jest wyróżnieniem, wartością, o którą warto zabiegać. W całej historii z listy UNESCO wykreślone zostały tylko dwa miejsca, oba na skutek działań własnych i zaniedbań. Jedno próbuje odzyskać bezcenny wpis na listę. Bezskutecznie.

Padają też słowa o tym, że koniecznie powinno się wypracować porozumienie oparte na zaufaniu; że druga strona dąży do osiągnięcia kompromisu, pod którym każdy może się podpisać. Zwraca uwagę, że bez wypracowania wspólnego stanowiska żadne rozwiązanie nie będzie skuteczne: niezależnie od przyjętej drogi w puszczy pozostaną ci sami ludzie, którzy są tu obecnie, koncepcja narzucona bez aprobaty nie jest więc rozwiązaniem problemu. Rozmowa dociera do ciekawego wątku, o ważności dobrze układającej się współpracy z Białorusią. To wielki temat. To w tym kraju znajduje się 58 proc. puszczy.

GŁOS ZA POWIĘKSZENIEM PARKU

Kolejnego dnia od rana podejmuję trop dzikich ssaków. Trop, przynajmniej z początku, jest instytucjonalny, wiedzie mnie bowiem do białowieskiego Instytutu Biologii Ssaków PAN. Jednostka ta mocno angażuje się na rzecz powiększenia parku narodowego – to główny powód mojej wizyty. Od razu ruszamy w teren. Przy okazji na leśnej drodze analizujemy tropy jelenia, przy których znajdują się wilcze odchody. Jednak głównym tematem naszej rozmowy jest las. Z dyrektorem instytutu prof. Rafałem Kowalczykiem odwiedzamy niemal te same miejsca, w które zabrali mnie leśnicy z Hajnówki. O korniku mówi, że nie zabije puszczy, nie wyniszczy świerków, których młode pokolenie już się odnawia. Zamiast więc mówić o walce z kornikiem, pokazuje zniszczenia pozostawione przez harvestery. Dla porównania pokazuje mi powierzchnię, na której pracowali pilarze. Rzeczywiście wygląda znacznie lepiej. Od razu przypominam sobie rozmowę z nadleśniczym, który podobnie jak prof. Kowalczyk pragnąłby dla dobra lasu zrezygnować z użycia maszyn. W niektórych przypadkach nie może tego zrobić ze względu na bezpieczeństwo pracowników. Profesor wskazuje na konieczność zaakceptowania unikatowości puszczy. Podkreśla, że jest to punkt wyjścia do wszelkich rozmów i działań.

Na koniec spotykam się z prof. Bogdanem Jaroszewiczem, kierownikiem Białowieskiej Stacji Geobotanicznej Uniwersytetu Warszawskiego. Uważa polską gospodarkę leśną za stojącą na wysokim poziomie; w tym konkretnym przypadku ma jednak inną wizję tego, co powinniśmy zrobić z Puszczą Białowieską. Jest za poszerzeniem parku narodowego. Bo to, co sprawdza się w innych lasach, nie sprawdzi się tutaj. Nie ma drugiego takiego lasu, nie można więc gospodarować nim tak jak innymi. Rozszerzona ochrona nie wykluczałaby czasem ingerencji człowieka chcącego niekiedy wspomóc niektóre elementy lub procesy przyrodnicze. Część lasów też, ze względu na ich charakter, mogłaby pozostać gospodarczymi. Do tego potrzebna jest jednak przemyślana, wspólnie tworzona strategia. Punkt wyjścia już jest – wszyscy zgadzają się, że to miejsce specjalne.

DWIE OSOBY, JEDEN CEL

Zastanawiam się, co powiedzieliby o dzisiejszym sporze o puszczę Władysław Szafer i Adam Loret wciągnięci w jego wir. Obaj urodzili się jeszcze w XIX w. i obaj upamiętnili się w historii Puszczy Białowieskiej. Pierwszy

1/0119/F

eprasa.pl 2761d14f30

Łany czosnku niedźwiedziego w najstarszej części BPN

to botanik – profesor UJ, który od początku niepodległego państwa polskiego walczył o ochronę puszczy. Według dzisiejszych kryteriów można by powiedzieć o nim „ekolog". Drugi – dyrektor Lasów Państwowych, a więc „leśnik". Dychotomia równie dobrze dziś ugruntowana w świadomości społecznej, ile bezsensowna. Z jednej strony ekologia bowiem to podstawowa nauka w programie uczelni leśnych (każdy leśnik jest więc ekologiem), a z drugiej – wiele osób z pozornie przeciwnej strony to ludzie po studiach leśnych, czyli leśnicy. Gdyby jednak nie „ekolog" Szafer i „leśnik" Loret, dziś nie mielibyśmy o co się kłócić, bo puszczy by nie było.

NADZIEJA NA HORYZONCIE

Idę przez las. Jest cicho, a jednocześnie gwarnie, w podszycie szaleją setki zięb, a z każdej strony dobiegają werble dzięciołów. Po obu stronach ścieżki zielenią się łany czosnku niedźwiedziego. Patrzę na grube dęby i omszałe lipy. Czuję, że Puszcza Białowieska nie będzie ostatnia i rozwiązanie tej sprawy nie rozwiąże wszystkich. Mierzeja Wiślana, lasy karpackie i wiele innych już trwających lub rysujących się na horyzoncie potencjalnie spornych kwestii. Być może już niedługo w samej puszczy pojawi się nowy problem, znacznie poważniejszy niż kornik – brak wody. Musimy umieć ustalać wspólne stanowisko i nie dopuszczać do konfliktów. Nigdy nie osiągniemy stanu, w którym wszystkie problemy i zagadnienia zostaną rozwiązane, będą się pojawiać nowe. Przyroda jest dynamiczna i jej potrzeby, podobnie jak nasze, się zmieniają.

Gradacja kornika z jednej strony stała się katalizatorem animozji, ale z drugiej pokazała, że każda ze stron kieruje się autentyczną troską o Puszczę Białowieską. Czy uda się podjąć dialog? Przed wyjazdem z Białowieży trafia do mnie informacja z Lasów Państwowych o zaplanowanym na 2 kwietnia spotkaniu: „Leśnicy, naukowcy i organizacje pozarządowe siadają do stołu, by rozmawiać o Puszczy Białowieskiej". Koncyliacja, a nie kłótnie o zabarwieniu politycznym, takie mam marzenia odnośnie do tego spotkania i losów puszczy w ogóle. Wracam, znów przez noc, drogą ekspresową S8 na zachód, pełen dobrych myśli.

REKLAMA

kasastefczyka.pl

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.
Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku.

eprasa.pl 2761d14f30

Niektórzy dużo zapłacą, by wróciły poprzednie rządy

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2761d14f30

Są podwórka, na których stoi po kilkanaście cystern. Nielegalny import stanął. I ci ludzie, i nie tylko oni, mają interes w zwalczaniu obozu Jarosława Kaczyńskiego

Michał Karnowski rozmawia z dr. Zbigniewem Kuźmiukiem, ekonomistą, politykiem Prawa i Sprawiedliwości, wiceprzewodniczącym Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi Parlamentu Europejskiego

Kampania już w pełni, choć rozłożona na dwa etapy. Najpierw do Parlamentu Europejskiego, gdzie i pan ponownie kandyduje, a następnie do Sejmu i Senatu. Warto na chwilę się odwrócić i spojrzeć wstecz. W 2015 r. PiS zapowiadało, że „wystarczy nie kraść", i mówiło o ogromnych złodziejstwach dokonujących się w Polsce. Ale część wyborców pyta: kogo zamknęliście? Gdzie dowody?

Zbigniew Kuźmiuk: Walkę z przestępczością, także VAT-owską, każdy chyba jednak widzi. Ważniejsze od słów są jednak liczby. W 2015 r. z czterech najważniejszych podatków wpłynęło do budżetu 260 mld zł, w planie na rok 2019 z tych samych czterech podatków będzie to 360 mld zł. Zasadnicza część tej kwoty to wpływy z podatku VAT, ale wyraźnie rosną też wpływy z akcyzy, podatku CIT, mimo zmniejszania jego stawek, a także z PIT.

Ludzie płacą więcej?

Bo rosną płace i następuje wyraźne ograniczanie szarej strefy. Tu jeszcze ważna uwaga: często pomija się fakt, według mnie ważny, że rosną nie tylko przychody budżetu, lecz i samorządów. To jest ok. 25 mld zł więcej niż w roku 2015. Gminy, powiaty i województwa dostają ok. 50 proc. wpływów z podatku PIT i 25 proc. z podatku CIT. I samorządowcy o tym wiedzą. Niektórzy bawią się politycznie czy ideologicznie, a to planując sprowadzanie imigrantów, a to promując jakieś karty LGBT, ale jeśli chodzi o finanse, to nie mogą narzekać – za naszych rządów także oni mają lepiej.

To się jednak nie rozkłada równomiernie w kraju. Najbogatsze regiony zyskują najwięcej.

Taka jest natura procentowego udziału we wpływach podatkowych. Ale bez wątpienia każdy samorząd dostaje więcej pieniędzy. W sumie to potężny zastrzyk finansowy. Powtarzam: można ideologicznie czy politycznie nie lubić PiS, ale te rządy są bardzo skuteczne i korzystne dla wszystkich.

Krytycy odpowiedzą: trafiliście na koniunkturę.

Zawsze trafiamy? A oni zawsze mają pecha? Może, jak to już ktoś kiedyś powiedział, to nie jest tak, że PO trafia na kryzys, ale jej rządy same są kryzysem? Nawet jeśliby przyjąć, że po prostu zawsze mają pecha, co nie jest prawdą, to też nie byłaby wskazówka zachęcająca do powierzania im władzy w Polsce. A już serio mówiąc, to oczywiście nie ulega wątpliwości, że koniunktura w Europie i na świecie w pewnym stopniu sprzyja polskiej gospodarce. Jak spojrzymy na szczegółowe dane, to ten argument blednie jeszcze bardziej. Gospodarki zachodnie wcale nie rozwijają się rewelacyjnie. Już miniony rok pokazuje dużą różnicę: u nas było 5,1 proc. wzrostu PKB, tam 1,5–2 proc. Średni wzrost w krajach strefy euro wyniósł 1,7 proc.

Co napędza polską gospodarkę? Co daje nam wzrost tak znacząco wyższy?

Mamy dwa główne silniki. Pierwszy to inwestycje, a drugi to konsumpcja nakręcana programami prorodzinnymi i socjalnymi rządu, a także wzrostem płac. Trzeba powiedzieć jasno: wzrost płac został świadomie wymuszony, m.in. poprzez podniesienie o prawie 1/3 płacy minimalnej z 1750 zł do 2250 zł. Wzrosła także minimalna stawka godzinowa, na ten rok już 14 zł 70 gr. Samo jej wprowadzenie było zmianą cywilizacyjną. Uważam za hańbę, że żaden poprzedni rząd się na taki ruch nie zdecydował.

REKLAMA

11/0419/F

eprasa.pl 2761d14f30

Może nie mogli?

Mogli, tylko świadomie prowadzili politykę budowania rozwoju gospodarczego przez utrzymywanie niskich płac. To był jedyny pomysł: niskie płace dają niskie koszty i to miał być główny czynnik naszego rozwoju. Rządy PiS z tym skończyły.

Ale jak głosi częsty zarzut – zaczęły rozdawnictwo. Opozycja, jej media i związani z nią ekonomiści pytają: dlaczego nie odkładamy na przyszłość? Dlaczego stawiamy na konsumpcję, a nie innowacyjność?

To nieprawda. We wzroście gospodarczym roku 2018 wyraźnie odznacza się czynnik inwestycyjny. Nie jest jeszcze wprawdzie na taką miarę jak byśmy sobie wyobrażali, ale ruszyło mocno.

> Wreszcie skończono z tym myśleniem z lat 90., że wolno kraść, bo to buduje kapitalizm, że każdy milion wzięty z państwowego banku i nieoddany to też prywatyzacja. Te złote myśli środowiska gdańskich i wrocławskich liberałów przyniosły Polsce ogromne straty

Inwestycje mogły być wstrzymywane politycznie po zmianie rządu? Przez przedsiębiorców? Samorządy?

Na początku taki element mógł gdzieniegdzie wystąpić, ale w momencie, gdy stało się jasne, iż te rządy nie są epizodem, nie da się ich obalić jedną czy drugą demonstracją, to przeminęło. Każdy przedsiębiorca, gdy widzi wzrost popytu i wykorzystanie dotychczasowych możliwości, stara się je rozszerzać. Samorządy też są rozliczane przez mieszkańców z tego, co zrobią, a nie z tego, czy lubią obecny rząd, czy nie lubią.

Skoro już rozmawiamy o przedsiębiorcach – pada często zarzut, że rząd tak się skupił na programach społecznych, że tej grupy nie zauważa. Zgadza się pan z tym zarzutem?

Zdecydowanie nie. Jest obniżony ZUS dla mikroprzedsiębiorców. OK – ktoś może powiedzieć, że to jakby obok głównych mechanizmów gospodarczych, choć ja uważam, że to ważne. Daje szanse ruszenia do przodu tysiącom firm. Ale mamy poważną obniżkę podatku dochodowego od podmiotów (CIT), która może dotyczyć aż 430 tys. przedsiębiorstw. Wprowadziliśmy jednorazowy odpis 100 tys. nakładów inwestycyjnych, jednoroczną amortyzację. Do tego dochodzi program Czyste Powietrze, który oznacza 100 mld zł na rozmaite formy modernizacji proekologicznej. To wszystko przynosi efekty.

Są zarzuty, że program rusza ślamazarnie.

Z tego, co wiem, okres przygotowawczy był faktycznie pracochłonny, ale już się zakończył. Rozpędza się też Mieszkanie+ – w przyszłym roku w budowie ma być już 100 tys. mieszkań. To także mimo wolniejszego, niż byśmy chcieli, startu potężny program inwestycyjny, w który zaangażowane są pieniądze Banku Gospodarstwa Krajowego.

Skąd są te pieniądze? Mimo wpompowania 40 mld zł w programy prorodzinne i socjalne budżet się domyka, była nawet szansa na pierwszy w historii budżet zrównoważony, bez deficytu, jednak ogłoszenie piątki Kaczyńskiego to odsunęło. Czy te pieniądze były wcześniej rozkradane?

Pewnie nie wszystkie, ale duża część tych sum dzisiaj trafiających do rodzin wcześniej trafiała do kilku prywatnych kieszeni. Można mówić o prywatyzacji podatków dokonanej z przyzwoleniem politycznym poprzednich rządów.

Dlaczego ludzie, którzy tego dokonywali, nie siedzą w aresztach?

Część siedzi. Jak zerkniemy do sprawozdań CBA, to widać ogromny wysiłek i dużą skuteczność w zwalczaniu przestępczości gospodarczej, rozmaitych mafii VAT-owskich, oszustów, wyłudzaczy. I nikt, nieważne jak wysoko w establishmencie ustawiony, nie jest nietykalny. Nie ma świętych krów. Wnioski prokuratorskie idą w setki, nie ma tygodnia, by CBA czy inne służby nie zdejmowały kolejnej karuzeli VAT-owskiej. Gorzej bywa w sądach, które wydają czasami dziwne wyroki. Ale sporo jednak zapada.

To sprawy z przeszłości. A dzisiaj nie kradną?

Zawsze ktoś będzie próbował, bo pokusa jest ogromna. Ale jeden z wiceministrów finansów powiedział, że karuzele VAT-owskie na ogromną skalę nie są już dzisiaj możliwe – zostałyby wykryte na dość wczesnym etapie. A warto pamiętać, że uszczelnienie systemu postępuje. Aparat skarbowy działa coraz lepiej.

Politycy PO twierdzą, że to za ich rządów rozpoczęto prace nad zmianami, np. zaplanowanie narzędzia, jakim jest jednolity plik kontrolny, dziś tak istotny mechanizm walki z nadużyciami.

Jak to było za ich rządów, pokazują prace sejmowej komisji śledczej badającej nadużycia VAT. Wynika z nich, że troska tamtej władzy skupiała się raczej na tym, by wielkie grupy lobbystyczne dostawały wszystko, czego zażądały. Jasne, że jakieś prace koncepcyjne nad uszczelnieniem systemu toczyły się w ministerstwach, ale w dziwny sposób nigdy nie wchodziły do realizacji.

A jaka rola była w tym uszczelnieniu zmiany prawa, radykalnego podniesienia odpowiedzialności karnej za oszustwa na VAT? Dziś można pójść za to do więzienia nawet na 25 lat.

W mojej opinii to działa prewencyjnie. Wiem, że zdarzają się nawet przypadki, iż ludzie uczestniczący w przeszło-

13/0319/F

eprasa.pl 2761d14f30

ści w takich przekrętach, a widzący, jak skutecznie aparat państwa to ściga, zgłaszają się sami, licząc na łagodniejsze wyroki i kary. Wiedzą, że i tak do nich dojdą. Cieszy mnie, że wreszcie skończono z tym myśleniem z lat 90., że wolno kraść, bo to buduje kapitalizm, że każdy milion wzięty z państwowego banku i nieoddany to też prywatyzacja. Te złote myśli środowiska gdańskich i wrocławskich liberałów przyniosły Polsce ogromne straty.

Z tego, co dziś wiemy o państwie Tuska, wynika, że mogła być jakaś cicha zgoda także na przemyt, np. paliw. To możliwe?

Sam Orlen w 2018 r. wpłacił do budżetu państwa 36 mld zł podatków. Czyli 1/10 tego, co będzie w całym budżecie kraju. I o 10 mld zł więcej niż ten koncern wpłacił w roku 2015. Sprzedaż oleju napędowego wzrosła przez trzy i pół roku o 45 proc.!

Zużywamy aż tyle więcej czy tyle było lewego importu na rynku?

To drugie. Zużycie nieco wzrosło, ale to może 5 proc. Reszta wynika z wprowadzonego przez rząd PiS pakietu paliwowego, energetycznego i transportowego, który miał za zadanie ukrócić nadużycia w tym obszarze. I to się udało. Jak słyszę, są podwórka, na których stoi po kilkanaście cystern, i nic nie wożą.

Import stanął?

Nielegalny import stanął. I ci ludzie, przypuszczam, daliby każde pieniądze, żeby władza się zmieniła, żeby przegnać obóz Jarosława Kaczyńskiego.

To są naprawdę mocne dane. Czy na tle tego wszystkiego, co zrobiono, w tym przekierowania strumieni pieniędzy z kieszeni złodziei do rodzin, poparcie rzędu nieco ponad 40 proc. dla PiS nie jest nieco rozczarowujące?

Musimy się przebijać do ludzi z tymi konkretami. Liczę na to, że kolejne objazdy naszych liderów i polityków po Polsce przyniosą w końcu efekt. W wielu mediach niestety ten obraz jest zafałszowany. A już największym kłamstwem jest dowodzenie, że wszyscy są za tym, by płace rosły, by były programy prorodzinne i socjalne. Warto sobie przypomnieć, jaką histerię wywoływały za poprzednich rządów takie propozycje. I jak niczego takiego przez osiem lat nawet nie próbowano wdrożyć. Byłem wtedy posłem w Sejmie i to pamiętam. Oni działali w drugą stronę: likwidowano nadgodziny, bez przerwy „uelastyczniano" rynek pracy, co w praktyce oznaczało nieograniczony dyktat pracodawcy i działanie antyrozwojowe, oparcie gospodarki wyłącznie na taniej robociźnie.

Gdyby rządy się zmieniły, 500+ byłoby utrzymane? Trzynastka dla emerytów byłaby wypłacana?

REKLAMA

Fot. Andrzej Wiktor

Absolutnie nie. Cokolwiek by mówili, jakkolwiek by się zaklinali, natychmiast wrócą układy i układziki. Znowu popłyną rzeki pieniędzy do prywatnych kieszeni. Tam jest ogromna presja, by znowu się dorwać do tych pieniędzy. I choćby nawet chcieli te programy utrzymać, nie dadzą rady – bo zabrakłoby dla ich kolegów i przyjaciół. To są dwie różne filozofie. Uważamy, że np. 500+ to inwestycja w rodziny, w lepszą edukację, w zdrowie. Dla nich to wyłącznie rozdawnictwo. Oby Polacy nie musieli się znowu o tym przekonywać na własnej skórze.

Cel demograficzny nie został chyba jednak spełniony. Dzieci rodzi się mniej, niż liczono.

To złe ujęcie tematu. Rodzi się o kilkadziesiąt tysięcy dzieci rocznie więcej, niż zakładały prognozy za rządów PO-PSL. Musimy też pamiętać, że dziś kobiet w wieku rozrodczym jest w rocznikach po ok. 100 tys. mniej niż jeszcze kilka lat temu.

Wracając do piątki Kaczyńskiego – czy tak szeroki pakiet nie rozkręca oczekiwań tych grup społecznych i zawodowych, które czują się upośledzone? Zbiedniałe? Protest nauczycieli jest tu dobrym przykładem.

W sprawie nauczycieli jakieś błędy zostały chyba popełnione, być może komunikacyjne, bo jednak rząd zaplanował podwyżkę 16-procentową, przeznaczając na to 4 mld zł. To poważne sumy, większe niż kiedykolwiek wcześniej, a nauczyciele jakby o tym nie wiedzieli. A może wygrała polityczna intencja niektórych liderów związkowych? Wydaje się, że rozmowy wicepremier Beaty Szydło ze związkowcami część nieporozumień wyjaśniły. Warto też pamiętać, że programy prorodzinne trafiają także do rodzin nauczycielskich, a zerowy PIT do 26. roku życia dotyczy też młodych nauczycieli. Dużym kłopotem jest to, że ludzie zostali za rządów PO-PSL naprawdę tak wyżyłowani, że kiedy proponujemy rozłożenie pewnych zadań w czasie, nie chcą czasami słuchać. Trzeba tu rozmów i cierpliwości z obu stron.

Jest pan doktorem ekonomii, zna pan świat, pracuje pan w Parlamencie Europejskim. Czy z pana perspektywy można powiedzieć, że ten polski socjal jest już jakoś zbliżony do zachodniego? Rozbuchany, jak sugeruje opozycja?

Absolutnie nie. Robimy rzeczy, które tam są oczywistością – np. wsparcie rodzin. We Francji można się rozliczać wspólnie z dziećmi, dochód dzieli się przez liczbę członków rodziny i tak dalej. Musieliśmy coś zrobić, bo tak duża dysproporcja wyniszczała nas także demograficznie, powodowała upływ młodej krwi. Życie w Anglii czy w Niemczech było z tego powodu nieporównywalnie atrakcyjniejsze dla młodej, perspektywicznej rodziny. Stąd tak wiele narodzin w polskich rodzinach w Anglii. Ale najbardziej mnie cieszy, że to wszystko tak dobrze zadziałało. Mamy lepszą sytuację demograficzną, ale i wzrost gospodarczy oraz inwestycje. Rządy obozu Jarosława Kaczyńskiego okazują się dla Polski niezwykle korzystne, co wynika z twardych danych statystycznych. Szybko gonimy państwa zachodniej Europy.

Kto zatem wygra wybory? Te europejskie i jesienne, do Sejmu i Senatu?

Myślę, że wybory do PE wygramy, mimo że to dla nas trudna kampania, z bardziej zmobilizowanym elektoratem liberalnym. Z drugiej strony oferta Koalicji Europejskiej aż iskrzy od różnic, sprzeczności, nielogiczności. A obecności w tym towarzystwie – podobno chrześcijańskiego i ludowego – PSL nikt nie rozumie.

Zdrada wyborców?

Powiem tak: swoim wyborcom nie dają nawet szans, żeby na nich głosować. Wiem, iż wielu działaczy PSL w terenie ma poczucie, że zostali wystawieni. Ale zastanawiam się, czy nie są już tak słabi, że nie mieli innego wyjścia, niż postawić swoje zielone sztandary pod tęczową flagą.

Wróćmy do jesiennych wyborów.

Jest duże prawdopodobieństwo, że ponownie zdobędziemy samodzielną większość. Sądzę, że mimo wszystkich naszych wad, bo każdy je ma, Polacy docenią ten dorobek czterech lat, tę widoczną zmianę w kraju i w ich życiu.

eprasa.pl 2761d14f30

PIOTR GONTARCZYK
IPN WARSZAWA

Od kilku lat w literaturze wydawanej pod szyldem IFS PAN pojawia się informacja o masowych zbrodniach braci Józefa i Aleksandra Hryciów z Podlasia, którzy nożami i siekierami mieli zgładzić w czasie wojny dziesiątki Żydów. Kłopot tylko w tym, że do tych wydarzeń nigdy nie doszło

Prof. Barbara Engelking

Fot. Michał Woźniak/East News

Polskie zbrodnie na Żydach, których nigdy nie popełniono

eprasa.pl 2761d14f30

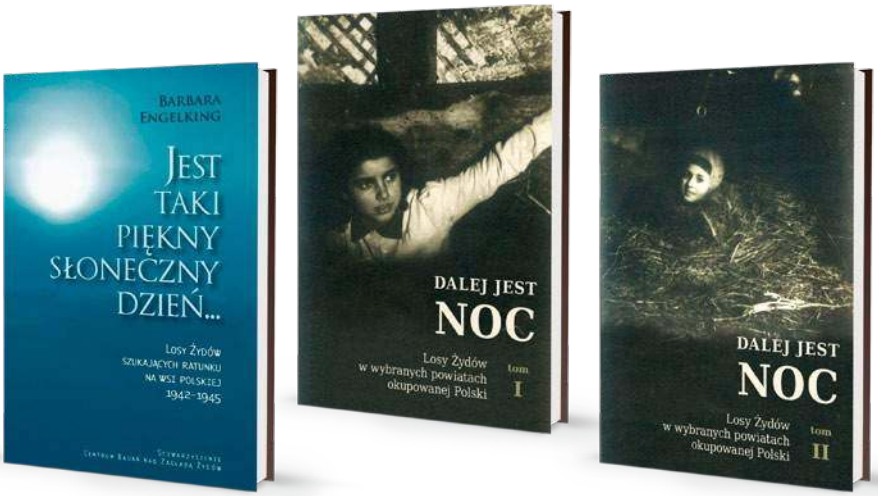

Ta historia miała się wydarzyć we wsi Chojewo w powiecie Bielsk Podlaski. Tu, wedle wydanej w 2011 r. książki Barbary Engelking „Jest taki piękny słoneczny dzień... Losy Żydów na wsi polskiej 1942–1945", rozgrywały się dramatyczne sceny mordowania Żydów. Źródłem tych informacji były dwie relacje z archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego oraz akta powojennej sprawy karnej Józefa i Aleksandra Hryciów. Wspomniani mieli w czasie wojny zabić w okrutny sposób dziesiątki Żydów: jednych rąbali siekierami, innym podrzynali gardła nożami, jeszcze innych, ogłuszonych siekierą albo z odrąbaną głową, wrzucali do rzeki Nurzec.

Prof. Engelking cytuje opowieść Moszka Oskarda: „Pewnego dnia w grudniu 1942 r. przyszli oni [Hryciowie] do naszych okopów i zarządzili wydanie złota. Ponieważ złota nie mieliśmy, więc oni zaczęli nas bić siekierami. [...] jeden z Ryczów [Hryciów] wyższego wzrostu miał i nóż. Wyrwałem się od nich i ukryłem w pobliżu, w lesie. Słyszałem, jak kobiety prosiły Kamińskiego i Ryczów [Hryciów], żeby nie odbierali im życia. Odpowiedzieli oni na to: »już dosyć życia dla was było«. [...] Powróciłem do okopów i stwierdziłem, iż Jęczmień Chana, Cieśluk Rywa i Jęczmień Chaja już nie żyli. Jedna z kobiet [...] miała przerżniętą szyję, pozostałe były porąbane siekierami".

Inną dramatyczną historię opowiedział Lejb Trus: „Zrozumiałem wtedy, że są to znani kaci ze spółki braci Rycz [Hryć] z Kamińskim, który już zamordował dziesiątki ludzi. Spróbowałem odejść, spuścili na mnie psy. [...]. Psy zaczęły rwać na mnie ubranie, również gryźć mnie. [...] Zaczęli szukać w kieszeniach ostrego narzędzia, nie znaleźli. Zaczęli mnie wtedy dusić, jeden usiadł na mnie, a drugi dusił. Broniłem się, jak mogłem, w krytycznych momentach ujmowałem ich za narządy płciowe. Dwie godziny mnie męczyli, ale zadusić mnie im się nie udało. [...] Dzięki temu, że umiem dobrze pływać, udało mi się uniknąć pewnej zguby, rzucali we mnie kamieniami, słyszałem, jak starszy zarzucał młodszemu, że teraz zostawiwszy mnie w żywych, będą mieli przeciwko sobie świadka ich wielokrotnych zbrodni".

Jankiel Rubin podsumowywał: „Była ogólna opinia okolicznych mieszkańców, że Hryciowie i Kamiński trudnili się mordowaniem i rabowaniem ludności żydowskiej, tak że nawet ich zabudowania nazywano drugą Treblinką, gdyż zginęła tam większa liczba Żydów". Takie drastyczne opisy we wspomnianej książce ciągną się przez kilka stron. Ale czy są prawdziwe?

PARADA WĄTPLIWOŚCI

Po przesłuchaniach pierwszych świadków Aleksander i Józef Hryciowie zostali zatrzymani. Zaprzeczyli, by w ogóle w czasie wojny mieszkali w Chojewie (na gospodarstwie został ich ojciec), gdyż jako poszukiwani przez Niemców – jeden uciekinier z robót przymusowych, a drugi obawiający się wywózki – ukrywali się w tym czasie u stryja Jana Hrycia w odległej o 15 km od Chojewa wsi Świrydy. Ale mimo to, na podstawie zeznań kilku żydowskich świadków, sporządzono akt oskarżenia i Hryciowie stanęli przed sądem.

Na rozprawie 15 grudnia 1949 r. liczni świadkowie potwierdzili, że Hryciowie cieszyli się dobrą opinią, a w czasie wojny w ogóle nie pojawiali się w okolicach Chojewa. Na jaw wychodziły również okoliczności, których wcześniej nie mógł zweryfikować prokurator. Świadkowie oskarżenia mieli problemy z geografią okolicy, odległościami pomiędzy poszczególnymi miejscami wydarzeń, w których w czasie wojny brali udział. Jeden z cytowanych świadków przepływał rzekę, inny zimą prowadził z Hryciami dramatyczną walkę o życie w głębokiej wodzie z wirami w miejscu, gdzie poza wiosennym przyborem Nurzec dało się wówczas przejść, mocząc co najwyżej uda.

Oskarżający popełniali w relacjach poważne i te same błędy. Sprawą mocno podważającą ich zeznania było to, że cały czas opowiadali, iż bracia Hryciowie działali wspólnie z Janem Kamińskim, dowódcą straży nocnej w Chojewie. Kamiński został zidentyfikowany i aresztowany w innej sprawie, otrzymał karę ośmiu lat więzienia za odwiezienie na posterunek żandarmerii trzech złapanych przez chłopów Żydów, ale z braćmi Hryciami nie miał nic wspólnego. Ponieważ większość świadków oskarżenia nie znała wcześniej braci, opowiadała, że sami przedstawiali się z nazwiska w czasie dokonywania zabójstw.

Wszystko to wyglądało na jakąś powielaną kopię czyjejś opowieści; historię naciąganą, wyuczoną, niewiarygodną i mocno teatralną. Próby wyjaśnienia przez sąd sprzeczności i nieścisłości w zeznaniach kończyły się fatalnie: świadkowie oskarżenia zmieniali wersje wydarzeń lub udzielali kuriozalnych wyjaśnień. O Lejbie Prybucie w protokole rozprawy zapisano: „Świadek nie może wyjaśnić, dlaczego tak zeznawał". Jankiel Rubin: „Z uwagi na sprzeczności zeznania złożonego przez świadka w toku dochodzenia Sąd odczytał [jego poprzednie] zeznania [...], świadek nie umie wyjaśnić, dlaczego tak zeznawał [...]. Obrońca oskar. [żonych] wnosi o ujawnienie zeznań świadka Rubina [...]. Sąd odczytał zeznania świadka, który nie może złożyć żadnego wyjaśnienia".

Wiarygodność aktu oskarżenia topniała z minuty na minutę.

ŚWIADKOWIE

W sprawie braci Hryciów zeznania złożyli także mieszkańcy Chojewa i okolic. O trupach rąbanych siekierami, mordowanych nożami, zwłokach pływających w Nurcu z odciętymi głowami nikt tu nigdy nie słyszał. Dla wszystkich

eprasa.pl 2761d14f30

było jasne, że od 1942 r. Hryciowie nie mieszkali w Chojewie, a inni świadkowie potwierdzili, że byli wówczas w Świrydach.

Osoby, które na potwierdzenie swoich słów powoływali świadkowie oskarżenia, dezawuowały ich wiarygodność. Lejb Trus, który opisał dramatyczną walkę w rzece z braćmi Hryciami, zapewnił sąd, że wszystko potwierdzi żona sołtysa Maria Dawidziuk, która miała mu udzielić wówczas pomocy. Wezwana na salę sądową Dawidziuk zeznała: „Żaden Żyd do nas nie przychodził [...]. Żadnego Żyda nie obmywałam i kożucha nie dawałam, pobitego Żyda nie widziałam i opatrunku nie robiłam, w stodole nikogo z Żydów nie ukrywałam i nie słyszałam o takim wypadku, bym suszyła mokrego Żyda".

Ważne zeznania złożył Antoni Danilczuk z sąsiadującej z Chojewem wsi Pace. Do maja 1943 r. przechowywał u siebie wielu Żydów, w tym rzekomo zamordowane przez Hryciów Chanę i Chajcię Jęczmień, Rywkę Cieśluk oraz zeznającego w sądzie Jankiela Rubina. Nikt nie kwestionował jego wiarygodności, gdyż cudem uratował on życie, kiedy Niemcy spalili mu gospodarstwo wraz z kilkoma ukrywanymi Żydami. Danilczuk oświadczył, że Hryciowie to porządni ludzie, w czasie wojny nie mieszkali w Chojewie i nikt z przechowywanych przez niego Żydów nigdy się na nich nie skarżył. Zaprzeczył, by przypisywane im zbrodnie w ogóle miały miejsce.

Rozprawę odroczono na wniosek prokuratora, by spróbować odnaleźć zakopane zwłoki wspomnianych trzech Żydówek, które miały zostać przez braci Hryciów zamordowane pod koniec 1942 r. Jankiel Rubin zadeklarował na sali sądowej, że miejsce ich pochówku łatwo odnajdzie. Sąd przychylił się do wniosku w formie rozszerzonej, komisja miała bowiem również zbadać, „czy w ogóle zostały jakieś osoby zamordowane w okolicy wsi Chojewo". To była ostatnia szansa, by zeznania oskarżycieli braci Hryciów uzyskały jakiś punkt oparcia. Ale na miejscu ekipa sądowa niczego nie znalazła, bo Rubin nie potrafił wskazać miejsca rzekomego ich pochówku. Akt oskarżenia leżał w gruzach.

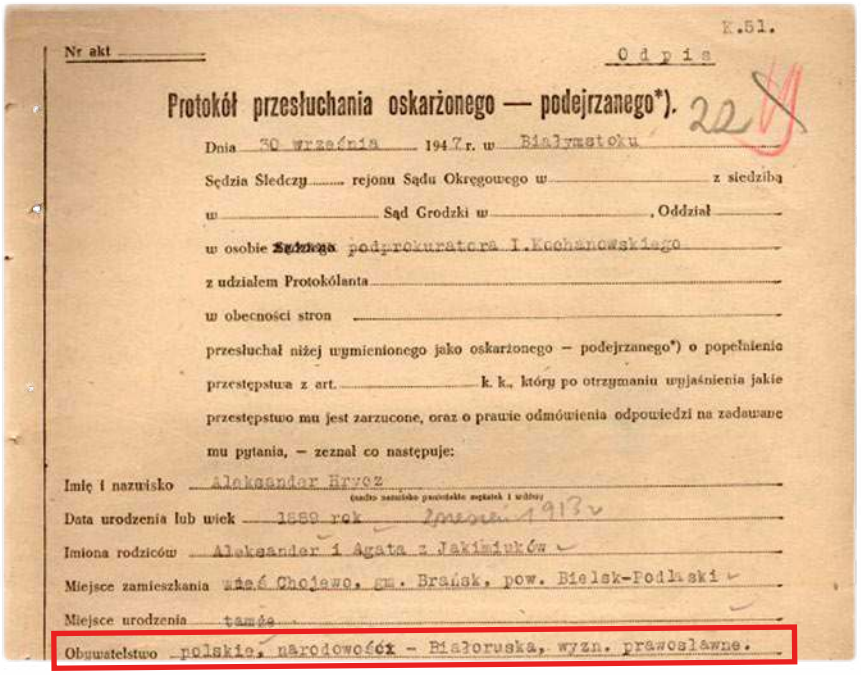
K.51.

Nr akt _____ Odpis

Protokół przesłuchania oskarżonego — podejrzanego*). 22

Dnia 30 września 1947 r. w Białymstoku

Sędzia Śledczy ..... rejonu Sądu Okręgowego w ..... z siedzibą

w ..... Sąd Grodzki w ..... , Oddział .....

w osobie ~~Sędziego~~ podprokuratora I.Kochanowskiego

z udziałem Protokólanta .....

w obecności stron .....

przesłuchał niżej wymienionego jako oskarżonego — podejrzanego*) o popełnienie

przestępstwa z art. ..... k. k., który po otrzymaniu wyjaśnienia jakie

przestępstwo mu jest zarzucone, oraz o prawie odmówienia odpowiedzi na zadawane

mu pytania, — zeznał co następuje:

Imię i nazwisko Aleksander Hryc
(nadto nazwisko panieńskie matki i wdowy)

Data urodzenia lub wiek 1889 rok 2maca 1913 r.

Imiona rodziców Aleksander i Agata z Jakimiuków

Miejsce zamieszkania wieś Chojewo, gm. Brańsk, pow. Bielsk-Podlaski

Miejsce urodzenia tamże

Obywatelstwo polskie, narodowości - Białoruska, wyzn. prawosławne.

FINAŁ

Na drugiej rozprawie 14 lutego 1950 r. odczytano protokół z nieudanych poszukiwań, a do akt sądowych włączono szkic okolicy, który część opowieści żydowskich świadków czynił wręcz fantastycznymi. Kolejni zeznający, poza dalszym dezawuowaniem informacji świadków oskarżenia, nic do sprawy nie wnieśli. Na koniec sąd zapytał po kolei oskarżyciela, obrońcę i oskarżonych o ostatnie słowo. Wówczas wydarzyła się rzecz niezwykła. Prokurator zadeklarował, że „zrzeka się oskarżenia i wnosi o uniewinnienie oskarżonych". Ponieważ do jego zdania dołączyli się oskarżeni i ich adwokat, tylko formalnością był wyrok uniewinniający.

Jednak prof. Engelking uznała w swojej książce, że wyrok sądu jest niezgodny ze stanem faktycznym sprawy, i próbowała na to znaleźć uzasadnienie: „Na rozprawie głównej przed sądem w Białymstoku 14 lutego 1950 r. zeznania świadków żydowskich obciążały braci Hryciów, a świadkowie polscy ich bronili. I choć w czasie konfrontacji w śledztwie Żydzi rozpoznali Hryciów, to na rozprawie ich już nie było, gdyż wyjechali z Polski. Nie można więc było w czasie procesu dokonać konfrontacji. Być może dlatego po wysłuchaniu wszystkich zeznań oskarżyciel odstąpił od oskarżenia".

> Nie wiadomo, dlaczego bracia Hryciowie zostali oskarżeni przez kilku żydowskich świadków o niepopełnione zbrodnie. Ale wiadomo, że takich procesów, u których genezy leżały rozmaite kłamstwa i pomówienia, było więcej

Na jedynej wiarygodnej konfrontacji świadek nie rozpoznał braci Hryć. A logika wywodu powyżej zdumiewa: zeznania świadków oskarżenia na rozprawie 14 lutego 1950 r. obciążały braci, ale nie można ich było skonfrontować z oskarżonymi na sali sądowej, bo wspomniani świadkowie nie byli w tym sądzie, tylko za granicą... Prokurator nie zrezygnował z oskarżenia z powodu braku możliwości dokonania konfrontacji. On doszedł do wniosku, że bracia Hryciowie są niewinni, a skazanie ich na podstawie zwykłych pomówień byłoby niesprawiedliwością.

eprasa.pl 2761d14f30

HISTORIA CZY MASOWA MISTYFIKACJA?

Nie wiadomo, dlaczego bracia Hryciowie zostali oskarżeni przez kilku żydowskich świadków o niepopełnione zbrodnie. Ale wiadomo, że takich procesów, u których genezy leżały rozmaite kłamstwa i pomówienia, było więcej. Wysokie wyroki więzienia zapadały również w przypadku ludzi niewinnych. W grę wchodziły porachunki jeszcze z lat 30., z czasów sowieckiej i niemieckiej okupacji, opieranie się na zasłyszanych historiach, a być może także zemsta za odmowę pomocy w czasie wojny. To tylko hipotezy, ale tę ostatnią wersję należy poważnie brać pod uwagę w przypadku braci Hryciów: ich ojciec, mieszkający w czasie wojny w Chojewie, miał brutalnie wypędzać Żydów szukających u niego pomocy.

(w której także ważną rolę odgrywa sprawa zbrodni braci Hryciów) pod red. prof. Barbary Engelking i prof. Jana Grabowskiego. Tu na dużą skalę do oskarżania Polaków o morderstwa i denuncjacje wykorzystuje się różne mściwe zeznania, fantastyczne opowieści i kłamliwe donosy. W tym świecie chyba wszyscy Polacy są generalnie winni, tylko czasem w skazaniu ich za zbrodnie przeszkodził stronniczy (bo polski) sąd albo inny „rąbek spódnicy".

Pewien intelektualny rekord osiągnął w tej pracy prof. Grabowski, który do napisania, że polscy strażacy podpalali domy w węgrowskim getcie i traktowali Żydów bosakami, użył zeznań niejakiego Adama Sasima („Dalej jest noc...", t. I, s. 466). Sąd, który wydawał wyrok w tej sprawie w 1948 r., wyeliminował

> Okazuje się, że dla prof. Engelking wiarygodność źródeł nie ma większego znaczenia: ważniejsze jest chyba to, co na ich podstawie można spróbować napisać. Czy nadają się do stworzenia aktu oskarżenia wobec Polaków

A świadkowie oskarżenia, ludzie pełni traumy i poczucia krzywdy, mogli w swoim mniemaniu działać w dobrej wierze, przekuwając na „relacje" i „zeznania świadków" zasłyszane oraz powielane z tymi samymi błędami opowieści. Może wchodziły tu w grę inne elementy, których po prostu nie znamy. Ale dotykamy tu kwestii wiarygodności niektórych relacji zachowanych w ŻIH i powstających jednocześnie z nimi zawiadomień do władz o donosach do Niemców i zabójstwach Żydów. Czasem te historie okazywały się prawdziwe i sprawcy przestępstw trafiali do więzienia, ale czasem wartość takich świadectw okazuje się iluzoryczna i trzeba się nimi posługiwać ostrożnie. Ta reguła wydaje się jednak nie dotyczyć piśmiennictwa z Centrum Zagłady Żydów IFS PAN.

Najlepszym tego dowodem jest książka „Dalej jest noc. Losy Polaków w wybranych powiatach okupowanej Polski"

zeznania tego świadka z materiału dowodowego jako „zmieniającego swoje zeznanie w toku postępowania sądowego i mającego opinię pijaka zabierającego w czasie okupacji rzeczy ludności żydowskiej". Jakie źródła taka i wartość dzieł „polskiej szkoły Holocaustu".

O CO TU CHODZI?

W sprawie braci Hryciów najciekawsze jest to, dlaczego prof. Engelking nie przyjęła do wiadomości ustaleń sądu, ale skupiła się na przekonywaniu, że zbrodnie Hryciów miały miejsce, tylko coś tam się stało i dlatego sąd wydał uniewinniający wyrok. Prawdopodobna hipoteza nasuwa się po zestawieniu kilku akt sądowych z tekstami autorki. Okazuje się, że dla pani profesor wiarygodność źródeł nie ma większego znaczenia: ważniejsze jest chyba to, co na ich podstawie można spróbować napisać. Akta sprawy Hryciów były wyjątkowe, bo żadna inna znana mi sprawa karna z tzw. dekretu sierpniowego nie zawiera tak drastycznych opisów mordowania tak dużej liczby Żydów. Te akta pasowały idealnie do tworzenia z góry założonego opisu Polaków.

Zamiast komentarza zacytujmy deklaracje autorki ze wstępu książki „Jest taki piękny słoneczny dzień...": „Świadomie pomijam w tym studium zagadnienie pomocy [Żydom] na wsi, które – jako wymagające odrębnego opracowania – znajduje się poza obszarem moich zainteresowań. Zajmują mnie w tym opracowaniu jedynie Polacy i Żydzi [...], pomijam kwestie ukraińskie, litewskie czy białoruskie" (s. 15). Jak odpowiedzieć na taką niby-naukę, z założenia konstruowaną jako akt oskarżenia wobec Polaków?

Chojewo, w którym mieszkali Hryciowie, nie było wsią typowo polską. W aktach sprawy braci znajdują się dwa protokoły ich przesłuchania z 30 września 1947 r. Obaj podali: „narodowość białoruską, wyznanie prawosławne". Wprawdzie autorka deklarowała, że interesują ją tylko Polacy, ale cóż. Nie z takimi wyzwaniami „polska szkoła badań Holokaustu" sobie radzi. Bracia Hryciowie nie tylko musieli się dopuścić licznych zbrodni, których nie popełnili, lecz nawet, na potrzeby książki prof. Engelking, zostali Polakami.

To jeden z dziesiątków efektów „twórczości" autorów z IFS PAN, którzy na wyjątkowo kruchych dowodach przypisują (a czasem tylko insynuują) Polakom zabójstwa Żydów i denuncjacje. Główny mechanizm działalności jest prosty: im więcej „polskich zbrodni", tym lepiej. Zasadnicze w nauce pytanie („jak było naprawdę?") nie tylko w sprawie braci Hryciów nie ma tu większego znaczenia.

eprasa.pl 2761d14f30

Nie ma mowy o powtórce z Komorowskiego

Naszej rzeczywistości, co dostrzega prezydent Andrzej Duda, nie można oceniać tylko z perspektywy Warszawy czy dużych aglomeracji. Trzeba zrozumieć też Polskę lokalną i działać w jej interesie – mówi ***Paweł Mucha***, wiceszef Kancelarii Prezydenta, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Będziemy mieli powtórkę z Bronisława Komorowskiego?

Paweł Mucha: Nie widzę podobieństw tych prezydentur. To są zupełnie inni prezydenci i inne działania. A czas na podsumowania przyjdzie, gdy kadencja będzie się kończyć. Wtedy będą ewentualne decyzje pana prezydenta co do przyszłości, ale dziś wiemy, że Polacy oceniają wysoko prezydenturę Andrzeja Dudy.

O tym mówię. Sondaże się zgadzają, słupki wysokie, kadencja się kończy – wtedy Bronisław Komorowski wyłączył czujność, odkleił się od rzeczywistości.

U nas nie ma o tym mowy. Andrzej Duda jest tym prezydentem, który realizuje konsekwentnie założony cel wizyty w każdym powiecie. I choć proszę, by nie czytać tego w logice kampanijnej, to widać, że wchodzi w interakcję z Polakami, że tam nie ma żadnej sztuczności.

Bronisław Komorowski też miał spotkania w Polsce, też – jeszcze przed kampanią – nie brakowało entuzjazmu. Widywałem, jak wychodził z kościoła św. Anny po niedzielnej mszy – ludzie go kochali.

Ale u nas nie ma pychy ani samozadowolenia. To jednak są zupełnie inne światy. Zapraszam pana na dowolną wizytę prezydenta Dudy. To naprawdę dowód na inną specyfikę tej prezydentury, nastawioną na to, by poznawać problemy i być bliżej ludzi.

Litości, liczba wyjazdów jest czymś, co ma świadczyć o prezydenturze danego polityka?

To ważne. Bo to naprawa zerwanych przez lata relacji władzy z Polakami. Naszej rzeczywistości, co dostrzega prezydent, nie można oceniać tylko z perspektywy Warszawy czy dużych aglomeracji. Trzeba zrozumieć też Polskę lokalną i działać w jej interesie.

Spychamy prezydenta do symbolu, który ma pomachać do ludzi na rynku w kolejnym powiecie.

Działania prezydenta są realne. Dzięki temu, że to jego działania mają swój wymiar i wagę. Prezydent jest gwarantem ciągłości władzy, reprezentuje Rzeczpospolitą. Ale potrafi też rozmawiać z Polakami o ich codziennych sprawach. Z tych rozmów zaś wyciąga konkretne wnioski, które przekładają się na konkretne projekty ustaw. Nie lekceważyłbym tego.

Ja też nie, ale to nadal jest symbol. Gdzie tu miejsce na konkret?

Nie ma pan racji. Oczywiście, że są konkretne projekty. Na przykład nieodpłatna pomoc prawna, narodowa strategia onkologiczna, integracja i tworzenie centrów usług społecznych – to wszystko projekty ważne dla Polaków. Nie mówiąc o poparciu społeczeństwa dla 500+ czy obniżenia wieku emerytalnego. Ta prezydentura ma bardzo mocny rys społeczny, jako priorytet stawia dowartościowanie rodziny.

Nie ma pan poczucia, że realne sukcesy tych kilku lat i tak pójdą na konto PiS, a nie prezydenta, który co najwyżej nie przeszkadzał?

Wiele rzeczy, które mieliśmy w programie Andrzeja Dudy, było też w programie PiS. I nie można się dziwić,

eprasa.pl 2761d14f30

że jest to realizowane przez współdziałanie z rządem, to naturalne. Choć nie ma też sytuacji, w której prezydent przyjmuje bezkrytycznie wszystko, co proponuje PiS – nie pamiętam tak spektakularnych wet u prezydentów Komorowskiego czy Kwaśniewskiego, jakie widzieliśmy u nas przy decyzjach w sprawie sądów, przy RIO czy przy ordynacji do Parlamentu Europejskiego. To niezależna i merytoryczna prezydentura. Rozmawialiśmy o regularnych spotkaniach z Polakami, o konkretnych projektach ustaw, a są przecież ważne zagadnienia dotyczące kwestii wojska czy spraw zagranicznych. Jako zwierzchnik sił zbrojnych...

...jako zwierzchnik sił zbrojnych prezydent musiał się rozpychać. Filmik, w którym mówił o „ubeckich metodach" ówczesnego ministra Antoniego Macierewicza, wszyscy znamy.

Nie przypominam sobie, by padło tam sformułowanie „ubeckie metody".

Ależ oczywiście, że padło.

Możemy do tego sięgnąć...

Mogę panu pokazać film. „Jak będzie wobec uczciwych oficerów stosował takie ubeckie metody..." – to słowa prezydenta.

OK. Ma pan rację.

Wracam do pytania, bo publicznie, oficjalnie wszystko było i jest w porządku, a jeśli poskrobać ten lukier, to wychodzą takie historie.

Wracamy do sytuacji sprzed lat, do dyskusji, która toczyła się wokół gen. Kraszewskiego. Minister koordynator służb specjalnych Mariusz Kamiński zweryfikował tę sytuację na korzyść pana generała. Od dłuższego czasu współpraca BBN z MON układa się bardzo dobrze.

Bo zmienił się minister.

Proszę mi wierzyć, że prezydent potrafi być stanowczy.

I widzieliśmy to na tym nagraniu. Często pojawiały się takie kwestie? Przy wecie dotyczącym sądów też były słowa o „ubeckich metodach" ministra Ziobry?

Nie było takich słów. Była merytoryczna rozmowa, ale inne spojrzenia na sprawę. Polityka to nie zawsze jest otwarta przestrzeń – były takie sytuacje, gdy prezydent potrafił wypowiadać się bardzo mocno w formule rozmowy, która niekoniecznie była upubliczniona.

Poproszę o przykłady.

Cała reforma Sądu Najwyższego, gdy prezydent bardzo mocno pewne rzeczy forsował, pokazała żelazną konsekwencję pana prezydenta.

Ale to jeden przykład.

Są liczne działania, w których prezydent jest i aktywny, i konsekwentny – np. w sprawach priorytetu wsparcia dla polskiej rodziny, ale też chociażby na polu spraw zagranicznych czy bezpieczeństwa państwa. Zwiększenie naszego bezpieczeństwa to ewidentny sukces tej prezydentury. Do tego dochodzi polityka historyczna, w której – i nie tylko w niej – prezydent ma wielkie zasługi. Andrzej Duda to wybitny polityk, a zarazem najwybitniejszy mówca wśród polskich polityków.

Przemówienia ma wzruszające, przyznaję, ale to nie jest temat sporny, o który pytam. Trochę umyka pan w tematy wygodne dla prezydenta Dudy. Bywały takie momenty w tej kadencji, że dochodziło do kłótni, sporów?

Chociażby wszystkie weta prezydenta Dudy były w interesie publicznym, ale niosły z sobą pewien spór polityczny. Kłótnią bym tego nie nazywał. Mówimy o sprawach merytorycznych. Prokurator generalny nie ma takich kompetencji, jakie przyznawała mu pierwsza wersja ustawy sądowej. Prezydent nie chciał też zbyt dużej ingerencji w samodzielność samorządów przy ustawie o RIO.

To zapytam z innej strony. W każdej z tych spraw cały obóz Zjednoczonej Prawicy chciał inaczej – większość w Sejmie, Senacie, prezes, kierownictwo...

Prezydent samodzielnie rozstrzyga sprawy leżące w zakresie jego bezpośrednich kompetencji. A wspólnie ze Zjednoczoną Prawicą naprawia i dba o rozwój Rzeczypospolitej. W demokracji tak bywa, że nie wszyscy w każdej sprawie zawsze się zgadzają.

Traktować te weta jako żółte kartki, które prezydent pokazywał swoim byłym partyjnym kolegom?

Nie. Prezydent jest arbitrem, ponad bieżącym, partyjnym sporem w Polsce.

Czy prezydent czuje się częścią obozu dobrej zmiany?

Rdzeń dobrej zmiany to propozycje programowe, ale prezydent nie jest politykiem danej partii, z chwilą wyboru, wywodząc się z danego środowiska, ma mandat pochodzący z woli narodu.

Wie pan, o co pytam, co interesuje naszych czytelników: jak często prezydent rozmawia z prezesem Kaczyńskim? Uczestniczy w strategiach co do kierunku dobrej zmiany, także tego kierunku na najbliższe kampanijne miesiące?

[uśmiech] Prezydent siłą rzeczy nie uczestniczy w kampanii wyborczej, nie działa na rzecz jednego ugrupowania, ale mówi o pewnym sposobie postrzegania konkretnych spraw. Nie muszę jednak być Sherlockiem Holmesem, by powiedzieć, że są pewne sprawy, które prezydent stawia w centrum jako ważne, i to pokrywa się w ogromnym stopniu z tym, co robi PiS. W tej logice naturalny jest kontakt z liderem większości parlamentarnej.

Jak częsty jest to kontakt?

Zostawmy to pamiętnikom prezydenta i prezesa. Taki kontakt jest naturalny i byłby naturalny w każdej demokracji.

A czy zostawić też trzeba temat referendum? Prezydent zainwestował w to sporo, a okazał się nieskuteczny.

eprasa.pl 2761d14f30

Fot. Andrzej Wiktor

Nie okazał się nieskuteczny. Nie zgadzam się. Jedno wiemy na pewno – dzisiaj nikt nie zmieni konstytucji bez pytania narodu o tę zmianę. Prezydent debatą wokół referendum doprowadził do tego, że projekt zmian w konstytucji nie będzie przygotowywany wyłącznie w gabinetach polityków. Wymaga uzgodnienia ze społeczeństwem.

Panie ministrze, cel był inny, o tym mówił prezydent – to miała być lokomotywa tej prezydentury. Coś, co realnie zostanie po tych pięciu latach. A tu nawet głosowania Polaków nie było, nic, zero.

W pałacu nie kończy się refleksja nad zmianą konstytucji. Temat nie upadł, prezydent zdania nie zmienił. Szkoda, że Polakom nie dano możliwości wypowiedzenia się w tej sprawie. Ale prezydent nie jest jedynym decydentem w tej kwestii. Nie udało się po prostu uzyskać większości w Senacie.

Jak więc prezydent lobbował za tym pomysłem, jak wyglądały rozmowy na Nowogrodzkiej? Wie pan, wiem ja, wiedzą czytelnicy, że zielone światło od Jarosława Kaczyńskiego dałoby sprawie referendum polityczne życie.

Ocena skuteczności działań prezydenta ma polegać na jednym głosowaniu w Senacie? My się z Senatem w tej sprawie nie zgadzaliśmy, ale dopóki prezydent nie powiedział „sprawdzam", można było snuć różne rozważania. Wymagało odwagi podjęcie sprawy i prezydent to wyzwanie podjął. Dziś jesteśmy krok dalej w debacie o zmianie konstytucji.

Nie oszukujmy się – pomysł referendum pojawił się nie po to, by pogadać na spotkaniach powiatowych o zmianach w konstytucji, ale by ten proces uruchomić. To się nie udało.

Nie zgadzam się na dezawuowanie konsultacji ogólnopolskich. Istotą sprawowania władzy jest to, by być w kontakcie z ludźmi, by podnosić pewne tematy właśnie przez ludzi postrzegane jako ważne. Jeśli mówimy o propozycji ok. 10 pytań, z których później dookreślilibyśmy materię do zmiany, to były to autentyczne rozmowy z Polakami. I to z tych spotkań wzięły się te pytania.

Nie zarzucam prezydentowi braku chęci dialogu, ale to, że nie ma zakulisowych działań. To esencja polityki.

Zakulisowych działań się nie upublicznia. A w polityce nie zawsze jest tak, że osiąga się natychmiastowy efekt własnej pracy. Brak szybkiej zgody co do zmian w konstytucji nie jest tutaj wyznacznikiem. Proszę spojrzeć nawet historycznie. Konstytucji nie pisze się w dwie minuty na kolanie. To jest pewien proces. Mówię o tym, że projekt zmian w konstytucji nie rodzi się i nie upada w ciągu kilku tygodni czy miesięcy.

I nie jest to porażka pana prezydenta?

Zdecydowanie nie. Polacy już po głosowaniu w Senacie, w niezależnych badaniach opinii wypowiadali się korzystnie o inicjatywie referendum konsultacyjnego. Gdybym miał powiedzieć w kategoriach porażki, to z niezrozumieniem podchodzę do rozstrzygnięć części senatorów, zwłaszcza tych, którzy głosowali przeciw tej inicjatywie.

Czy prezydent powiedział o tym niezrozumieniu prezesowi Kaczyńskiemu?

I znowu wracamy do dyskusji o rzeczach kuluarowych... Prezydent wypowiadał się publicznie...

Znamy publiczne, okrągłe zdania. Ale gdy kurtyna się podniosła przy relacjach z MON, to mieliśmy „ubeckie metody" czy kuriozalną wymianę listów. Nie chcę na siłę szukać różnic między Pałacem Prezydenckim a PiS, tylko zdrapać ten lukier.

Nie ma lukru, chodzi o skuteczność. Relacje z dobrą zmianą i PiS są dobre. Prezydent wyszedł z pewnego obozu, ale dziś – co oczywiste – nie może rozumować zawężająco tylko w kategoriach tego obozu. Co nie zmienia faktu, że dzięki tej dobrej współpracy PiS i prezydenta Polska zmienia się, tak jak tego oczekiwali wyborcy. Prezydenta z jego obowiązków rozlicza naród, a zwłaszcza dzieje się to, jeśli prezydent podejmie decyzję o starcie na kolejną kadencję.

A podejmie?

To jeszcze nie czas, by się zastanawiać i ogłaszać takie decyzje. Poza tym to nie rola prezydenckiego ministra, żeby się w tym zakresie wypowiadać. To będą decyzje i oświadczenia samego pana prezydenta.

eprasa.pl 2761d14f30

Podglądanie cudzej nudy

Fot. TVN, Shutterstock

Zrobić program i głupi, i smętny – to sztuka, która udaje się TVN nie pierwszy raz. Po show, w którym celebryci sprzątali słoniowe odchody, i Pożarze w Burdelu, w którym Polskę nazywano „zdzirą", przyszedł czas na 6. odsłonę programu „Big Brother"

KRZYSZTOF FEUSETTE

Złośliwi twierdzą, że do pełni Orwellowskiej rzeczywistości z „Roku 1984" brakowało stacji TVN już tylko powrotu – po 11 latach – do relacji z „domu Wielkiego Brata". W pakiecie z kreowaniem (lub życiem w) alternatywnej rzeczywistości, w której kłamstwo staje się prawdą, a za wszelkie odstępstwa od jedynie słusznego kierunku karze się surowo – przekaz z wypasionej willi czasowo zamieszkiwanej przez „zwyczajnych" ludzi z parciem na szkło (oraz 100 tys. zł), to prawdziwa perła w odmóżdżającej koronie telewizji z Wiertniczej.

DZIECI I OWCE

Pierwsza edycja „Big Brothera" w TVN gromadziła w 2001 r. ok. 4,5 mln widzów, druga – 3 mln, trzecia – 2 mln 200 tys. Dokładnie tyle wyniosła teraz, podczas szóstej edycji oglądalność pierwszego odcinka w TVN7. Jednak kolejne śledziła już tylko połowa, czyli nieco ponad milion widzów. Oprócz głównego show o godz. 20 są jeszcze trzy dwuminutowe wejścia: „Big Brother Pobudka" (średnio: 92 tys. widzów), „Big Brother Popołudnie" (406 tys.), „Big Brother Podwieczorek" (251 tys.). Najszybciej spada oglądalność „Big Brother Nocą" (22 marca program oglądały 283 tys. osób). Krótko mówiąc: szału nie ma, a widzowie coraz częściej i głośniej nie kryją rozczarowania w mediach społecznościowych. „Program bardzo chaotyczny. Ma się wrażenie, że scenariusz wymyślany jest na bieżąco. Żadnego planu. Bardzo nieprofesjonalnie". „Sytuacja wygląda tak: uczestnicy są znudzeni tym wiecznym czekaniem, nudzą się. Czekają na informacje, zadania. Ja się nie dziwię. Wielki Brat czy Siostra bardzo mało komunikatywna". „Odlajkowuję wasz profil, bo tego guano się oglądać nie da. Mimo że mój kumpel siedzi w środku, nie zamierzam stracić już nawet milisekundy".

Warto dodać, że nie chodzi tu o statystycznych telewidzów, ale tych, którzy początkowo śledzeniem nowego reality-show byli bardzo zainteresowani, choćby z przyczyn zawodowych. Jak recenzent portalu NOIZ.pl Daniel Arciszewski, który oczekiwał „pikantnego widowiska tworzonego

eprasa.pl 2761d14f30

przez bukiet charyzmatycznych ludzi o narcystycznych i ekstrawertycznych cechach osobowości". Tymczasem, jak stwierdza z wielkim bólem: „Większej dawki rozrywki doświadczysz, oglądając garnek z kurą gotującą się na włoszczyźnie". Oczywiście, owo nieszczęście, jakim stała się dla „Big Brothera" swoista epidemia nudy, zaczyna się od samych uczestników, a konkretniej – od braku atrakcyjnego scenariusza. „Fajnie by było, gdyby następnego dnia kazano tym ludziom tarzać się w błocie przez trzy godziny albo przeorać trawnik w ogródku, by następnie przemienić go w pole ziemniaków [...]. Ale nie. Producenci tego show są równie finezyjni jak ulubiona potrawa lidera programu, czyli niepokrojone kawałki szynki smażone na jajecznym glucie" – dodaje Arciszewski.

Uczestnicy są rozczarowani nie mniej niż widzowie. Stacja sugerowała w reklamach, że to będzie edycja „tak samo szokująca jak pierwsza", a widz „wejdzie z butami w cudze życie". Tymczasem, jak twierdzą ludzie po obu stronach ekranu, podano flaki z olejem. „Ktoś tam powinien stracić pracę" – komentował jeden z uczestników, model Tomek. Zgodnie twierdzą, że spodziewali się „czegoś zupełnie innego". Liczyli na ciekawe wyzwania, a tych nie ma. Dlatego w ślad za widzami – także odchodzą. Marlena – bo „jest jej szkoda czasu, który tam marnuje", a „udział w programie nie jest warty rozłąki z dziećmi". Płakała bez przerwy, w poduszkę, w mankiet kolegi, no i, rzecz jasna, w pokoju zwierzeń, w którym uczestnicy mają okazję zaprezentować przemyślenia głębsze od stolikowych pogadanek o d... Maryny. Więc Marlena wychodzi, nie tłumacząc, dlaczego zdecydowała się na udział w reality-show kosztem szczęścia własnych dzieci. Wcześniej na własną prośbę dom Wielkiego Brata opuścił już po kilku dniach Daniel, hodowca owiec z Suchej Beskidzkiej. Twierdził, że „dusi się w domu Wielkiego Brata, a jego dusza wojownika tam umiera". Oraz że „nie jest sobą, a nie potrafiłby dłużej grać kogoś, kim nie jest".

Normalnie uczestnicy odpadają po głosowaniu telewidzów. Według wyliczeń dobrze z reguły poinformowanego Pudelka.pl w tym pierwszym wzięło udział raptem... 750 osób. Wybierano spośród nominowanych przez samych uczestników, ale nominacje to także bat producentów programu. Justyna naruszyła zasady, i to od razu dwie. Po rozmowie z Wielkim Bratem (to znaczy – jego głosem, a w zasadzie – jej, bo głos jest żeński), do jakiej doszło w pokoju zwierzeń, musiała wyznać pozostałym mieszkańcom, że po pierwsze, razem z Łukaszem i Marleną typowała osoby, które mogą dojść do finału, a jest to absolutnie zakazane, po drugie zaś, zasłaniała i zagłuszała mikrofony oraz szeptała, czego również nie wolno. Wielki Brat, jak przystało na małego sadystę, trzymał po tym historycznym wydarzeniu wszystkich uczestników w niepewności, czy ukarana zostanie tylko Justyna, czy cała grupa. W końcu – jaki show, takie zasady.

A najważniejsze, poza nudą, problemy podglądanych i filmujących? Na pierwszy plan wysuwają się trzy. Po pierwsze, LGBT wiecznie żywe. Po tym, jak Maciek nazwał Łukasza „dziewczyną", ten popłakał się w pokoju zwierzeń, tłumacząc, że „było mu strasznie przykro". Okazuje się, że Łukasz to były partner pisarza Michała Witkowskiego (to ten, co chciał błysnąć na bankiecie czapeczką ze znakiem „SS"). „To już mistrzostwo świata – rozryczeć się tak, żeby źle nie wyglądać. Nie rozmazując, że tak powiem, makijażu?" – publicznie skomentował łzy Łukasza Witkowski. Portale plotkarskie twierdzą, że to zemsta za to, że tamten nazwał związek z nim „biseksualnym epizodem".

Po drugie, z jedzeniem jest fatalnie. Relacjonuje portal NaTemat.pl: „Mieszkańcy domu Wielkiego Brata muszą stawić czoła największemu koszmarowi – nie da się zamówić jedzenia przez Uber Eats czy Pyszne.pl. Nie da się pójść do Żabki po mrożonkę. Wszystko trzeba zrobić samemu". To dlatego Igor, zawodowy bokser, zemdlał z głodu. Jego kolega Maciek dodaje: „My naprawdę tu nie mamy w jedzeniu wartości odżywczych. Przy kolejnych tygodniach będą wychodzić infekcje, katary, osłabiony organizm, mniej siły. Zamiast nas tutaj karmić, leczyć, żebyśmy mieli power, do rozpier...ania programu!". Niestety, zabawa polega na tym, że zapasy są ograniczone – mieszkańcy mają określoną sumę pieniędzy, za które muszą zrobić zakupy na cały tydzień. Niedawno dostali się do spiżarni, ale znaleźli tylko bazylię i pokarm dla rybek. Po trzecie: mężczyźni nie lubią kobiet. Maciej, Igor i Radek nazwali koleżanki „planktonem, amebami, osobami, które mają dwie lewe ręce. „Jedna od drugiej lepsza. Jak się nie pomaluje trzy, cztery godziny, to się kąpie dwie, jak nie łazi z łapami tak, to żre i wpie...la" cały czas za trzech. Każda jest popsuta" – mówili.

SPECYFICZNE POCZUCIE WSTYDU

Włączam z pewną nieśmiałością. Na początek „Big Brother Pobudka". Pierwsza „k..." z ust uczestnika leci w powietrze już w 15. sekundzie, bez specjalnego powodu. Trzeba docenić producentów, że próbują wypikać większość brzydkich wyrazów, ale i tak zostaje niemało. Trzech panów je śniadanie, jeden z nich opowiada o tym, jak zamawiał kanapki w Irlandii, drugi kiwa głową, trzeci umiera z nudów i chyba nawet nie słucha. Koniec programu. Dobry ruch, bo widz nie zdąży się znudzić. Podobnie jak podczas także dwuminutowych „Big Brother Popołudnie" oraz „Big Brother Podwieczorek". Ten pierwszy zaczyna się od „O, k...", choć nie wiadomo zupełnie, czego słowa te dotyczą. Ktoś zmienił miejsce postawienia solniczki, a Radek sprawdza, czy szafka mogłaby mu przyciąć rękę. W „Podwieczorku" przekleństw mamy jeszcze więcej, choć i pikań niemało. Rozmowa kilkorga uczestników (głównie panów) toczy się wokół zagadnienia, kto miał wziąć piwo ze sklepiku, ile miało być tego piwa. Przychodzi refleksja, że w ostatnie „zakupy" wkradło się zbyt wiele chaosu. Czas na odcinek właściwy, bita godzina. Bita, choć kilkakrotnie przerywana długimi blokami reklam. Zaczyna się toto o godz. 20 i ma stanowić „podsumowanie najciekawszych wydarzeń dnia". A zatem – raz jeszcze poranek, jeden z panów wydziera się przez megafon, budząc resztę. Uczestnicy zajmują się sobą, ale także płaczącymi lalkami udającymi ich dzidziusie. Niektórzy biorą je nawet na rozgrzewkę prowadzoną przez Daniela, osobę, jak podkreśla koszmarnie bezbarwny głos

eprasa.pl 2761d14f30

Fot. Shutterstock, TVN

Wielkiego Brata, „z zewnątrz". Daniel proponuje, by „podpompować krew od rzyci". Po ćwiczeniach uczestnicy, oczywiście – zupełnie spontanicznie – odpytują Daniela (jako osobę znaną, choć wcześniej go nie znali): jak sobie poradzić z falą hejtu. „Bo na pewno każdy z nas spotka się z czymś takim po wyjściu" – dodaje jeden z panów. Teraz do internetu nie mają dostępu. „Widzisz – odpowiada Daniel – wy pokazujecie tutaj swoje opinie i przypominacie tym ludziom, że oni nie są na tyle odważni. I oni czują się gorsi". W pokoju zwierzeń doda, że „jak miał sześć czy siedem lat, wpadł do szamba i się prawie utopił". I to jest jego „metafora życiowa". „Że wyszedłem z każdej kupy, to muszę sobie poradzić". Jak się okazuje, to ostatni dzień wspomnianej wyżej Marleny, która wychodzi na własną prośbę. „Pamiętaj, że każdy z nas ma mózg i musi go używać" – mówi jeden z uczestników do koleżanki. Justyna wciąż ma wyrzuty po złamaniu regulaminu. Próbuje się tłumaczyć, ale inna uczestniczka wchodzi ze swoim tematem. Justyna wybucha: „Naprawdę myślisz, że uprane spodnie są ważniejsze od naszej prywatnej rozmowy?! Piąty raz próbuję coś powiedzieć! Nie rozumiem, dlaczego tutaj nie można powiedzieć więcej niż trzech zdań?". Przerywa i wybucha powtórnie: „Wcina mi się bez przerwy z upranymi spodniami...". „Jezu, przestań spinać d...pę" – odpowiada jej skrytykowana koleżanka. Kolega mówi Justynie, że ta „bije inteligencją trzy czwarte jego znajomych". W tym czasie Magda pakuje się koledze do toalety. „Sorry – mówi – ale ja sama mam to gdzieś, jak ktoś wchodzi. Jesteśmy big family...". Okrutny komentarz Wielkiego Brata (niesłyszany przez uczestników): „Wśród mieszkańców panuje specyficzne poczucie wstydu. Kąpią się w ubraniach, ale nie wstydzą się siebie nawzajem podczas czynności fizjologicznych". To powinna chyba czytać Krystyna Czubówna? Jedna z pań miała na dzisiaj przygotować „coś o sobie". Opowiada o pasji wokalnej, o tym, że kiedyś była bardzo gruba, że nie ma chłopaka od trzech lat, no i od dawna nie uprawiała seksu. Chwilę potem – o swojej mamie, która tuż przed rozpoczęciem „Big Brothera" trafiła do szpitala i przeszła poważną operację serca. „Ale wiem, że chce, żebym tutaj była" – kończy uczestniczka. Ostatni akcent: panie odgrywają minispektakl, w którym mają obśmiać panów, potem role się odwracają. Uczestnicy pękają ze śmiechu. Może dlatego, że jest trochę o różnicach „w sikaniu". Zanim najtwardsi widzowie usną w niepewności, czy pojawią się jeszcze jakieś atrakcje, Wielki Brat obiecuje, że jeśli Magda (ta od „big family") poda przepis na potrawę, którą mogłaby ugotować dla reszty, to Wielki Brat „zastanowi się w przyszłym tygodniu, czy dostarczy składniki". Dzięki temu odważnemu dramaturgicznie chwytowi telewidzowie oglądają 10-minutową debatę nad przepisem kulinarnym, a głównym wątkiem jest kwestia, czy da się zamienić krewetki na kurczaka. Kto wie, czy to nie najcelniejsza metafora dotycząca siły osobowości uczestników programu. Gwiazdy pierwszej edycji doczekały się dwóch komedii Jerzego Gruzy ze swoim udziałem, spośród których „Gulczas, a jak myślisz" cieszyła się nawet pewnym powodzeniem. Tutaj „myślenie" nie weszłoby nawet do tytułu.

Ostatnia część dziennej dawki reality-show to „Big Brother Nocą", teoretycznie (biorąc pod uwagę, co najbardziej „brało" widzów poprzednich edycji) – najatrakcyjniejsza. Pojawiają się jednak prowadzący: Małgorzata Ohme i Filip Chajzer. „Się dzieje i się rozkręciło" – zagaja Chajzer. „Mam wrażenie, że ta grupa weszła w fazę prekryzysu" – odpowiada Ohme. Dziennikarka krytykuje Marlenę za opuszczenie domu Wielkiego Brata. Bo przecież, „gdyby została i przełamała ten kryzys", to jej dzieci „byłyby dumne przed telewizorem". I naprawdę trudno już teraz rozstrzygnąć, po której stronie kamer poziom intelektu jest bardziej imponujący. Dowiadujemy się także, że „nuda w programie była właśnie po to, by tych uczestników sprowokować". Do czego – nie wiadomo. Być może chodzi o wspomniane wyżej „rozp...lenie programu". O ile będzie jeszcze co, bo dom Wielkiego Brata właśnie opuściła w trybie nagłym kolejna osoba, tym razem – wyrzucona przez producentów. Maciek (ten, który drwił z biseksualnego Łukasza), po niedzielnych nominacjach w samym środku show wpadł w szał. „Rozkur... mu łeb. Naprawdę, jak go spotkam na jakimś finale, wyje... mu w ryj" – wołał o Łukaszu. Potem obrażał też innych uczestników, a na końcu zakpił z Wielkiego Brata, mówiąc: „W d... mam tę reprymendę". Podobno to widzowie chcieli, by go wyrzucić. Dziwne, bo przecież to dzięki Maćkowi przynajmniej przez kilka minut nie było nudno. To same najciekawsze, wybrane przez producenta, chwile z egzystencji kilkunastu osób w programie, który hitem telewizyjnym już się nie stanie.

W internecie płatny przekaz leci przez 16 godzin na dobę, a zachęca do niego hasło: „Czujesz niedosyt i wciąż chcesz więcej?". Tylko kto chciałby jeszcze więcej niedosytu?

eprasa.pl 2761d14f30

Czy to koniec mitu Bonnie i Clyde'a

W czasach odwrócenia wartości i fałszywych bożków film „The Highwaymen" ogląda się może nie z zachwytem, ale na pewno z zainteresowaniem. Obala on jeden z mitów stworzonych przez popkulturę lat 60. XX w. Ale Kevinowi Costnerowi ani Woody'emu Harrelsonowi na pewno nie udało się przebić znakomitych ról Warrena Beatty i Faye Dunaway. Jedna droga do prawdy została otwarta

Fot. Merrick Morton/Courtesy of Netflix

eprasa.pl 2761d14f30

ŁUKASZ ADAMSKI

Nie jest „The Highwaymen" filmem dorównującym artystycznie do poziomu słynnego „Bonnie i Clyde'a" Arthura Penna z 1967 r. Obraz Penna był przełomowy dla kina gangsterskiego. Dziesięć nominacji do Oscara (dwie statuetki za rolę drugoplanową i zdjęcia). Wielki sukces komercyjny i legendarne kreacje Warrena Beatty i Faye Dunaway, które na zawsze zdobyły swoje miejsce w historii kina. Jednak już w czasie premiery film Penna był oskarżany o celebrowanie wyjątkowo paskudnych postaci, które na ekranie przedstawiono niczym romantycznych kochanków zgniecionych przez system.

Netflixowy film Johna Lee Hancocka do legendy nie przejdzie. Hancock nie jest reżyserem pokroju Penna („Mały wielki człowiek", „The Chase"), to raczej sprawny rzemieślnik niż artysta. Nigdy co prawda nie schodzi poniżej solidnego poziomu reżyserowanych przez siebie filmów, czego dowiódł w takich obrazach jak „Debiutant", „Alamo", „Wielki Mike", „Ratując pana Banksa" czy „McImperium", ale wirtuozem nie jest. Ten pochodzący z Teksasu reżyser to spec od solidnego kina biograficznego. Zarówno dotyczącego sportowców, jak i Walta Disneya czy stojącego za imperium McDonalda Raya Crocka. Taka jest właśnie ta produkcja. Mocna, interesująca, z dwoma dobrze nakreślonymi bohaterami. Nie porywa, ale ciekawie demitologizuje szkodliwą legendę.

STRAŻNICY TEKSASU

W końcu w Hollywood powstał film odkłamujący legendę dwójki psychopatycznych morderców, jakimi byli Bonnie i Clyde Barrow. Mitologia pięknych i romantycznych rzezimieszków została umocniona przez film Penna, ale również późniejszy miniserial telewizji A&E z 2013 r. Ba, podczas słynnego z fatalnej pomyłki finału Oscarów (ogłoszono, że nagrodę za najlepszy film zdobył „La La Land", a nie „Moonlight") statuetkę wręczali wiekowi już Warren Beatty i Faye Dunaway przedstawieni jako „legendarni Bonnie i Clyde". Tak silny jest popkulturowy mit dwójki wyjątkowo brutalnych morderców.

„The Highwaymen" pozwala nam spojrzeć na pościg za nimi z punktu widzenia good guys, czyli pozytywnych bohaterów. Film opowiada o dwóch teksańskich rangerach, którzy przeszli do historii jako zabójcy pary. Frank Hamer (Kevin Costner) i Maney Gault (Woody Harrelson) dokonali czegoś, czego nie potrafili zrobić agenci FBI i policja. W maju 1934 r. brutalnie rozstrzelali najsłynniejszą amerykańską parę lat 30. w zasadzce drogowej w Bienville Parish w stanie Luizjana.

Od dawna próbowano w Hollywood nakręcić film o dwóch starzejących się stróżach prawa z Teksasu, którzy porwali się na swoją, jak się potem okazało, najważniejszą misję. Swego czasu do ról przymierzano Paula Newmana i Roberta Redforda, którzy mieli zagrać odwrotność legendarnego duetu z „Butch Cassidy i Sundance Kid". Filmu równie legendarnego i definiującego lata 60. jak „Bonnie i Clyde" oraz budującego mitologię dwóch rzezimieszków. Ostatecznie role powierzono trochę zapomnianej dziś megagwieździe lat 90. Kevinowi Costnerowi i wciąż popularnemu Woody'emu Harrelsonowi. Co ciekawe, obaj grali zbiegłych przestępców ściganych przez charyzmatycznych stróżów prawa. Costner wykreował postać romantycznego bandziora w „Doskonałym świecie" (1993) Clinta Eastwooda, natomiast Harrelson był Mickeyem Knoxem w do dziś szokującym i ochrzczonym mianem postmodernistycznego „Bonnie i Clyde'a" filmie „Urodzeni mordercy" Olivera Stone'a (1994).

W „The Highwaymen" widzimy starych i zmęczonych życiem, odtrąconych strażników Teksasu, których słynna jednostka została zlikwidowana. Hancock mocniej skupia się na odczuciach starych gliniarzy niż samym pościgu. Bonnie i Clyde są tutaj tylko tłem do powieści o męskiej przyjaźni, radzeniu sobie z utratą mitologicznego wizerunku i nadchodzącej wielkimi krokami starości.

Dziś Texas Rangers są dumą specyficznego i najbardziej odrębnego od reszty kraju stanu. Rangersi zostali powołani do życia przez samego ojca Teksasu Stephena F. Austina w 1823 r. Od początku ich działalności towarzyszyły im kontrowersje. Rangersi bezwzględnie strzegli granic Teksasu. Zarówno jako stanu USA, jak i niepodległej Republiki Teksasu w latach 1836–1845. Byli brutalni, nie mieli litości dla bandytów (w filmie jest poruszająca opowieść Gaulta o masakrze, jakiej jego oddział dokonał na meksykańskich mordercach, gdy ci spali po libacji alkoholowej) i wykazywali się wyjątkową skutecznością. Rangersi byli rasowymi kowbojami. Nie przez przypadek najsłynniejszą twarzą strażników Teksasu jest Chuck Norris, wcielający się w Cordella Walkera w serialu produkowanym w latach 1993–2001. Norris zagrał postać fikcyjną.

FAKTY KONTRA MITOLOGIA

Francis Hamer jest jednym z najsłynniejszych strażników Teksasu, który ma swoje zaszczytne miejsce w „Texas Ranger Hall of Fame". Karierę zaczął w 1906 r. i zanim schwytał Bonnie i Clyde'a, zapisał się w wielu legendarnych akcjach. Stacjonując w El Paso, brał udział w licznych strzelaninach z przemytnikami alkoholu w czasie prohibicji. Hamer przeszedł na emeryturę w 1932 r., gdy gubernatorem Teksasu ponownie została Miriam „Ma" Ferguson (w filmie gra ją Kathy Bates). Ze służby odeszło wówczas 40 rangerów. Wszyscy w proteście przeciwko zarzutom korupcyjnym, jakie miała podczas pełnienia swojej pierwszej kadencji na stanowisku. „Ma" od razu po ponownym objęciu funkcji wyrzuciła większość pozostałych funkcjonariuszy i zatrudniła swoich ludzi.

Porażka organów ścigania w sprawie Bonnie i Clyde'a spowodowała, że kontrowersyjna gubernator musiała się ugiąć i przywrócić do służby Hamera.

eprasa.pl 2761d14f30

„The Highwaymen" przywraca stróżowi prawa twarz. W filmie Arthura Penna, gdzie wcielił się w niego Denver Pyle, został przedstawiony jako brutalny mściciel. Niemal tak zły jak szeryf z Nottingham w legendach o Robin Hoodzie.

Hamer zawsze był przez kino traktowany niesprawiedliwie. U Penna to niekompetentny i zły półgłówek, za co jego syn i żona pozwali Warner Bros. W 1971 r. doszło do jakiejś formy ugody między rodziną a wytwórnią. Choć w telewizyjnym „Bonnie i Clydzie" (2013) jego postać, sportretowana przez Williama Hurta, była bliższa prawdy, to już w przeznaczonym na rynek wideo „Bonnie i Clyde: Justified" Eric Roberts zrobił z niego egotycznego celebrytę. Mit krwawego małżeństwa sięga dalej niż kino. Był już problemem dla władz Teksasu. Film Netflixa rozbija w pył propagandowy wizerunek przestępczej szajki.

Wychowani w slumsach Dallas, wykluczeni przez los i poniewierani przez ten „zły i wredny" kapitalizm Barrowowie byli za życia przedstawiani jako romantyczni bohaterowie. Drobna i urocza Bonnie już w wieku 16 lat tkwiła w nieszczęśliwym małżeństwie. Pracowała jako kelnerka w kawiarni. Potem przyszedł kryzys roku 1929, a jej mąż Roy trafił do więzienia na 50 lat. Wtedy poznała przystojnego Clyde'a Barrowa. Clyde był znanym policji przestępcą. Okradał sklepy i napadał na ludzi. Z pozoru delikatna dziewczyna bardzo szybko stała się wspólniczką ukochanego. Gdy ten odsiadywał dwuletni wyrok więzienia, Bonnie przemyciła mu do więzienia broń. Przekonał ją, że musi uciec, by mogli być razem. Piękny początek historii? To również mit. Clyde ostatecznie wyszedł z więzienia warunkowo po tym, jak sam okaleczył się za kratkami. „Barrow i Parker byli dzicy i młodzi. Stali się nowymi przestępczymi gwiazdami z najbardziej ekscytującym »znakiem firmowym«: seksem" – pisał w demitologizującej książce „Go Down Together" Jeff Guinn.

DZIECI WIELKIEGO KRYZYSU

Porywali ludzi, zabijali policjantów i napadali na banki. W czasie wielkiego kryzysu i rosnącej w USA biedy para kochanków stała się idealnym symbolem zemsty „wykluczonych i wychowanych w biedzie" Amerykanów na banksterskim kapitalizmie. Nieważne, że wraz ze swoją bandą zastrzelili 13 osób, w tym szeryfa. Nieważne, że wykazywali się wyjątkową degeneracją moralną i pogardą dla prawa. Ważne, że można ich było przedstawić jako współczesnych Robin Hoodów rabujących bankierów.

Fot. Merrick Morton/Courtesy of Netflix

Wszystko skończyło się na wiejskiej drodze 23 maja 1934 r. Policjanci dowodzeni przez dwóch rangerów Hamera i Goulta wystrzelili w ich stronę 130 nabojów. Samochód z rozszarpanymi ciałami został otoczony potem przez ludzi, którzy zbierali na pamiątkę łuski po kulach, rozrywali zakrwawione ubrania bandytów, wyrywali nawet włosy Bonnie. Na jej pogrzebie zjawiło się ponad 20 tys. ludzi. Niewiele mniej było u Clyde'a. Rodziny nie zgodziły się na położenie ich we wspólnym grobie. „The Highwaymen" ciekawie pokazuje rodzenie się pośmiertnej mitologii Bonnie i Clyde'a. Grany przez Costnera Hamer odmawia wywiadu, za który miał dostać kilka tysięcy dolarów i w którym mógłby przedstawić punkt widzenia stróżów prawa. „Jak ci nie wstyd" – mówi do dziennikarza Gould.

Czy gdyby władze odpowiednio zbudowały narrację w sprawie ścigania Bonnie i Clyde'a, to dziś nie musiałby powstawać demitologizujący ich film? „Urodzeni mordercy" Stone'a dotykali problemu fascynacji masowymi mordercami. Mickey i Mallory Knox stali się gwiazdami rocka i ikonami porównywalnymi do postaci z Disneya. Oryginalny scenariusz Quentina Tarantino, z którego w filmie zostały jedynie strzępy, skupiał się na sile mediów kreujących intrygujący obraz seryjnych zabójców. Nie zapominajmy, że przełomowy dla lat 90. film Stone'a był zrobiony przed erą internetu, mediów społecznościowych i dyktatury fake newsów.

Dziś jak nigdy wcześniej postacie takie jak Bonnie i Clyde stają się gwiazdami. Oczywiście mitologiczny film Arthura Penna pojawił się w odpowiednim czasie. Miał premierę rok przed 1968 r., który najmocniej zdewastował „starą Amerykę". To wtedy na sile przybrało zakwestionowanie chrześcijańskiego porządku społecznego. Dziś, w erze odwrócenia wartości i relatywizmu moralnego, mitologia upadłych moralnie osobników ma wyjątkowo mocne podłoże.

„The Highwaymen" jest pod tym względem filmem bardzo potrzebnym. Bliżej mu do wymowy „Brudnego Harry'ego" (1971), gdzie psychopatyczny morderca zostaje brutalnie zlikwidowany przez współczesnego szeryfa, niż do pochylających się nad kryminalistami filmów opartych na koncepcie przestępcy jako ofiary swojego środowiska. Ciekaw jestem, jak innego najsłynniejszego seryjnego mordercę, obok Teda Bundy (film o nim pt. „Podły, okrutny, zły" ma w maju premierę) oraz Bonnie i Clyde'a, sportretuje autor oryginalnego scenariusza „Urodzonych morderców". Tarantino w tym roku pokaże bandę Charlesa Mansona w filmie „Pewnego razu w Hollywood".

Na razie cieszmy się z tego, że pojawił się film demitologizujący obraz bandziorów, których pewnego razu w Hollywood pokochano.

eprasa.pl 2761d14f30

Muzyka wzruszeń i refleksji, czyli Wielki Tydzień z Beethovenem

Moc muzycznych wrażeń obiecuje rozpoczęty właśnie w Warszawie 23. Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena. Oprócz 19 koncertów w stolicy wiele innych wydarzeń zaplanowano m.in. w Krakowie, Gdańsku, Lublinie, Radomiu, we Wrocławiu i w Zabrzu

Gdy w 1997 r. Elżbieta Penderecka ze Stowarzyszeniem im. Ludwiga van Beethovena powoływała festiwal, nie brakowało sceptyków wątpiących, czy tuż przed Wielkim Tygodniem i w jego trakcie znajdą się chętni do słuchania muzyki filharmonicznej. Urozmaicona oferta programowa, nazwiska markowych artystów okazały się jednak skutecznym magnesem. Zarówno dla wytrawnych melomanów, jak i dla szerszego grona odbiorców. Po siedmiu latach w Krakowie impreza w 2004 r. przeniosła się do Warszawy, osiągając status jednego z największych przedsięwzięć muzycznych w kraju, respektowanych także w Europie. Ten przykład ośmielił innych: w okresie przedświątecznym od 16 lat w Krakowie organizowany jest renomowany festiwal Misteria Paschalia, a od kilku lat w Gdańsku – Actus Humanus. Oba te festiwale skupiają się na muzyce dawnej, głównie sakralnej, gdy ten beethovenowski koncentruje się na dziełach patrona, ukazując je z różnych estetycznych i czasowych perspektyw.

Obecnej, 23. odsłonie festiwalu niełatwo będzie dorównać emocjom ubiegłorocznym, wywołanym aż dwoma koncertami tak rzadko przyjeżdżającego Krystiana Zimermana. Wszakże atrakcji nie brakuje. Słuchać będziemy licznych orkiestr, takich jak Tonhalle z Zurychu, pojawią się filharmonicy drezdeńscy czy warszawscy. Shanghai Quartet wystąpi aż z trzema koncertami, rozpoczynając realizację cyklu „Wszystkie kwartety Beethovena". Ciąg dalszy za rok, z okazji 250. rocznicy urodzin geniusza z Bonn.

ADAM CIESIELSKI

Hasłem przewodnim obecnej edycji festiwalu jest „Beethoven i pieśń romantyczna". Po „Podróży zimowej" Franza Schuberta zabrzmią m.in. „Pieśni i tańce śmierci" Modesta Musorgskiego, „Altenberg Lieder" Albana Berga, „Lieder einses fahrenden Gesellen" Gustava Mahlera, „War Requiem" Benjamina Brittena. „Pieśni" Mieczysława Karłowicza interpretować będzie Małgorzata Walewska. W VIII Symfonii „Lieder der Vergänglichkeit" („Pieśni przemijania") Krzysztofa Pendereckiego usłyszymy Iwonę Hossę, Annę Lubańską, Ewę Wolak, Dietricha Henschela z Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia pod batutą Lawrence'a Fostera oraz z Chórem Narodowego Forum Muzyki.

23. Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena
Warszawa 7–19 kwietnia 2019 r.
Szczegółowy program: www.beethoven.org.pl

W Roku Moniuszkowskim nie może zabraknąć twórczości tego kompozytora. W koncertowym ujęciu jego opery „Paria" z orkiestrą Filharmonii Poznańskiej pod batutą Łukasza Borowicza i chórem Filharmonii Narodowej wystąpią: Iwona Sobotka, Robert Jezierski, Yuri Gorodetski, Tomasz Warmijak, a także Szymon Komasa – młody baryton z szansami na światową karierę. Dzieło o uniwersalnym, społecznym przesłaniu, którego akcja dzieje się w podzielonych kastami Indiach, zaprezentowane zostanie we włoskiej wersji językowej. Kanwą libretta był dramat Casimira Delavigne'a, francuskiego przyjaciela Polski i Polaków, autora słów pieśni „Warszawianka". Moniuszko nie tracił nadziei, że utwór, niedoceniony w kraju, po premierze w 1869 r. przebije się jednak gdzieś na Zachodzie. Wszak m.in. z zamówionym specjalnie librettem po włosku próbował wcześniej promować za granicą „Halkę". Taką prostszą, zwłaszcza dla wykonawców, wersję włoską kilka miesięcy temu wykorzystał Fabio Biondi. Rewelacyjnie zrealizował ją na estradzie i na płycie ze swoim słynnym zespołem Europa Galante oraz międzynarodową stawką solistów. Oby i „Paria" stanęła przed podobną szansą.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 2761d14f30

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Bójcie się parawaniarzy!

Przy pierwszym sezonie „La La Poland" w TVP2 pisałem recenzję z każdego odcinka. Teraz aż takie emocje zniknęły. One wynikały z reakcji na fenomen samego cyklu.

Oni wyszli z piwnicznego undergroundu, z czegoś, co nazywało się Kabaretem na Koniec Świata w salce Przodownik na warszawskim Mokotowie. Tyle że atmosferę twórczego chaosu, improwizacji, występów powiązanych konferansjerką Wojciecha Solarza (postmodernistyczny Fryderyk Jarossy) zastąpili precyzyjnie nizaną wiązanką skeczy, gdzie ogromną rolę odgrywa przeplatanie się, widzenie jednych historyjek z perspektywy innych. Wawrzyniec Kostrzewski, w kabarecie reżyser, ale pracujący z kolegami na zasadzie burzy mózgów, tu stał się dyktatorem wyobraźni. Nawet jeśli teksty wciąż są także autorstwa niektórych aktorów, on klei z nich całość.

Zarazem „La La Poland" to eksperyment telewizji publicznej z powrotem do satyry. Marcin Wolski powitał ich z otwartymi ramionami, uznając ten humor za wyrafinowany, inny niż w plebejskich kabaretonach. Kostrzewski nie ułatwiał mu zadania. Obok surrealistycznej abstrakcji mieliśmy księży i prawicowe zadęcie na ekranie. Mimo to spróbowano z drugą serią, i to nawet nie ze względu na oglądalność, która jest średnia, bo to humor ekskluzywny, literacki. Ta decyzja zasługuje na szacunek.

Nie recenzuję każdego odcinka, choć chwilami chciałbym recenzować każdy skecz. To w drugim, sylwestrowym odcinku zobaczyłem najlepszy kawałek, który puszczam sobie, kiedy mam zły humor: groteskową opowiastkę o kolejce na stacji benzynowej Orzełen. W cztery minuty mamy traktacik dotyczący społecznego konkretu i potworności ludzkiej natury, jak z Gogola. Z kreacjami Olgi Sarzyńskiej i Krzysztofa Szczepaniaka, ale z popisem prawie całego zespołu ustawionego w kolejce. Śmieję się przy tym na głos po raz 30.

Bywało, że prawicowi recenzenci zarzucali Kostrzewskiemu, iż śmieje się nie z tych, co trzeba, że za dużo tu wąsatych Januszów, za mało elit. W serii drugiej „La La Poland" drwi sobie ze świata korpo i serwuje nam konserwatywny skecz o rodzinie zombie niemogącej żyć bez niedzielnych zakupów. A przecież nie zaprzestał kąsać obecnej władzy ani nie zrezygnował z przypominania La La Polakom, że tolerują psie kupy. Jako urodzony symetrysta ćwiczy zarówno Telewizję La La Info, jak i Telewizję PL.24. Widzę na forach, jak sprzeczne budzi nadzieje na dokładanie tym czy owym. A on nie da się wepchnąć w żaden schemat.

No i pamięta o abstrakcji, o iluzji własnego świata. „Nikt nie spodziewa się parawaniarzy!" – rozbrzmiewa okrzyk, a ja się rozglądam, czy przedziwne postaci z parawanem i dmuchanym krokodylem nie zajmą mi gdzieś miejsca na mieście. Pierwsze dwa odcinki „zwykłe" wywołały wrażenie pewnej zadyszki. Teraz po czwartym, więc na półmetku, jest prawie idealnie. Tyle że za sprawą telewizji te części są za krótkie, redukuje się efekt przeplatania historii, pozostaje niedosyt.

Kiedy narzekam na ten czy inny skecz, zawsze pamiętam, że: a) humor jest rzeczą bardzo indywidualną, b) są ludzie, którzy będą ryczeć, kiedy oni ruszą małym paluszkiem. Oglądając farsy w teatrach, utwierdzam się w przekonaniu, że vis comica to coś więcej niż warsztat. Paweł Koślik, Iza Dąbrowska, Wojciech Solarz, Maciej Makowski, Robert Majewski, Sebastian Stankiewicz – należałoby wymienić wszystkich. Dołączył Mateusz Weber i świetnie się wkomponował. A ja marzę, żeby „La La Poland" było zawsze.

Piotr Zaremba

upress.pl 77.222.14f30

Nie ma miejsca na katolipę

W Polsce katolicy są hojni, wspierają misje, myślę, że zaczną też finansować projekty ewangelizacyjne w formie muzycznej i filmowej, tylko muszą się przekonać do nowej formy wsparcia

Z Piotrem Chomickim, ewangelizatorem, producentem, twórcą portalu crowdfundingowego Katolikwspiera.pl oraz Fundacji Holy Mary Team, zajmującej się produkcją projektów ewangelizacyjnych filmowych i muzycznych, rozmawia Dorota Łosiewicz

Dla kogo jest portal Katolikwspiera.pl?

Piotr Chomicki: Dla katolickich twórców, którzy potrzebują finansowego wsparcia, i dla katolików, którzy chcą takie boże dzieła wspierać. Crowdfunding to nowatorska forma finansowania projektów przez społeczność. Nazwa pochodzi od połączenie dwóch słów: crowd (tłum) i funding (finansowanie). Jest to wygodna i prosta metoda, dzięki której można pozyskać fundusze oraz zrealizować wspaniałe projekty. Crowdfunding jest sprawdzoną metodą wsparcia finansowego, która powstała 10 lat temu w USA. Zaczęło się od grupy metalowej, która potrzebowała pieniędzy na wydanie płyty, nie dostała ich od wytwórni, więc poprosiła o wsparcie swoich potencjalnych fanów, prosząc ich o zakup płyty przed jej nagraniem. Okazało się, że grupa zebrała duże środki, wywiązała się z umowy z darczyńcami, wysyłając im płyty, a metoda chwyciła. Crowdfunding od kilku lat rozwija się również w Polsce. Teraz wdrażamy go w naszej przestrzeni katolickiej po to, aby powstało jak najwięcej bożych dzieł. Pomysł powołania takiego portalu pojawił się dwa lata temu. Prace koncepcyjne technologiczne trwały kilka miesięcy. Udało nam się wystartować pod koniec listopada ubiegłego roku. Żeby nagrać film czy teledysk, potrzebne są środki, i to spore. A ponieważ niełatwo jest takie środki pozyskać, trzeba szukać darczyńców. Katolikwspiera.pl ułatwia te poszukiwania. A wszystko po to, żeby zmieniać świat.

Komu taka twórczość jest w ogóle potrzebna?

Funkcjonując w przestrzeni ewangelizacyjnej i mając bożą misję tworzenia materiałów ewangelizacyjnych, filmowych, muzycznych i innych artystycznych materiałów tego typu, widzę, że ewangelizacja jest bardzo potrzebna. To świetne narzędzie, by dotrzeć do ludzi, którzy są niewierzący lub praktykujący, ale letni. To jest dobra droga, by pobudzić ich do wiary. Jako Fundacja Holy Mary Team tworzymy takie materiały i widzimy, jak bardzo są one potrzebne, jak prowadzą do przemiany ludzkiego życia. Nasze materiały obejrzało do tej pory około miliona osób. To dużo i mało zarazem. Taka działalność, w przeciwieństwie do rekolekcji czy organizowanych wieczorów uwielbienia, nie jest bezkosztowa. Bez pieniędzy po prostu nie będzie katolickich, ewangelizacyjnych filmów, teledysków, performansów i innych inicjatyw. Mamy duży odzew od różnych potencjalnych projektodawców, zgromadzeń, twórców, że czekali na taką inicjatywę, że to jest potrzebne.

eprasa.pl 2761d14f30

Plan teledysku „Jesus is Life”

Fot. Mat. prasowe

Jak twórcy przekonują potencjalnych darczyńców do swoich pomysłów?

Portal Katolikwspiera.pl, jak sama nazwa wskazuje, jest przeznaczony dla przedsięwzięć katolickich, takich jak projekty muzyczne, filmowe, edukacyjne, misyjne, projekty Miłosierdzia, inicjatywy i wydarzenia. Projektodawca zgłasza swój pomysł na naszym portalu oraz prowadzi kampanię, w której zachęca społeczność do wsparcia finansowego swojego pomysłu oraz jego rozpowszechniania. Twórca musi dobrze opisać swój projekt, stworzyć krótki filmik, który przedstawi koncepcję i zachęci ludzi do wspierania akurat tego dzieła. Następnie film wraz z opisem należy opublikować na Katolikwspiera.pl. Projekt przechodzi procedurę akceptacji i jeśli ją uzyska, potencjalny twórca już może zbierać środki na jego realizację. Zdarza się, że projekt nie od razu zdobywa akceptację, czasem prosimy o uzupełnienie, dopracowanie go. Jednak jakość przygotowywanych projektów jest wysoka i wzrasta. Widać, że twórcy czują potrzebę profesjonalizacji działań. Jest świadomość, że projekt musi być wysokiej jakości, że nie może być katolipy. Wtedy projekt może zyskać wsparcie finansowe, a potem już może odnosić duchowe skutki. Osoby, którym spodoba się projekt, wspierają go finansowo najczęściej małymi kwotami, np. 25, 50 lub 100 zł.

Tomasz Sekielski dość szybko zebrał środki na film o pedofilii w Kościele, a jednocześnie nie powstała odpowiedź na „Kler”. Film „Ksiądz też człowiek”, który zbiera środki przez wasz portal, ma na razie jedną trzecią potrzebnej, i tak niedużej, sumy. Z czego to wynika?

Faktycznie Sekielski zebrał kilkaset tysięcy przez niecały rok. On stosuje co prawda inną formę crowdfundingu, ale istotą jest to, że pozyskał środki, zapowiadając uderzenie w Kościół. Na pewno znanym osobom łatwiej jest zbierać środki, a Sekielski pozyskał ludzi, którzy identyfikują się z tym, co on robi. Niestety złe dzieła, które uderzają w katolików, lepiej sobie radzą, bo zło od zawsze lepiej się sprzedaje. Świetnie radzi sobie z udawaniem dobra. Jest bardziej krzykliwe. A dobro sprzedaje się gorzej. „Kler” też nie miał problemu ze zgromadzeniem gigantycznych środków. Te same źródła nie sfinansują dzieł, których celem jest głoszenie Ewangelii, które mogą przemieniać ludzi. Dlatego taki ważny jest crowdfunding. Ludzie mogą opowiedzieć się za dobrem, wesprzeć je, bo zło sobie świetnie radzi. Muzyka, kultura sztuka mają wielki wpływ na nasze życie, ale musimy je wspierać, by się rozwijały. W Polsce katolicy są hojni, wspierają misje, myślę, że zaczną też finansować projekty ewangelizacyjne w formie muzycznej i filmowej, tylko muszą się przekonać do nowej formy wsparcia. Problem z katolicką twórczością jest taki, że jest niekomercyjna, trudno na niej zarobić.

To nieprawda. Film „Bóg nie umarł” jest bardzo popularny. Zarabia. To przykład pierwszy z brzegu. Jest ich więcej. Skoro takie filmy zarabiają w USA, to chyba mogą także w Polsce. Może to twórcy muszą zmienić podejście?

Na pewno filmy protestanckie mają duże budżety i dużo zarabiają. W USA protestancki rynek muzyczny jest bardzo rozwinięty, muzyka chrześcijańska jest według nieoficjalnych rankingów na pierwszym miejscu. W Polsce to trochę błędne koło. Jako twórca wiem, jak trudno jest pozyskać w Polsce środki na tego typu produkcje. Wiem też, że nie stać nas na to, żeby takich produkcji nie realizować. Nie stać nas na to, żeby nie mieć dobrych mediów katolickich. Nie stać nas na brak ewangelizacji, bo potem nagle zło nas zaskakuje. Pojawia się nagle temat edukacji równościowej w szkołach, która jest w praktyce demoralizacją. Zło się panoszy, robi sobie miejsce, zajmuje instytucje, rozsiada się w urzędach. I potem nagle okazuje się, że katolicy są nietolerancyjni, źli, zacofani, nieuczciwi itd. Marzy mi się, żeby powstała instytucja wspierająca twórców katolickich, która mogłaby dysponować budżetem zbliżonym np. do PFN. Ale pewnie zaraz zrobiłaby się awantura, dlaczego wspierani są akurat katolicy, a nie np. środowiska LGBT.

A jak twórcy katoliccy powinni reagować na spektakle typu „Klątwa” czy wystawa „Strachy” w Muzeum Sztuki Nowoczesnej?

Działać. Wypłynąć na głębię. Wyjść z przekazem. Nie siedzieć w czterech ścianach i nie płakać, tylko wyjść do ludzi. Odpowiedzią na zło może być tylko dobro. Dobre dzieła. Dzieła boże, przez które pokażemy, że jest nadzieja, miłość, jest Jezus. Jeśli Bóg daje nam talenty, to musimy je na jego chwałę wykorzystać. Ale artysta stawia sobie też pytanie: „Z czego będę żył?”. I tu wracamy do kwestii zbierania środków i portalu Katolikwspiera.pl. Trzeba też pamiętać, że to nie jest żebranie, to jest po prostu dopinanie budżetu. Powszechne jest dziś, że tzw. twórcy chętnie obrażają katolików, uderzają w ich najgłębsze uczucia, poniżają. Ale to nie jest sztuka, to jest tylko udawanie sztuki. Często słyszymy, że Kościół kogoś wyklucza, a on nikogo nie wyklucza, ale zaprasza. Także do nawrócenia. Ale nawrócenie jest wymagające. Łatwiejsze od nawrócenie jest na pewno atakowanie Kościoła i katolików.

Dlaczego zająłeś się ewangelizacją?

Kiedyś byłem zajęty biznesem, moja wiara była bardzo letnia. A potem przyszło nawrócenie. Potrzeba pielgrzymki. Przeszedłem 6,2 tys. km z Polski do Rwandy, do Kibeho. Musiałem przejść tę drogę, żeby spotkać Jezusa. Był tam, w Kibeho. I od tamtej pory czuję w sercu niegasnący żar. I chcę ten żar budzić w innych ludziach. Pieniądze i wygodne życie przestały być najważniejsze.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2761d14f30

Czytanie jako sp

Tropem ojca

Niemal nikogo nie ominie podsumowanie pamięci o własnym ojcu, podróż po śladach, jakie zostawił on w świecie

Wojciech Stanisławski

Tamta fraza cichła, znikała, a teraz znaleźć ją można tylko w zakurzonych książkach. Ale czy kiedykolwiek przestaliśmy za nią tęsknić? „Kąpiele w morzu, dalekie spacery z Andrzejem Łapickim, nieśpieszne pogwarki, a o piątej po południu, równo z uderzeniem Big Bena, pan Andrzej pokazywał się na balkoniku przylegającym do jego pokoju i wołał...". Tak przecież można godzinami: ludzie grywają do dziś w cytowanie sobie nawzajem Trylogii i odpytywanie się z jej fragmentów, ale są i tacy, co dokonują podobnych sztuczek z „Kalendarzem i klepsydrą".

Wiele chciałoby się dać za ciąg dalszy, powstały bodaj na zasadzie fanficu, uzupełnienia wątków, komentarza, dopowiedzianego po latach przez świadka: jeszcze coś, cokolwiek, o najsłynniejszym kocie literatury polskiej! Więc jak to ostatecznie było z rozmowami telefonicznymi Konwickiego z Dygatem, równie niemal sławnymi, jak podobne konwersacje Pawła Hertza z Jerzym Axerem? Ile jest mitu w oszronionych półlitrówkach, które w sylwach pana Tadeusza dzwoniły na wszystkich stołach, od Augustowa po Kazimierz? I czy naprawdę istniał dziadek Blinstrub?

Dziadek istniał i kot grymasił, i Dygat marudził, i na kartkach „Byli sobie raz" Marii Konwickiej powracają dziesiątki scen, które zapamiętała starsza córka autora, sama przecież po wielokroć wspominana, ba, rysowana! na kartach „Nowego Światu i okolic", można by pokusić się o kompilację tych samych sytuacji z sylw Tadeusza Konwickiego i opublikowanych przez Znak wspomnień. Pewnie z czasem pokusi się o to jakiś biograf, mnie pozostało zastawić biurko pół tuzinem konvicianów i łapczywie sprawdzać: uziemienie w garbusie, które miało chronić dziewczynki przed chorobą lokomocyjną? Jest. Szaleństwa dziadka po kądzieli, Alfreda Lenicy? Są. Widok z ulicy Górskiego na Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina? No pewnie.

Tyle że wspomnienia te wydają się spisywane w jasnym, chłodnym świetle jednej z tych lamp, jakich używa się przy inwentaryzacji wnętrz lub kręceniu filmów, które oświetlają do białości każdy papier, rzucając na boki przerośnięte cienie. Papierów jest niemało, „Byli sobie raz" zilustrowane zostało dziesiątkami zdjęć, listów i szpargałów rodzinnych, które trafiły pewnie w końcu do Działu Rękopisów Biblioteki Narodowej. Wspomnień też – do bólu rzeczowych („Nie bałam się wody", „Uwielbiałam słodycze"), ożywionych tylko gdzieniegdzie łagodnym newage'owaniem: coś o „zodiakalnym Raku", „reinkarnacji i tak dalej", budynkach kościelnych „nasiąkniętych energią modlących się ludzi" i mordercach Giordano Bruno. To powidoki i opinie niczym z łamów „Twojego Stylu", niczym z salonu warszawskiego, którego urok (jak stanie się na szczęście ze wszystkimi salonami) wietrzeje, i nawet padające w pierwszych słowach książki zdanie, które miało być nawiązaniem do ojcowskiej prozodii („chcę to wszystko pozlepiać, jak strzępki DNA, żeby się nie rozsypało bezpowrotnie gdzieś w kosmosie") dowodzi tylko, że duo cum faciunt idem, non est idem. Niech śpi spokojnie Kot Iwan.

Ale zdarzają się frazy inne, lepsze: dopasowane i bezlitosne, tnące rzeczywistość jak ostrze i zarazem przylegające do niej jak rękawiczka, wobec których jesteśmy tak samo bezradni jak wobec wierszy, i pozostaje nam je cytować, trochę na chybił trafił, idąc tropem pozaginanych w zachwycie kartek: „Ogromne domy o dwóch, trzech kondygnacjach stały spokojnie i sennie jak ciasta wystawione na ladzie olbrzymiej cukierni". „Słońce Kolorado używało pejcza i miało usta zwrócone ku dołowi. Słońce Florydy podawało sok pomarańczowy wyciskany z uśmiechem". „Śnieg spiskuje z pustynią. Wszystko było upartym nagromadzeniem śniegu; padał drobny i nieustanny, uparty jak śmierć zdobywająca ciało". Tak, to wszystko „Kruczogranatowe", powieść Adriany Lisboa, która pozostanie z czytelnikiem na długo.

Broniłem się przed urokiem tej książki, brałem ją na spytki: czy ta uroda zdań, które podają sobie nas, czytelników, porywają z rozdziału do rozdziału, nie jest przypadkiem spod znaku Coelho – też w końcu, cóż począć, Brazylijczyka? A te schematy fabularne, dopasowane i niezawodne jak silnik, czy to nie owoc pracowitych lat spędzonych na seminarium z creative writing?

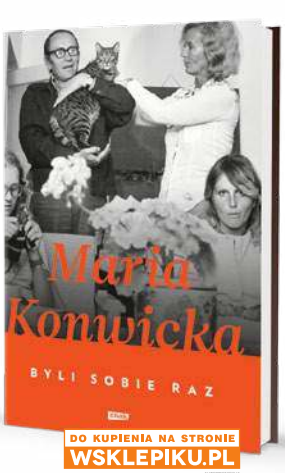

Maria Konwicka, „Byli sobie raz", wydawnictwo Znak, 2019

eprasa.pl 2761d14f30

Ale nie. Ani to Coelho, ani udany mariaż formuł „powieści drogi" i „powidoków dzieciństwa", ani tzw. young adult fiction, kolejny koszmarek, za który menedżerowie od literatury powinni się smażyć w piekle. Owszem, chwilami dostrzec można ściegi i sworznie „warsztatu": efektowne tytuły rozdziałów, oszczędnie dawkowana retrospekcja, przewidywalne domknięcie jednego z wątków. Przemyślany, wymyślony jest nawet charakterystyczny, nierówny rytm opowieści, jakby głębsze wciągnięcie powietrza, nagły pojedynczy szloch w już wyrównanym, wydawałoby się, oddechu.

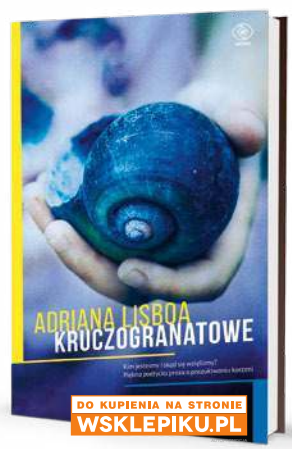

Adriana Lisboa, „Kruczogranatowe", tłum. Wojciech Charchalis, Dom Wydawniczy Rebis, 2019

Tyle że po chwili przestajemy te sztuczki dostrzegać, bo urzeka nas powieść zderzająca różne style, krajobrazy, różne sposoby radzenia sobie z porażką dorosłości, obserwowane przez kogoś, kto za chwilę będzie musiał wziąć odpowiedzialność za własną. Bo „Kruczogranatowe" traktują przede wszystkim o trudzie wyzwalania się (a właściwie – gramolenia, niezdarnego i rozpaczliwego) ze skorupki dzieciństwa, która nagle stała się przyciasna, to znów chowania się w nią jeszcze na chwilę. Młode raki po wylince chowają się pod kamień: młodym ludziom odmówiony jest ten luksus, muszą zarazem doświadczać świata i bronić się przed nim. Krewnym z wyboru brazylijskiej Vanji jest naturalnie „Buszujący w zbożu", Holden Caulfield, ale i nierównie bardziej skomplikowani bohaterowie prozy amerykańskiego Południa, na czele z nastoletnim jeszcze Jackiem Burdenem.

A może bardziej jeszcze niż o wylince „Kruczogranatowe" są opowieścią o doświadczaniu świata? Podwójnie nowego, skoro osierocona bohaterka trafia, za sprawą zgrabnego twistu fabuły, do pustynnego stanu Kolorado, gdzie oglądane po raz pierwszy jest wszystko: liście, śnieg, powietrze, konwencje społeczne, frazy, śniadania i wiersze wielkich Anglosasów, suflowane przez bibliotekarkę. „W Copabacanie, Rio de Janeiro, były karaluchy, migdałowce, komary, przypływy, gołębie. Kościoły. Supermarket Mundial. McDonald's. W Lakewood, Kolorado, były króliki, pieski preriowe, kruki. Kościoły. SuperTarget. McDonald's".

Bohaterka i narratorka oswaja żałobę, oswaja Lakewood, Kolorado, wędrując śladem cienkiej, rwącej się nitki ludzkiej pamięci, kontaktów i genów odzyskuje swoją historię, a dygresje, które otwierają się jak korytarze w ogromnych domach o dwóch, trzech kondygnacjach, prowadzą nas we fragment południowoamerykańskiej historii szczególnie niełatwej do przyjęcia w Polsce; ale nieoczekiwane poczucie wspólnoty z garstką rewolucjonistów marzycieli (nawet, jeśli wiemy, jak dalece ich marzenia były na rękę Sowietom) warte jest tego wysiłku.

To powieść o Stanach Zjednoczonych i ich fenomenie niewymuszonego mieszania się języków, losów, ras; fenomenie, którego nie da się mechanicznie powtórzyć, odtworzyć w Europie, ale ci przybysze ze Starego Świata, którym dane będzie stanąć na campusowym trawniku, zamieszkać choćby na trochę w jednopiętrowych suburbiach, doznają za jego sprawą urzekającego poczucia braterstwa. Fragmenty „Kruczogranatowego", w których przeplatają się z sobą frazy i smaki portugalskie, hiszpańskie i angielskie, dowodzą talentu tłumacza z dwóch pierwszych języków, Wojciecha Charchalisa, ale też pokazują, na jak wiele sposobów dokonywać się może wrastanie w amerykański kontynent, gdzie każdy przywozi swoją historię.

Prawdziwym mistrzostwem translatorskim jest jednak zdanie na pozór kulawe: „Kim ty jesteś moim?". Zrozumieć je można dopiero razem z kolejnym, które wypowiada Vanja: „Bo według aktu urodzenia jesteś moim tatą, ale nie jesteś moim prawdziwym tatą, no to kim?". Nade wszystko bowiem, pod całym srebrem i szkłem języka, jest to powieść o poszukiwaniu ojca, którego przeszłość, dokonania, codzienne gesty, pozwalają umocować oś świata. I o mocy powstającej wówczas więzi, o której zaświadcza, przybijając nas na moment do końcowej strony, ostatnie, najkrótsze, pięcioliterowe zaledwie zdanie tej książki.

REKLAMA

RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

53/0319/F

eprasa.pl 2761d14f30

Adamski

„Duży" superbohater

Nareszcie! Nareszcie uniwersum DCU wypuściło coś lekkiego, zabawnego i bezczelnie sztubackiego. „Shazam!" pokazuje, że ociężały mrok z ostatnich ekranizacji przygód Batmana, Supermana i łotrów z „Suicide Squad" może w końcu być czymś rozwadniany. Po luźnym „Aquamanie" dostajemy historię doskonale kiczowatą. Pełną ironii i z odpowiednio skrojonym wątkiem familijnym.

Billy Batson (Asher Angel) jest 14-letnim sierotą. Ucieka od kolejnych rodzin zastępczych. Szuka usilnie mamy, która go zgubiła w tłumie ludzi w wesołym miasteczku. W końcu trafia do domu prowadzonego przez pozytywnie zakręcone małżeństwo, gdzie spotyka takich samych jak on wyrzutków. Jest mrukliwy grubas, wyjątkowo rezolutna kilkuletnia dziewczynka, nastolatka idąca na studia i chodzący o kuli, prześladowany w szkole Freddie (Jack Dylan Grazer). To właśnie jemu Billy pomaga w starciu z dwoma szkolnymi chuliganami. Uciekając, trafia do tajemniczej krainy czarodzieja Shazama (Djimon Hounsou). Ten przekazuje mu swoją moc. Chłopak ma teraz chronić świat przed uwolnionymi przez złego dr. Thaddeusa Sivanę (Mark Strong) demonami symbolizującymi siedem głównych grzechów. 14-latek na hasło „Shazam!" zamienia się w napakowanego i nieśmiertelnego jak Superman przystojniaka o twarzy Zachary'ego Leviego.

Znacie komediowy koncept o nastolatku w ciele dorosłego? Oczywiście! O tym była kultowa komedia lat 80. „Duży" z Tomem Hanksem. Twórcy nawet uroczo nawiązują do tego filmu. „Shazam!" to popkulturowy miks podobny do „LEGO: Przygoda" czy Marvelowskich „Strażników galaktyki". Zadowoli wychowanych na popkulturowym miszmaszu milenialsów i ich rodziców wyrosłych w latach 90. Zapatrzony w komiksy i filmy o superbohaterach nastolatek, który dostaje supermoce, to doskonały punkt wyjścia do autoparodystycznej produkcji. Żarty z Batmana, wyśmiewanie mroku czarnych charakterów z DC (wcześniej robił to konkurencyjny „Deadpool") i pojawiający się

Kino

motyw z „Rocky'ego", bo akcja filmu rozgrywa się w Filadelfii – to wszystko elementy znane z produkcji Marvela. W uniwersum DC jest to ożywcza nowość.

„Shazam!" nie jest jednak tylko zabawą gatunkiem. Film odchodzącego tym razem od zamiłowania horrorowego (choć demony od siedmiu grzechów mogą przestraszyć dzieci) Szweda Davida S. Sandberga można spokojnie nazwać familijnym. Billy i Freddie szukają akceptacji oraz rodzinnej miłości. Porzuceni przez biologicznych rodziców pragną domowego ogniska. Najpierw muszą jednak pokonać własne słabości. Wygląda na to, że przebrany w kiczowaty strój superbohatera 14-latek i jego wesoła kompania pojawią się w kolejnych filmach DC. Długo na to czekali, skoro pierwszy komiks o Shazamie (zwanym wówczas... Kapitan Marvel) wyszedł w 1940 r. Cóż, ja czekam na wyścig Billy'ego z Flashem i jego nastolatkowe sprzeczki ze sztywniakiem w przebraniu Człowieka Nietoperza.

„SHAZAM!", REŻ. DAVID F. SANDBERG, DYSTR. WARNER BROS

Komiks

Jak w latach 90.!

Jeżeli nastoletni superherosi kupią wasze serca, to polecam komiks, który pojawia się wraz z premierą filmu. „Shazam" to jeden z najstarszych komiksów DC i jednocześnie zupełnie zapomniany. Bardziej znana jest walka między DC a Marvelem o prawa do postaci Kapitana Marvela. Tak początkowo nazywał się Billy Batson. Zabawne, że „Shazam!" pojawia się w kinach dwa tygodnie po Marvelowskim „Kapitan Marvel". Shazam na przestrzeni dziejów zwał się też Kapitan Thunder i miał swój serial telewizyjny w latach 70. Komiks „Potworne Stowarzyszenie Zła" jest kierowany do najmłodszych czytelników. Nie ma w sobie igrania popkulturowymi schematami, jak w omawianym wyżej filmie. Niemniej to, co jest najciekawsze w tej opowieści, czyli dwoistość natury nastolatka w ciele dorosłego herosa, wybrzmiewa również tutaj. No i te gargantuiczne stwory walczące z naszym bohaterem! Czytając komiks, można się poczuć jak w „najntisach", gdy czekało się na kolejne odcinki „He-Mana". Eh, robię się sentymentalny.

„SHAZAM. POTWORNE STOWARZYSZENIE ZŁA", WYD. EGMONT

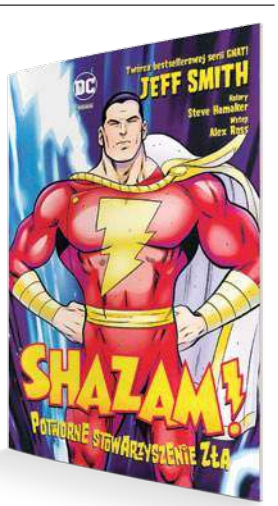

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 2761d14f30

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Świetna ekranizacja

Każdy kinoman widział przynajmniej jedną ekranizację „Nędzników" Victora Hugo, rozciągniętej na kilka dekad walki między rzezimieszkiem Jeanem Valjeanem a oficerem Javertem. W ten duet wcielali się tak wspaniali aktorzy jak Liam Neeson i Geoffrey Rush, Hugh Jackman i Russell Crowe czy Gérard Depardieu i John Malkovich. Doprawdy nie spodziewałem się, że można jeszcze raz z epickiej historii Hugo wyciągnąć jej ducha.

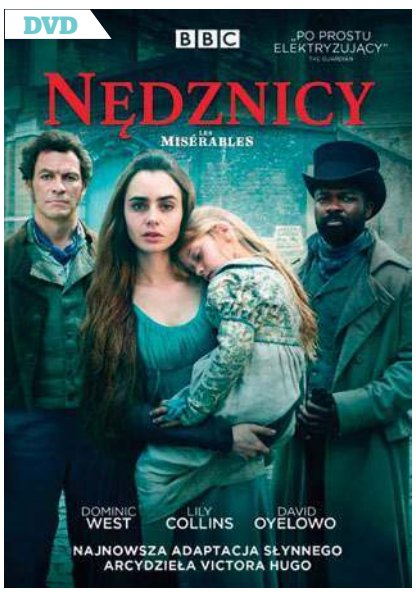

BBC trzyma jednak swoją klasę i dała nam najpełniejszą (osiem prawie godzinnych odcinków) ekranizacji arcydzieła Hugo. Tak, drażni politpoprawne dopasowywanie do rasowych standardów XXI w. i obsadzanie w odpowiedniej liczbie ról czarnoskórych aktorów. Nie pamiętam, by na barykadach rewolucyjnej Francji walczyli czarnoskórzy. U Hugo czarnej skóry nie miał też oficer Javert. Nie zmienia to jednak faktu, że Dominic West (Valjean) i David Oyelowo (Javert) stworzyli duet na miarę tych najlepszych w historii ekranizacji dzieła. Do tego na ekranie widzimy świetną Lily Collins w przejmującej roli Fantine i tegoroczną zdobywczynię Oscara za „Faworytę" Olivię Colman jako zdegenerowaną moralnie panią Thénardier.

Serial świetnie odmalowuje całe historyczne tło Francji od upadku Napoleona aż do powstania republikanów w 1832 r. Sceny walk ulicznych, Paryż XIX w., kostiumy – wszystko jest przez BBC dopracowane i dopasowane do standardów telewizji narzuconych przez Netflixa. Najważniejszy jest jednak duch powieści Hugo przypominający, jak kiedyś literatura była przesiąknięta chrześcijańskimi wartościami. Jean Valjean jest jedną z najbardziej ikonograficznych chrystologicznych postaci literackich. W tej postaci została zawarta cała nauka Jezusa z Nazaretu. Grzech, upadek, odkupienie i zbawienie.

Przez zalew protestanckich christian movies o „narodzonych ponownie" chrześcijanach zapominamy, jak wygląda katolicka optyka na długi i wyboisty proces nawrócenia. Wybitny brytyjski aktor Dominic West (znany szerzej z „Prawa ulicy" i „The Affair") doskonale oddaje przemianę brutalnego złodzieja próbującego podążać trudną drogą Chrystusa. Próbującego – to słowo klucz. Uleczony świadectwem wiary i dobrocią starego biskupa (Derek Jacobi) przez całe życie próbuje odkupić własną duszę. Upada i powstaje. Na karku czuje oddech bezwzględnego i niewierzącego w możliwość odkupienia win policjanta Javerta. Stróż prawa również walczy duchowo. Wierzy w przemoc, a nie nadstawianie drugiego policzka. Wierzy w siłę karzącej ręki sprawiedliwości, a nie miłosierdzia.

Cieszy, że w nowej wersji „Nędzników" tak widoczny jest chrześcijański wymiar powieści Hugo. Zideologizowana BBC mogła przecież położyć nacisk na polityczność powieści. Sympatia Victora Hugo do rewolucji (popierał lipcową i lutową) jest bowiem znana. Zdecydowano się uwypuklić jednak moralny wymiar tej pięknej opowieści. Opowieści powstałej w świecie, którego już nie ma. Świecie rozumującym po chrześcijańsku.

„NĘDZNICY", REŻ. ANDREW DAVIS, DYSTR. BEST FILM

Psuje świata

Książka

Apropos rewolucji francuskiej. Jeden z jej mentalnych architektów o nazwisku Rousseau zatruł swoimi ideami świat na tyle mocno, że dziś żyjemy w cywilizacji postchrześcijańskiej. Zatruł? On? Tak. Obok Machiavellego, Hobbesa, Marksa, Engelsa, Milla, Darwina, Nietzschego, Lenica, Sanger, Freuda, Kinsleya, Mead i w końcu samego diabła Hitlera ten Francuz zepsuł naszą cywilizację. Benjamin Wiker w erudycyjny i błyskotliwy sposób rozprawia się z książkami tych autorów. Można z nim się zgadzać lub nie. Można się oburzać i uważać, że przesadza, stawiając obok siebie Hitlera, Lenina i Milla. Jednak Wiker pisze z pozycji prawdziwego, a nie malowanego konserwatysty. Jego książka opisuje chorobę, która dotknęła zachodnią cywilizację. To choroba relatywizmu moralnego i postawienia człowieka w miejscu Boga. Oburzacie się, że dziś do urzędowej zmiany płci wystarczy deklaracja? To nie kryzys. To skutek. Zaczęło się od „Rozprawy o pochodzeniu i podstawach nierówności między ludźmi" oraz „Lewiatana".

„DZIESIĘĆ KSIĄŻEK, KTÓRE ZEPSUŁY ŚWIAT. PONADTO PIĘĆ INNYCH, KTÓRE TEMU DOPOMOGŁY", BENJAMIN WIKER, WYD. FRONDA

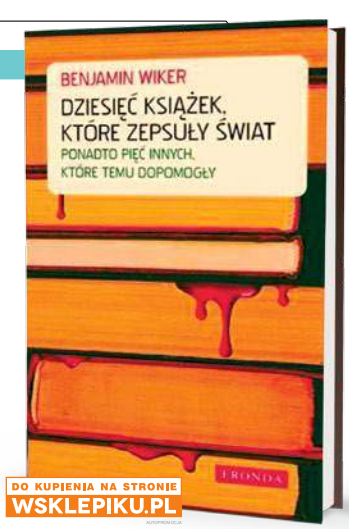

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Skala ocen: dno, koszmar, rozczarowanie, można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 2761d14f30

Europa dwóch standardów?

*Jeżeli Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej orzeknie niekorzystnie dla Polski, to podważy zgodność obsadzania sędziów w wielu krajach europejskich – mówi prokurator **Tomasz Szafrański**, który reprezentował prokuratora generalnego, ministra sprawiedliwości na rozprawie przed TSUE w Luksemburgu 19 marca 2019 r.*

Fot. Lech Gawuc/REPORTER

TSUE oddalił właśnie pana wniosek o wyłączenie prezesa tego Trybunału, Koena Lenaertsa, ze składu orzekającego w sprawie pytań prejudycjalnych sędziów Sądu Najwyższego. W dokumencie z decyzją TSUE nie znalazłem rozbudowanego uzasadnienia ani powołania się na konkretne zapisy prawne.

Tomasz Szafrański: Oczekiwaliśmy, że otrzymamy postanowienie z datą, z informacją, w jakim składzie wniosek rozpatrzono, z treścią decyzji i jej uzasadnieniem. Tymczasem otrzymaliśmy informację podpisaną przez urzędnika sądowego, że wniosek o wyłączenie sędziego Lenaertsa nie został uwzględniony. To tak, jakby pracownik sekretariatu polskiego sądu przekazał stronie informację, że jej wniosek został odrzucony bez udostępnienia postanowienia sądu i bez wyjaśnienia przyczyn.

Reakcja prezesa Lenaertsa na wniosek o wyłączenie go ze składu też była zastanawiająca.

Wniosek był złożony w sposób w pełni formalny. Byłem pewien, że zostanie rozpoznany zgodnie z procedurą. Po jego złożeniu mieliśmy natomiast do czynienia z emocjonalną reakcją prezesa Lenaertsa, który zadeklarował, iż nie zamierza się z tej sprawy wyłączyć. Dopiero później dodał, że wniosek zostanie przekazany do rozpoznania. To była osobliwa sytuacja. Ta reakcja, która mogła być odebrana jako sugestia dla sędziów rozpoznających wniosek, utwierdza moje przekonanie o podstawach do powzięcia wątpliwości co do bezstronności prezesa TSUE w tej sprawie.

Dlaczego domagał się pan jego wyłączenia?

Były zdarzenia wzbudzające w sposób oczywisty wątpliwości co do bezstronności prezesa TSUE, jak udział w konferencji nazwanej Kongresem Prawników Polskich w maju 2017 r. Co istotne, wbrew swojej nazwie była to impreza, podczas której prezentowano niesłychanie jednostronną ocenę reformy sądownictwa. To był swoisty sabat krytyków reformy, nieprzewidujący udziału osób o innych poglądach, które oczywiście nie zostały zaproszone. Wystąpienie prezesa Lenaertsa powszechnie odebrano jako bezwarunkowe poparcie dla tych środowisk, które kontestują reformę sądownictwa, i utwierdzanie ich w stawianym w tym zakresie oporze. Lenaerts wypowiadał się ponadto w mediach na temat skutków orzeczeń TSUE w kontekście sytuacji w Polsce. Wypowiedzi te były odbierane jako grożenie palcem polskiemu ustawodawcy. Polityczne wystąpienia Lenaertsa były zresztą negatywnie oceniane nie tylko w Polsce. W październiku 2018 r. wybuchł niemal skandal po jego wystąpieniu odbieranym jako jednoznacznie polityczne i stwierdzeniu „o stawianiu się poza porządkiem prawnym UE" przez państwa kwestionujące stanowisko TSUE.

A przebieg rozprawy? Też wskazywał na braki obiektywizmu prezesa TSUE?

Niestety, również. Pismo, w którym informowano nas, że w sprawie orzekać będzie Wielka Izba, a nie przewidziany dla takich spraw skład pięcioosobowy, ze wskazaniem wyznaczonych sędziów, otrzymaliśmy dopiero 18 marca, a więc dzień przed rozprawą, chociaż datowane było ono

eprasa.pl 2761d14f30

na 6 marca. Dopiero po otrzymaniu tego pisma możliwe było składanie jakichkolwiek wniosków. Powinniśmy mieć zagwarantowany czas na zajęcie stanowiska w tym zakresie. Pospieszne kierowanie wniosku napisanego z niezawinionych przez nas przyczyn „na kolanie" byłoby pozorowaniem korzystania z uprawnień uczestnika postępowania, a równocześnie legalizowaniem naruszania przez TSUE własnych procedur. Złożyłem więc wniosek o odroczenie rozprawy, z powołaniem na te okoliczności, w szczególności rażąco zbyt późne doręczenie tego pisma, oczekując, że zostanie on formalnie rozpoznany, jednak stanowisko Trybunału, a właściwie zachowanie jego prezesa, mnie zaskoczyło.

Nie odniesiono się do wniosku o odroczenie?

Prezes TSUE przejawił postawę paternalistyczną, puszczając mimo uszu zgłoszony wniosek i starając się przejść bez jakichkolwiek wyjaśnień do dalszych czynności. Oczekiwałem rozpoznania wniosku w trybie procesowym, więc ponownie się zwróciłem do Trybunału o odroczenie rozprawy. Nadal nie ustosunkowano się do tego wniosku, a z zachowania Lenaertsa wynikało, że przechodzi do dalszego etapu rozprawy. Ponowiłem więc wniosek o odroczenie rozprawy i wówczas usłyszałem od niego, że jeżeli raz jeszcze wrócę do tej kwestii, to zostanie mi odebrany głos i nie będę miał też prawa głosu w dalszej części rozprawy.

Groźba?

Zabrzmiało to jak pogróżka. To było dość niezwykłe doświadczenie.

A pełnomocnik rządu?

Gdy dostrzegłem potrzebę doprecyzowania wyjaśnień składanych przez pełnomocnika rządu dotyczących kwestii prawnych, traktując to jako działanie w interesie Trybunału, chciałem dopełnić wypowiedzi pełnomocnika. Początkowo dopuszczono mnie do głosu, ale później poczęto mnie pozbawiać takiej możliwości. Widząc wątpliwości sędziów Trybunału co do kolejnej kwestii prawnej, ponownie chciałem udzielić dodatkowych wyjaśnień. Wtedy usłyszałem, iż już zabierałem głos, Trybunał nie widzi potrzeby, abym omawiane zagadnienia doprecyzowywał, i chce, aby na te pytania odpowiadał pełnomocnik rządu.

W trakcie rozprawy pełnomocnik sędziów Sądu Najwyższego mec. Michał Wawrykiewicz porównał założony przez siebie Komitet Obrony Sprawiedliwości do Komitetu Obrony Robotników. To porównanie zdaniem wielu komentatorów było bulwersujące.

Zareagowałem na tę wypowiedź. Określenie „bulwersujące" to mało powiedziane. To było celowe nadużycie historycznego symbolu oraz wprowadzanie w błąd członków TSUE co do sytuacji w Polsce. Przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że politycy czy niektórzy dziennikarze używają przesadnych i publicystycznych argumentów przeciwko swoim oponentom. Tu zobaczyłem jednak prawnika – wykonującego zawód zaufania publicznego – który wypowiada zdania niemające pokrycia w rzeczywistości. Mec. Wawrykiewicz przedstawiał Polskę jako ponury kraj zamordyzmu, w którym „niepokorni" sędziowie lub prokuratorzy są masowo prześladowani. W kontekście jego wypowiedzi utożsamiającej postępowanie dyscyplinarne z tzw. czynnościami wyjaśniającymi, które są jedynie wstępnym badaniem sprawy, nawiązałem też do faktu skazania pana przez polski sąd za pomówienie na podstawie art. 212 kk. Pan mecenas podnosił również kwestię rzekomej mnogości postępowań dyscyplinarnych toczonych przeciwko m.in. sędziom Tulei i Żurkowi. Tymczasem według mojej wiedzy tym sędziom nie postawiono żadnych zarzutów dyscyplinarnych. Podniosłem, że w Polsce skazano za przestępstwo umyślne dziennikarza, który nie ma obowiązku rozróżniać niektórych pojęć związanych z płaszczyzną odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów, a równocześnie przed TSUE wybrzmiewają wypowiedzi, w których utożsamia się te odmienne pojęcia i sugeruje, sprzecznie z rzeczywistym stanem rzeczy, iż przeciwko konkretnym sędziom w ramach ich nękania zapadły decyzje w postępowaniu dyscyplinarnym.

Stanowisko Komisji Europejskiej też było dyskusyjne?

W stanowisku przedstawiciela KE znalazła się ciekawa teza, zgodnie z którą istotny wpływ czynnika politycznego na procedurę wyboru sędziów w innych państwach europejskich, niejednokrotnie znacznie większy niż w Polsce, nie jest kwestią kluczową do oceny gwarancji niezawisłości sędziowskiej, bo regulacji poszczególnych państw nie należy porównywać, lecz w każdym przypadku oceniać odrębnie. Taki pogląd może być odbierany jako swoista podpowiedź dla TSUE, stanowiąca przy tym próbę ochrony systemów prawnych innych państw przed skutkami ewentualnego rozstrzygnięcia TSUE, w których przypadku wpływ polityków na wybór sędziów jest nieporównywalnie bardziej istotny, niż wynika to z rozwiązań przyjętych w naszym prawie.

I jak pan na to zareagował?

Podnosiłem, że w Polsce udział czynnika politycznego w procesie wyboru sędziów jest znacznie mniejszy niż w wielu państwach UE, szczególnie widać to w porównaniu z rozwiązaniami niemieckimi. W Niemczech ministrowie sprawiedliwości w poszczególnych landach mają decydujący wpływ na wybór sędziów. Wynikało więc z tego, że wszyscy mają prawo oceniać i krytykować system obsadzania stanowisk sędziowskich w Polsce, natomiast my nie mamy prawa oceny procedur przyjętych w innych państwach europejskich ani prawa przywoływania korzystnych dla nas wniosków płynących z takiego porównania.

Czyli nie jesteśmy godni, by oceniać „wzorcowe" rozwiązania w Niemczech?

Wyraziłem nadzieję, nawiązując do pojęcia „Europy dwóch prędkości", że orzeczenie TSUE nie zapoczątkuje epoki „Europy dwóch standardów". Podkreślić jednak należy, iż Trybunał w ogóle nie powinien orzekać w tej sprawie, gdyż skierowane pytania prejudycjalne stały się bezprzedmiotowe po ostatniej nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym.

eprasa.pl 2761d14f30

Jeżeli jednak TSUE orzeknie niekorzystnie dla Polski, to równocześnie podważy zgodność z prawem europejskim procedur obsadzania stanowisk sędziowskich w wielu krajach europejskich.

Dochodzi jeszcze kwestia orzecznictwa sądów konstytucyjnych krajów unijnych, dotyczącego nadrzędności ustaw zasadniczych nad wyrokami TSUE.

Dokładnie. Takim wzorcowym orzeczeniem jest wyrok niemieckiego Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe z 2009 r., który wprost stwierdził, że zagadnienie regulacji i organizacji sądownictwa leży wyłącznie w gestii kraju członkowskiego i nie podlega ocenie TSUE. My ten argument również podnosiliśmy.

Polski Trybunał Konstytucyjny także nie pozostawił złudzeń. Ten wyrok zasadniczo zmienia sytuację w sprawie toczącej się w Luksemburgu i z uwagi na jego treść konieczne jest, aby rozprawa przed TSUE była kontynuowana. Jeżeli Trybunał Konstytucyjny, który zgodnie z polskim prawem jest jedynym organem uprawnionym do kontroli konstytucyjności ustaw, a jego orzeczenia mają moc powszechnie obowiązującą i są ostateczne, wypowiedział się co do kwestii istotnych dla rozstrzygnięcia sprawy, to konieczne jest przeanalizowanie, co wynika z jego treści. Nie jest to możliwe do przeprowadzenia inaczej niż na rozprawie przed TSUE, w toku dyskursu z udziałem stron i uczestników postępowania. A wynika z tego wyroku bardzo dużo.

To zbrodnia pytać prawnika, jak zakończy się sprawa przed TSUE, ale może pozwoli pan sobie na odrobinę spekulacji.

Nie jestem politykiem, lecz prawnikiem, i to jeszcze idealistą. Oceniając wyłącznie z perspektywy prawnej, sprawa powinna się zakończyć odmową udzielenia odpowiedzi na pytania prejudycjalne, gdyż nie ma już przedmiotu sporu. Zmiany w polskim prawie nie naruszają standardów europejskich, a polscy sędziowie mają pełne gwarancje niezawisłości.

Pana wniosek o wyłączenie prezesa Lenaertsa wywołał konsternację u Bogusława Majczyny, który reprezentował przed TSUE polski rząd.

Konsultowałem przed rozprawą z mec. Majczyną kwestię wniosku o odroczenie rozprawy. Stwierdził wówczas, że nie zajmie stanowiska w tym zakresie, a więc ani nie poprze wniosku, ani mu się nie sprzeciwi. Przyznam, że to pełne rezerwy podejście pełnomocnika rządu wywołało moje wątpliwości co do celowości komunikowania panu mecenasowi zamiaru złożenia wniosku o wyłączenie prezesa Lenaertsa. Późniejsze wypowiedzi mec. Majczyny udzielone mediom utwierdziły mnie w przekonaniu o słuszności mojej decyzji. Nie chcę się wypowiadać szerzej w tej sprawie, ale w mojej ocenie przedstawiciele tego samego państwa powinni wspierać swoje stanowiska w takim postępowaniu i nie dawać podstaw do ich kwestionowania, nawet w wypowiedziach dla mediów. Z tego, co wiem, postawa mec. Majczyny stanowiła przedmiot rozmowy prokuratora generalnego z ministrem spraw zagranicznych.

Tuż po rozprawie zaatakowano pana w mediach.

Ataki te są oparte w istotnym zakresie na manipulacjach – przytaczane są wypowiedzi i podejmowane wobec mnie działania, które były elementem klasycznego mobbingu, zmierzającego do zmuszenia mnie do odejścia z sądownictwa. O tym, że był wobec mnie stosowany mobbing, pisała niegdyś nawet „Gazeta Wyborcza". Podchodzę do tych ataków spokojnie. Byłem uczciwym sędzią starającym się rozstrzygać każdą sprawę maksymalnie obiektywnie i sprawiedliwie, ale zawsze przeciwstawiałem się próbom wywierania na mnie nacisków. A to nie podobało się niektórym członkom kierownictwa sądów krakowskich.

> Przedstawiciele tego samego państwa powinni wspierać swoje stanowiska w takim postępowaniu i nie dawać podstaw do ich kwestionowania

Czy były jakieś konkretne sprawy, które miały związek z podejmowanymi wobec pana działaniami?

Dwie sprawy w szczególności miały taki związek. Pierwsza, w której pokrzywdzonym był poseł SLD Andrzej Urbańczyk, i druga, w której oskarżoną była Bożena Ć., żona zastępcy Jerzego Urbana w redakcji tygodnika „Nie". Po wydaniu wyroku w pierwszej z nich, gdy uznaliśmy (sprawa rozpoznawana w składzie ławniczym), że czyny popełnione na szkodę posła były występkami prywatnoskargowymi, a nie ściganymi w trybie publicznoskargowym, od prezesa swojego sądu usłyszałem „dobrą radę", z której wynikało, iż od nowych wykładni to jest Sąd Najwyższy, a sędzia sądu rejonowego jest od tego, aby orzekać tak, jak jest napisane w akcie oskarżenia. W trakcie prowadzenia drugiej sprawy miałem natomiast ustawiczną kontrolę akt, byłem wypytywany przez prezesa o przyczyny nazbyt dokładnego przesłuchiwania niektórych świadków, otrzymywałem bezpodstawne tzw. wytyki, jak również byłem regularnie dociążany przydziałem kolejnych spraw, dokonywanym z naruszaniem zasady równomiernego przydziału spraw sędziom według kolejności wpływu. Równocześnie inicjowano wobec mnie postępowania dyscyplinarne w celu skłonienia mnie do odejścia z sądownictwa. Te działania podejmowane były konsekwentnie i w sposób skoordynowany, ale swojej postawy nie żałuję. Sędzia musi być odporny na naciski i mieć kręgosłup moralny, który zapobiegnie podporządkowaniu się takim oddziaływaniom, w innym przypadku wykonywanie tego zawodu nie ma sensu.

eprasa.pl 2761d14f30

Niezależnie od tego, kto sprawuje władzę na Kremlu, Rosja wydaje się organicznie niezdolna do przeformatowania swojej polityki wobec sąsiadów. Trudno więc oczekiwać poprawy w stosunkach polsko-rosyjskich. Jest źle i można się jedynie pocieszać, że przecież zawsze może być jeszcze gorzej

Dziś wiele wskazuje na to, że prezydent Putin nie będzie się ubiegał o następną kadencję

Fot. Shutterstock

Na wschodzie bez zmian

KONRAD KOŁODZIEJSKI

1 września odbędą się obchody 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Zaproszenia do udziału w uroczystościach rozesłano już przywódcom wszystkich państw członkowskich NATO, Unii Europejskiej oraz Partnerstwa Wschodniego UE (Armenia, Azerbejdżan, Mołdawia, Ukraina, Gruzja i Białoruś). W tym gronie wyraźnie rzuca się w oczy brak Rosji. Dlaczego Władimir Putin nie został zaproszony do Polski?

Kancelaria Prezydenta nie podaje motywów takiej decyzji. Rzecznik prezydenta Błażej Spychalski wyjaśnił jedynie, że „klucz zaproszeń nie był historyczny" i że zaproszenia „mają charakter współczesny". Oznaczałoby to, że główną przyczyną pominięcia Putina jest agresywna polityka Rosji, która stanowi coraz poważniejsze zagrożenie dla jej sąsiadów. Aneksja Krymu rzeczywiście może budzić złe skojarzenia z ponurymi wydarzeniami sprzed 80 lat, gdy rysowano na mapie Europy strefy wpływów i brutalnie gwałcono prawo międzynarodowe.

GLORYFIKACJA AGRESJI

Oznacza to jednak, że historia ciągle ma znaczenie. Rosja, w przeciwieństwie do Niemiec, nie wyciągnęła z niej wniosków, trauma po utraconym imperium jest tu ciągle silna. Władze na Kremlu przekonują, że Rosja jest celem agresji ze strony Ameryki i że ekspansywna polityka jest jedyną szansą przetrwania. Moskwa widzi tu oczywiście analogię z okresem poprzedzającym wybuch II wojny światowej i – tak jak wtedy – uzasadnia swoją agresywną strategię koniecznością zapewnienia bezpieczeństwa państwu. Trudno się zatem dziwić, że Putin nie dostrzega nic złego w podpisaniu paktu

eprasa.pl 2761d14f30

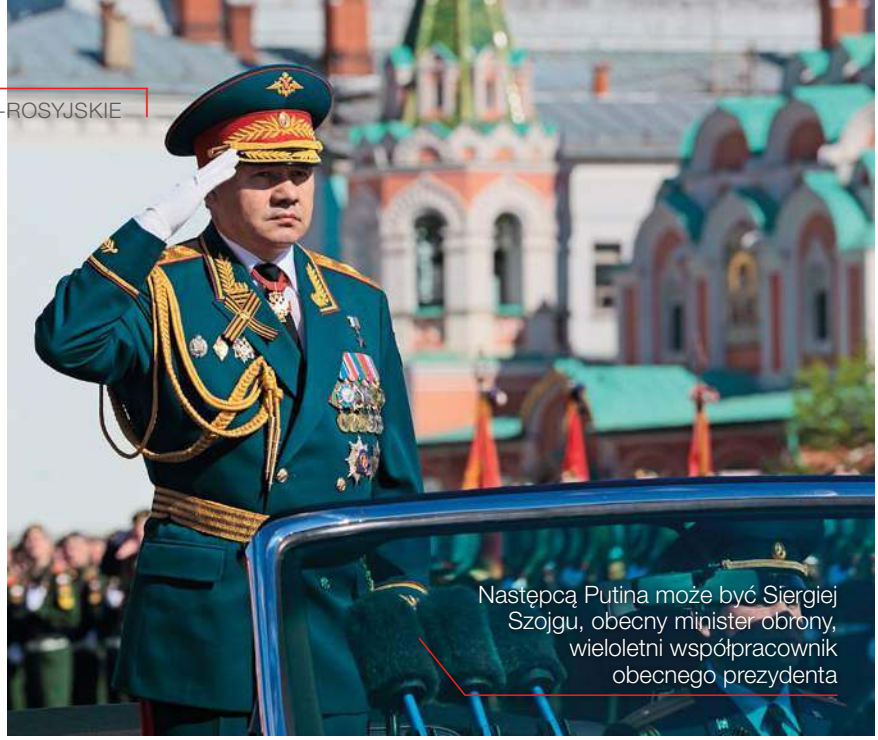

Następcą Putina może być Siergiej Szojgu, obecny minister obrony, wieloletni współpracownik obecnego prezydenta

Fot. Shutterstock

Ribbentrop–Mołotow, a rosyjski minister kultury nazywa pakt „kolosalnym sukcesem" sowieckiej dyplomacji. Taka jest zresztą oficjalna linia Moskwy. Kto ją kwestionuje, ten naraża się na karę grzywny lub nawet trzyletniej odsiadki. Odpowiednie paragrafy „za rehabilitację nazizmu" znalazły się w 2014 r. w rosyjskim Kodeksie karnym. Przy czym „rehabilitacją nazizmu" jest np. przypisywanie Związkowi Sowieckiemu odpowiedzialności za wybuch II wojny światowej. Przekonał się o tym jeden z mieszkańców Permu, który umieścił w mediach społecznościowych informację o wspólnej napaści Niemiec i Związku Sowieckiego na Polskę. Sąd skazał go za to na 200 tys. rubli grzywny (według obecnego przelicznika to ok. 11 tys. zł). Z kolei pewien mieszkaniec Magadanu ośmielił się publicznie krytykować sowieckich dowódców z czasów wojny. Oczywiście również trafił przed sąd.

Trudno sobie więc wyobrazić, jak można świętować obchody wybuchu II wojny światowej z przywódcą państwa, które nie tylko nie chce się odciąć od ówczesnej polityki Stalina, lecz wręcz tę politykę gloryfikuje. Podobnie trudno byłoby sobie wyobrazić udział Niemców, gdyby ci uważali napaść na Polskę za uzasadnioną względami bezpieczeństwa, a Hitlera za brutalnego wprawdzie, ale jednak męża stanu.

Dlatego przywódcy Niemiec zostali zaproszeni, a dla prezydenta Rosji zabrakło miejsca. Zwłaszcza że obchody raczej nie przypadłyby mu do gustu. Obok głównych uroczystości 1 września mają się bowiem odbyć dodatkowe 23 sierpnia – w rocznicę paktu Ribbentrop–Mołotow, oraz 17 września – w dniu sowieckiego uderzenia na Polskę.

NOTORYCZNIE OBRAŻENI

Ambasador RP w Rosji Włodzimierz Marciniak w wywiadzie udzielonym na początku kwietnia moskiewskiej „Nowoj Gazetie" przyznaje się do pewnej bezradności. Zauważa, że wszelkie próby podjęcia kontaktu przez Polskę – nawet na niskim szczeblu – są przez Rosję ignorowane. Wspomina o zaproszeniu wystosowanym jeszcze w 2016 r. dla rosyjskiego zastępcy ministra spraw zagranicznych, na które wciąż nie ma odpowiedzi. Mówi też o problemie, jaki we wzajemnych relacjach stanowi cyniczne przetrzymywanie przez władze rosyjskie wraku prezydenckiego tupolewa, który rozbił się pod Smoleńskiem.

Ambasador zwraca przy tej okazji uwagę na istotny fakt. Rosja nie docenia polskich emocji związanych ze sprawą smoleńską, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo one zatruwają wzajemne relacje. Można zresztą ten wątek pociągnąć dalej, pójść bardziej wstecz i przypomnieć, że Moskwa wykazuje podobny brak empatii w większości spraw dzielących nasze państwa.

Pakt Ribbentrop–Mołotow? A czego Polacy chcą? Mieliśmy w ich interesie narażać własne bezpieczeństwo? Po co do tego wracać? To – jak stwierdził Putin – jedynie „fobie przeszłości". Katyń? Co znowu? Przecież się przyznaliśmy. Chyba Polacy nie zdają sobie sprawy z tego, jak wielu Rosjan zginęło z rąk bolszewików. Ofiary szły w miliony, 20 tys. zabitych polskich oficerów to przy tym drobiazg. Zaprowadzenie komunizmu w Polsce? A co wy myśleliście? Nasi żołnierze nie po to przelewali krew, abyście zbudowali u naszych granic wrogie państwo. Bo że Polacy są wrogami, to niejako oczywiste. Wystarczy spojrzeć, jak obchodzą się z pomnikami wyzwolicieli.

Nie ma sensu wdawać się w tę dyskusję, jeśli druga strona jest notorycznie obrażona, odmawia jakiejkolwiek rozmowy i wymiany argumentów. Bo właśnie arogancja Kremla, świadome, ostentacyjne lekceważenie drugiej strony jest – podobnie jak w przeszłości – główną przyczyną sporów i nieporozumień. Rosja niewiele się niestety pod tym względem zmieniła.

KOLEKCJONOWANIE WROGÓW

Przy czym polityka rosyjska jest całkowicie krótkowzroczna. I przeciwskuteczna. Rosjanom bardzo przeszkadza amerykańska obecność w Polsce. Uważają to za akt wrogości, który wymaga pomsty i twardej reakcji. Nie widzą przy tym żadnego związku z własną polityką. Są jak dzieci, które nie pojmują konsekwencji swoich działań. Nie potrafią zrozumieć, że im bardziej są agresywni i aroganccy, tym mocniej Polska będzie zabiegać o wzmocnienie wschodniej flanki NATO.

Obserwując obecną strategię Kremla, trudno nie odnieść czasem wrażenia, że powszechne – również w Polsce – przekonanie o wyjątkowej sprawności i przebiegłości rosyjskiej dyplomacji jest mocno przesadzone. Gdyby bowiem Moskwa była naprawdę przebiegła, gdyby potrafiła wyjść poza swoje emocje, zauważyłaby, że jej interes wymaga prowadzenia zupełnie odmiennej polityki.

Powstrzymując się od agresji, wykazując dobrą wolę, odcinając się od sowieckiego imperializmu i szanując sąsiadów, Rosja osiągnęłaby znacznie więcej niż dziś. Niezagrożone ze wschodu państwa NATO nie dążyłyby

eprasa.pl 2761d14f30

do wzmocnienia struktur Sojuszu, nawet Polska – po 30 latach od upadku komunizmu i wymianie pokoleniowej – nie spoglądałaby dziś na taką inną Rosję z obawą. Przeciwnie, można sądzić, że intensywnie dążyłaby – podobnie jak w przypadku Niemiec – do zakopania toporów.

Rosja jednak wybrała inną drogę. O tym, jak ta droga jest „skuteczna", najlepiej świadczy przykład Ukrainy. Rosyjska agresja przekształciła niepewnych dotąd własnej tożsamości Ukraińców w dojrzały naród. Zaledwie kilka lat wystarczyło, aby wielu z nich zamieniło się w zaciekłych wrogów Moskwy. Czy to mądra strategia? Tę kwestię Rosjanie powinni sobie sami rozstrzygnąć.

się wcale spełnić, bo Rosja – w odróżnieniu od większości państw Europy Środkowo-Wschodniej – ma wystarczająco duży potencjał, aby stawić opór zachodnim wpływom i je reglamentować. Aby jednak wykorzystać ten potencjał, potrzebny byłby w Rosji ktoś, kto nie boi się panicznie Zachodu i umie podjąć z nim grę. Rządzący dziś Rosją „czekiści" mimo wieloletniego stażu w KGB nie posiedli najwyraźniej takich umiejętności. To pokazuje przy okazji, że „czekiści" są stanowczo przereklamowani.

Jeśli jednak nie „czekiści", to kto? Na razie nie widać żadnej poważnej siły, która mogłaby ich zastąpić. Nie dlatego, że takiej siły tam nie ma, ale dlatego, że po prawie 20 latach rządów

> Arogancja Kremla, świadome, ostentacyjne lekceważenie drugiej strony jest – podobnie jak w przeszłości – główną przyczyną sporów i nieporozumień

WYSTRASZONY HEGEMON

Powstaje jednak pytanie, czy istnieje jakakolwiek realna alternatywa dla obecnej polityki Moskwy. Niestety wydaje się, iż władze na Kremlu głęboko wierzą, że żadnej alternatywy nie ma; że Ameryka, a wraz nią cały Zachód, gardzą Rosją i tylko czekają na sposobność, aby ją zniszczyć, podzielić, rozkraść jej bogactwa, a na sam koniec oddać w jasyr gejom. Te obawy podziela zresztą duża część rosyjskiego społeczeństwa.

Żeby było jasne – pewna część tych obaw nie jest całkiem bezpodstawna. Nie ulega bowiem wątpliwości, że Zachód nie wzgardziłby rosyjskim rynkiem ani rosyjskimi bogactwami naturalnymi – niektórzy twierdzą nawet, że obecne sankcje przeciwko Rosji są grą niektórych państw zachodnich o dostęp do surowców: jeśli Moskwa ustąpi, to i sankcje zostaną złagodzone. Z pewnością też Zachód chętnie wyeksportowałby do Moskwy liberalną ideologię, która pomaga – tak jak w Polsce – utrzymać w ryzach niesforne peryferie. Mimo wszystko ten scenariusz nie musiałby

ekipy Putina struktury państwa zostały tak przebudowane, aby skutecznie blokować jakąkolwiek alternatywę.

Tymczasem notowania Władimira Putina ciągle spadają. Według sondażu przeprowadzonego na przełomie lutego i marca przez WCIOM (Wszechrosyjskie Centrum Badania Opinii Publicznej) zaufanie do prezydenta wyniosło 32 proc. i osiągnęło historyczne minimum. Mimo kiepskich sondaży Putin nadal nie ma konkurenta – 64 proc. ankietowanych akceptuje jego rządy (brak zaufania nie oznacza nieufności, tę deklaruje wobec Putina jedynie 6,5 proc., precyzyjniej jest więc mówić o powszechnym dystansie wobec prezydenta). Zresztą inni wypadają w rankingu znacznie gorzej niż Putin. Dotyczy to polityków obozu władzy, jak minister obrony Siergiej Szojgu czy premier Dmitrij Miedwiediew, oraz tych spoza obozu, jak Władimir Żyrinowski czy liberalny oponent Kremla Aleksiej Nawalny. Putin ma więc wprawdzie czym się niepokoić, ale jego pozycja w układzie władzy pozostaje silna.

ŻADNYCH ZŁUDZEŃ

Obecna, czwarta już kadencja Putina kończy się w 2024 r. Czy zdecyduje się na kolejną? To wymagałoby zmian w konstytucji, co oczywiście nie jest żadną przeszkodą. Pytanie jednak, czy opłaca się Putinowi pozostać u władzy. Tu zdania są podzielone, ale dziś wiele wskazuje na to, że obecny prezydent nie będzie się ubiegał o następną kadencję. Chce mieć jednak pewność, że jego sukcesor będzie podążał wyznaczoną przez niego linią. W tym kontekście najwięcej mówi się o Siergieju Szojgu, obecnym ministrze obrony i wieloletnim współpracowniku Putina. Nie wdając się w dalsze spekulacje, potencjalna prezydentura Szojgu oznaczałaby raczej wzmocnienie agresywnego kursu Moskwy. To byłby przecież kandydat sił zbrojnych, a te – jeszcze bardziej niż „czekiści" – prą do konfrontacji z Zachodem.

Można rozważać także inne konfiguracje, np. jakąś formę władzy kolegialnej, w której kremlowskie klany podzieliłyby się odpowiedzialnością. Można też, choć to dziś kategoria political fiction, wyobrażać sobie scenariusz przejęcia władzy w drodze ogólnospołecznej rewolty, w trakcie której rządy przejmują komuniści lub – co jeszcze mniej prawdopodobne – liberałowie. O ile w pierwszym przypadku trudno byłoby się spodziewać poważnych zmian w polityce zagranicznej Rosji, o tyle w drugim – gdyby władzę objął ktoś w rodzaju Aleksieja Nawalnego – zmiany byłyby zasadnicze. Przy czym należy rozczarować tych wszystkich, którzy liczyliby tutaj na jakiś przełom w stosunkach z Polską. Nawalny różni się od Putina miłą powierzchownością i liberalnymi poglądami, co sprawia, że byłby idealnym partnerem dla Europy Zachodniej. Ale to oznacza, że Polska i jej interesy, w obliczu wielkiego resetu w stosunkach Europy z Rosją, przestałyby się w ogóle liczyć. Za to Rosja – choć nie za darmo – mogłaby na takim resecie sporo zyskać.

Wszystko to prowadzi do niewesołej konkluzji, że trudno oczekiwać jakiejkolwiek poprawy w stosunkach z Rosją. Jest źle i można się jedynie pocieszać, że przecież zawsze może być jeszcze gorzej.

eprasa.pl 2761d14f30

Prezydent Francji chce uchodzić za postępowego liberała. Brutalna pacyfikacja protestów „żółtych kamizelek", ataki na media i ograniczenie prawa do zgromadzeń temu jednak przeczą. Wszystkie chwyty wydają się dozwolone w republice Macrona

Francja autorytarna?

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Genevieve Legay ma 73 lata i dobrze pamięta maj 1968 r. Stała wówczas na barykadach i dziś wciąż czuje zapał do walki. Obecnie jest działaczką antyglobalistycznego ruchu ATTAC i jego rzeczniczką w departamencie Alpy Nadmorskie (Alpes-Maritimes). 23 marca Legay wzięła udział w nielegalnej manifestacji w Nicei. Nielegalnej, gdyż prefekt departamentu zakazał wszelkich zgromadzeń tego dnia w związku z wizytą w mieście prezydenta Chin Xi Jinpinga. Mimo zakazu kilkadziesiąt osób, głównie starszych, zebrało się na placu Garibaldiego, gdzie od listopada 2018 r. co sobotę odbywają się protesty tzw. żółtych kamizelek. Legay, od czasów młodości zagorzała pacyfistka, trzymała w ręku tęczową flagę i domagała się głośno prawa do manifestacji. Chwilę później pojawiła się specjalna jednostka policji CRS i wzięła się do rozpędzania zebranych na placu osób. Legay upadła na ziemię. Odniosła przy tym poważne obrażenia: pęknięcia czaszki w kilku miejscach i pięć pogruchotanych żeber. Przez chwilę jej życie wisiało na włosku. Policjant, który brutalnie odepchnął emerytkę – jak donosi portal France Info – zadeklarował, że żałuje swojego gestu, ale „takie właśnie miał rozkazy".

LIBERALNA FASADA

Dwa dni po brutalnej pacyfikacji niewielkiej manifestacji „żółtych kamizelek" w Nicei specjalny doradca prezydenta Francji Ismaël Emelien, autor strategii prezydenckiej kampanii Macrona w 2017 r., opuścił Pałac Elizejski. Oficjalnie, by mieć czas na promocję swojej książki „Postęp nie spada z nieba". Nieoficjalnie jednak uciekł z pałacu po tym, gdy wszyło na jaw, że w czasie tzw. afery Benalla publikował w internecie zmanipulowane nagrania wideo, które miały usprawiedliwić zachowanie byłego ochroniarza Macrona, oskarżonego o to, że przebrany za policjanta bił i kopał manifestantów podczas demonstracji 1 maja 2018 r. w Paryżu. Na nagraniach widać młodą parę obrzucającą policjantów butelkami oraz mężczyznę goniącego funkcjonariuszy z krzesłem w rękach, a następnie Aleksandra Benalla, który go pacyfikuje. Tyle że to nieprawda. Owa scena odbyła się w innym momencie oraz w zupełnie innym miejscu. Emelien wrzucał zmanipulowane nagrania do sieci ze swojego komputera służbowego. Na dodatek materiał źródłowy ściągnął nielegalnie z monitoringu wideo prefektury policji. W rozmowie z „Le Monde" były już doradca prezydenta tłumaczył, że chciał pomóc swojemu szefowi, który stał się celem medialnej nagonki. Dlatego opublikował nagrania na anonimowych kontach na Twitterze, tak naprawdę obsługiwanych – jak pisze gazeta „L'Humanite" – przez pracownika prezydenckiej partii La République en Marche! (LREM!) Pierre'a Le Texiera.

Sprawa Legay oraz młodego doradcy Macrona pokazuje zdaniem niektórych,

eprasa.pl 2761d14f30

Fot. Shutterstock

nieprzychylnych prezydentowi mediów nad Sekwaną, że nie radzi on sobie z rządzeniem. No bo w końcu jakie zagrożenie może stanowić dla bezpieczeństwa wewnętrznego Francji 73-letnia emerytka z tęczową flagą? Krytycy Macrona ponadto zarzucają mu, że deklarowane przez niego liberalne wartości są tylko fasadą, za którą ukrywa swoje autorytarne ciągoty. Z jednej strony chce walczyć z fake newsami, z drugiej – jego doradca sam je produkuje i publikuje na równie fake'owych kontach w mediach społecznościowych. Wszystkie chwyty wydają się dziś dozwolone w ojczyźnie praw człowieka. Jak pisze Vincent Tremolet de Villiers na łamach „Le Figaro": „deregulacja polityki" stała się symbolem prezydentury Macrona. „My jesteśmy ludem – krzyczą »żółte kamizelki« coraz mniej liczne. My jesteśmy tu z woli ludu – krzyczą macroniści coraz mniej popularni. To farsa, z której trzeba jak najszybciej wyjść" – podkreśla publicysta. W styczniu br. centrum Badań nad Życiem Politycznym we Francji (CEVIPOF) opublikowało badanie, z którego wynika, że Francuzi nigdy nie byli tak negatywnie nastawieni do władzy. 85 proc. respondentów stwierdziło, że politycy mają w nosie problemy obywateli, a zaledwie 23 proc. zadeklarowało, iż ufa prezydentowi.

KRYZYS AUTORYTETU

Macron chce wyjść z tego impasu, ale metody obrane przez niego w tym celu są bardziej niż dyskusyjne. Najpierw otoczenie prezydenta usiłowało zdyskredytować protestujących Francuzów. Minister ds. wydatków publicznych Gérald Darmanin mówił w telewizji RTL o „brunatnej dżumie" w żółtych kamizelkach, a szef MSW Christophe Castaner porównywał manifestacje na Polach Elizejskich do marszów nacjonalistów w latach 30. XX w. Gdy to nie poskutkowało, zaczęła się brutalna pacyfikacja protestów. Podczas starć manifestantów z policją poszkodowanych lub rannych zostało już ponad 2 tys. osób. Większość z nich ucierpiała w wyniku użycia przez policję broni gładkolufowej na gumowe kule. Tak jak jeden z rzeczników „żółtych kamizelek" Jerome Rodrigues, który został trafiony gumową kulą w prawe oko i stracił w nim wzrok. Tak jak Genevieve Legay. Lub młody manifestant w Besançon, którego funkcjonariusze CRS brutalnie spałowali 30 marca podczas 20. odsłony protestów „żółtych kamizelek", bo „blokował chodnik". Jak twierdzi, funkcjonariusze „celowo bili go po twarzy". 80-latek w departamencie Bouches-du-Rhone zmarł po tym, jak gumowa kula trafiła go w twarz. Mężczyzna oglądał manifestację z okna swojego mieszkania.

Senator komunistów Éliane Assassi mówiła na początku marca w parlamencie o 206 rannych w głowę oraz pięciu osobach, którym granaty hukowe oderwały ręce. Francja jest ostro krytykowana za sposób, w jaki traktuje manifestantów. Komisarz praw człowieka Rady Europy Dunja Mijatović wezwała w lutym Paryż do „okazania większego szacunku dla praw obywatelskich". Mijatović zaapelowała również do Macrona o zawieszenie korzystania przez siły bezpieczeństwa z granatników na kule gumowe i o jak najszybsze zrewidowanie przepisów odnoszących się do używania tego rodzaju broni. „Żółte kamizelki" usiłowały równolegle wywalczyć taki zakaz przed sądem. Bezskutecznie.

Nie oznacza to oczywiście, że w protestach nie uczestniczą ludzie, których cele to wzniecanie zamieszek, wandalizm, atakowanie policjantów i plądrowanie sklepów. Jest to jednak zdecydowana mniejszość. Są to głównie bojówkarze skrajnej lewicy, którzy osłaniają się „żółtymi kamizelkami". Członkowie Antify i czarnego bloku, dobrze znani policji. Wobec bezsilności władzy i jej malejącego autorytetu obrywają jednak wszyscy. To także konsekwencja polityki tożsamościowej lewicy, czyli dekonstrukcji wszystkiego – od tradycji, po wiarę. „Uśmierciliśmy Boga, a wraz z nim ojca, nauczyciela, akademika, bohatera, żołnierza i policjanta" – pisze gorzko Tremolet de Villiers.

eprasa.pl 2761d14f30

WYMUSIĆ POSŁUSZEŃSTWO

Mimo brutalności policji protesty trwają. Postanowiono więc ograniczyć prawo do zgromadzeń. 12 marca francuski Senat przyjął ustawę przegłosowaną wcześniej przez izbę niższą, autorstwa posła centroprawicowej partii Les Republicains Bruna Retailleau. Według nowych przepisów zakaz udziału w zgromadzeniu publicznym będą mogły wydawać władze administracyjne. Wzorem zakazów stadionowych. Na miesiąc i na całym terytorium kraju. Obecnie niezbędny jest do tego prawomocny wyrok sądowy. Co więcej, agresywne zachowania podczas zgromadzeń publicznych – akty wandalizmu czy nawoływanie do nich – zagrożone będą karą sześciu miesięcy więzienia oraz grzywną w wysokości 7,5 tys. euro. Grzywna będzie groziła także za zasłanianie twarzy.

Od razu po przyjęciu ustawy przez Senat pojawiły się jednak wątpliwości co do jej zgodności z konstytucją, szczególnie zapisu o administracyjnym zakazie udziału w zgromadzeniach publicznych. Senatorowie Partii Socjalistycznej argumentowali, że jest on „zbyt arbitralny". Zanim jednak ktokolwiek z nich zdążył odesłać tekst do Trybunału Konstytucyjnego, zrobił to sam Macron, wywołując zdumienie wśród parlamentarzystów. Po pierwsze, bo wtrącił się do procesu legislacyjnego, a po drugie dlatego, że był zwolennikiem ustawy, a szef MSW Christophe Castaner jej zawzięcie bronił. „Najpierw byliście przeciwko, potem zdecydowanie za, a teraz? Sposób rozumowania pana prezydenta jest rzeczywiście bardzo zawiły" – ironizował Retailleau. No ale prezydent musi myśleć o słupkach poparcia, a dla 53 proc. Francuzów – jak wynika z sondażu IPSOS z marca – wolność jest wciąż najważniejszą wartością.

16 marca odbył się pierwszy protest (nielegalny) w Poitiers w obronie prawa do manifestowania, zorganizowany przez „żółte kamizelki" wspólnie z głównymi centralami związkowymi. Przeciw ustawie protestują także działacze na rzecz praw człowieka, którzy utrzymują, że nowe reguły są zbyt uznaniowe i może dochodzić do ich nadużywania. Przeciw ustawie głosowała zresztą też część posłów prezydenckiej partii LREM!. Zamieszanie wokół ustawy dopełnia obraz władzy, która nie wie, jak poradzić sobie ze zbuntowanymi obywatelami, więc sięga po rozwiązania siłowe, których legalności sama nie jest pewna.

AROGANCJA, AUTORYTARYZM

Gospodarz Pałacu Elizejskiego utrzymuje od początku swej prezydentury również trudne relacje z mediami. Niedługo po swojej inauguracji skrytykował prasę za to, że zamiast informować o jego programie reform, „poszukuje skandali". „Sprawy nie idą zbyt dobrze, gdy prasa stawia się w roli sędziego polityki" – podkreślił. Już wówczas stało się jasne, że młody prezydent gardzi mediami, szczególnie tymi, które się z nim nie zgadzają. Dał temu wyraz, gdy na pytanie dziennikarzy telewizji publicznej France 2 o jego strategię komunikacyjną i obiecane zmiany w rządzie odparł, że „dziennikarze go nie obchodzą". „Dziennikarze interesują się za bardzo sobą i za mało krajem. A rekonstrukcja rządu obchodzi tylko dziennikarzy politycznych, którzy nie mają nic innego do roboty" – dodał. Dlatego odmówił udzielenia francuskiej telewizji publicznej w 2017 r. tradycyjnego wywiadu z okazji Święta Narodowego Francji. Pałac Elizejski wyjaśnił zdumionym dziennikarzom, że myśli Macrona są „zbyt skomplikowane", by mogli je zrozumieć dziennikarze, a co dopiero obywatele. Pismo „Marianne" odpowiedziało nagłówkiem: „My zbyt głupi, by rozumieć prezydent Macron".

> Mimo brutalności policji protesty we Francji trwają. Władza postanowiła więc ograniczyć prawo do zgromadzeń

Stosunek gospodarza Pałacu Elizejskiego do prasy i telewizji mimo humorystycznych aspektów nie jest jednak zabawny. Krytykę, która spotkała francuskiego prezydenta ze strony mediów z okazji afery Benalla czy protestów „żółtych kamizelek", uważa on za obrazę majestatu. Krytykującym go dziennikarzom zarzucił (o ironio!) narcyzm, chęć zniszczenia go, a co za tym idzie – Francji. W końcu „l'etat c'est moi" – „państwo to ja". W trakcie protestów „żółtych kamizelek" Macron stwierdził, że „połączenie social mediów i telewizji informacyjnych jest trucizną dla demokracji". Facebook czy Twitter wspierają jego zdaniem inspiratorów protestów – skrajną prawicę, Rosję i inne ponure ośrodki wpływu, dążące do zniszczenia liberalnej demokracji.

Na początku lutego dwóch prokuratorów pojawiło się w redakcji portalu demaskatorskiego Mediapart z nakazem przeszukania, wystawionego w ramach śledztwa o naruszenie prywatności. Chcieli zabezpieczyć nagrania rozmów Alexandre'a Benalli z byłym pracownikiem prezydenckiej partii LREM! Vincentem Crase'em, które portal opublikował kilka tygodni wcześniej. Nie zostali wpuszczeni do środka. Według założyciela i dyrektora Mediapart Edwy Plenela nakaz przeszukania został wystawiony bez podstawy prawnej, gdyż ani Benalla, ani Crase nie złożyli skargi w prokuraturze, a ta nie może działać z własnej inicjatywy. „Oni chcieli poznać nasze źródła. To rzecz niesłychana. Ta władza jest szalona, naprawdę szalona" – podkreślił Plenel w rozmowie z dziennikiem „Le Monde". Jego zdaniem państwo Macrona zamienia się powoli w państwo autorytarne. „Wartościami Republiki Francuskiej są wolność, równość i braterstwo. Republika w Marszu [prezydencka partia LREM! – dop. red.] ma inne: fasadowa apolityczność, arogancja, autorytaryzm" – dodał. Kilka dni po próbie przeszukania redakcji Mediapart premier Édouard Philippe przyznał, że to on zlecił prokuraturze otwarcie śledztwa w sprawie publikacji portalu. Oczywiście w „trosce o przejrzystość".

eprasa.pl 2761d14f30

Cud purimowy i Polska

Fot. East News/AP Photo/Susan Walsh

Ani żadnej debaty, ani nawet głosu krytyki nie wzbudziła ostatnio polska kontra wobec polityki bliskowschodniej Donalda Trumpa. A to rzecz nietypowa, zważywszy na to, że wszelkie zadrażnienia na linii Warszawa–Waszyngton zazwyczaj urastają u nas do rozmiaru „wielkich kryzysów", przynajmniej jeśli patrzeć na nie przez pryzmat polskich mediów

JAN ROKITA

Tym razem doszukałem się w polskich gazetach tylko jednego komentarza, na łamach „Rzeczpospolitej". Komentator tego dziennika z satysfakcją przyjmuje to, że Polska odcięła się od polityki USA, zalecając nawet polskiemu rządowi, aby „trzymał się z dala od polityki bliskowschodniej Trumpa". Być może powodem nikłego odzewu w kraju polskiego stanowiska było to, że nie chcąc zapewne angażować wprost polityków obozu rządowego w krytykę USA, polskie władze zleciły tę misję dyplomatce – ambasador przy ONZ Joannie Wroneckiej. Z politycznego punktu widzenia nie ma to żadnego znaczenia, ale pewnej pikanterii jej oświadczeniu nadaje to, że pani ambasador to znana arabistka i była szefowa delegatury Unii Europejskiej w Jordanii.

WZGÓRZA GOLAN DLA IZRAELA

A rzecz idzie o nowy cud purimowy, jaki właśnie zdarzył się Izraelowi. Ów oryginalny biblijny cud to ocalenie narodu przed pierwszym holocaustem, który zaplanował dlań perski (co w dzisiejszym kontekście politycznym ma symboliczne znaczenie) dygnitarz Haman. Ocalenie owo przyszło za sprawą dzielnej Estery, Haman zaś został za swój zbrodniczy zamiar okrutnie ukarany. Nawiasem mówiąc, wstrząsający wizerunek jego

eprasa.pl 2761d14f30

śmierci zostawił nam Michał Anioł na jednym z żagielków sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej. Święto Purim jest więc czasem „uczt i wesela" (jak mówi Pismo), a Żydzi raczą się m.in. ciasteczkami o nazwie „uszy Hamana". W tym roku Purim przypadło na dni 20–21 marca. I właśnie w purimowy wieczór premier Netanjahu zaanonsował na Twitterze, że znów wydarzył się Izraelowi cud purimowy. Tym razem za sprawą Donalda Trumpa, który postanowił uznać Wzgórza Golan za trwałą część izraelskiego terytorium państwowego. „To jest wigilia Purim i mamy Cud Purimowy" – pisał Netanjahu. I dodawał: „Trump tworzy historię. Zadzwoniłem, by podziękować mu w imieniu narodu Izraela".

Żydzi zajęli Wzgórza Golan siłą w czasie wojny sześciodniowej 1967 r., a w 1981 r. formalnie wcielili je do Izraela. Ale od tamtego czasu, zwłaszcza w latach rządów pojednawczo nastawionej wobec Arabów lewicowej Partii Pracy, po cichu negocjowali ewentualny ich zwrot Syryjczykom, w zamian za trwały pokój ze strony Damaszku. Nic z tych negocjacji jednak nie wyszło, a kiedy w Syrii wybuchła wojna domowa, stało się jasne, że zwrot Wzgórz Golan nie wchodzi w ogóle w grę. W ich pobliżu, po stronie syryjskiej, zaczęły się bowiem sadowić wojska Iranu i sprzymierzonej z nim milicji Hezbollah, którzy nie czynią tajemnicy z tego, że interesuje ich fizyczna likwidacja państwa żydowskiego.

Od niemal pół wieku w strefie buforowej pomiędzy Izraelem a Syrią stacjonują wojska ONZ (tzw. misja UNDOF), w których skład przez 35 lat wchodziły także oddziały polskie. W 2009 r. wycofał je dopiero stamtąd minister Bogdan Klich, ale ostatnio prezydent Duda zgłosił w ONZ chęć naszego powrotu. Od strony Izraela na Wzgórza Golan ciągną turyści zwabieni możliwością oglądania przez lunety Kunejtry – zdziczałego miasta widma, pozostającego w strefie buforowej i opuszczonego przez mieszkańców pół wieku temu. Dość szczególne znaczenie mają Wzgórza dla chrześcijan. Jak podaje ewangelista Mateusz, to właśnie tutaj – w Cezarei Filipowej u stóp góry Hermon, z której wypływają źródła Jordanu – Jezus ustanowił swój Kościół, dając Piotrowi obietnicę „kluczy Królestwa Niebieskiego". Antyczne ruiny Cezarei (obecnie Banjas) wojska izraelskie zajęły 10 kwietnia 1967 r. i od wielu lat jest to miejsce dostępne dla pielgrzymów i turystów.

PREZYDENCKI DEKRET

Motywy decyzji Trumpa są całkiem czytelne, a wbrew temu, co można usłyszeć od niektórych komentatorów, decyzja wcale nie jest zaskoczeniem. Senator z Teksasu Ted Cruz (który był rywalem Trumpa do nominacji prezydenckiej trzy lata temu) wystąpił już wcześniej z inicjatywą podobnej uchwały w Senacie, a o prezydencki dekret zabiegali nie od dziś zarówno wpływowi politycy republikańscy (np. senator Lindsey Graham), jak i żydowskie lobby w USA. Trump podpisał dekret uznający Wzgórza Golan za część Izraela w obecności ściągniętego na tę okazję do Waszyngtonu Netanjahu 25 marca, czyli dokładnie w chwili, w której spotkał się na swym corocznym zebraniu amerykańsko-izraelski lobbystyczny komitet AIPAC. Ale kluczowym argumentem na rzecz umocnienia izraelskiej suwerenności nad Wzgórzami jest oczywiście Iran. Podczas debaty w Radzie Bezpieczeństwa ONZ Amerykanie podnosili „alarmujące" ich zdaniem wieści, że utrzymywana przez Iran armia Hezbollahu jest już obecna tuż przy posterunkach izraelskich, na terenie syryjskiej części strefy buforowej.

Biały Dom nie krył też wcale tego, że termin dekretu prezydenta został wybrany tak, aby premier Netanjahu, którego 9 kwietnia czekają trudne wybory parlamentarne, dostał od Ameryki „prezent" umacniający jego przedwyborczą pozycję wobec przeciwników z izraelskiego politycznego centrum oraz lewicy.

Prezydencki dekret skrytykowali: Unia Europejska, niemal wszyscy członkowie Rady Bezpieczeństwa, a także arabscy sojusznicy Ameryki, wśród nich Arabia Saudyjska. Choć w przypadku Saudyjczyków, podobnie jak innych sunnickich emiratów z Półwyspu Arabskiego, krytyka owa ma charakter raczej deklaratywny, zważywszy na antyperskie ostrze polityki tych krajów. Odcinają się one jednak od decyzji Trumpa, bacząc na to, by nie narazić się na zarzut braku panarabskiej solidarności albo wspierania jakiegoś definitywnego rozbioru Syrii. Można odnieść wrażenie, że mimo zupełnie odmiennego kontekstu politycznego w dość podobnej sytuacji znalazła się Polska.

> Ameryka dekretem prezydenta Donalda Trumpa uznała Wzgórza Golan za trwałą część Izraela

WARSZAWA JAK UE: PRZECIW

Odcinanie się od polityki Trumpa w chwili kluczowej dla decyzji o ulokowaniu w Polsce stałej bazy US Army jest dla polskiego rządu krokiem ze wszech miar niewygodnym. Ale jeszcze bardziej niewygodne byłoby wyłamanie się z solidarnej postawy całej Unii Europejskiej (łącznie z Anglikami), a przede wszystkim – izolowana obrona Ameryki w Radzie Bezpieczeństwa ONZ.

PiS zabiegało o to niestałe polskie uczestnictwo w Radzie Bezpieczeństwa, traktując rzecz aż za bardzo prestiżowo. Prezydent Duda zaś deklarował szczególną polską troskę o respekt dla norm prawa międzynarodowego oraz idei wielostronnej pokojowej dyplomacji. Tymczasem z formalnoprawnej perspektywy Wzgórza Golan zajęte 52 lata temu siłą pozostają oczywiście „terytorium okupowanym". Szczególne przywiązanie do tych formalnych reguł wykazują Niemcy, co bierze się przede wszystkim z ich historycznej i całkiem zrozumiałej traumy. Wicerzeczniczka rządu w Berlinie Ulrike Demmer mówi o tym bardzo jasno: „Jeśli granice mają być

5/0419/F

eprasa.pl 2761d14f30

zmieniane, to musi się to odbywać środkami pokojowymi, z udziałem wszystkich stron. Rząd Niemiec odrzuca wszelkie jednostronne posunięcia".

Rząd Morawieckiego nie posunął się do tego rodzaju pryncypialnej retoryki, ale wybrał opcję nierobienia sobie dodatkowych kłopotów w Unii oraz w ONZ. I – prawdę mówiąc – trudno się temu wyborowi szczególnie dziwić. W Warszawie rzecz została zmilczana, a głos zabrała tylko w Nowym Jorku ambasador Wronecka. I nawet jej deklaracja nie była aż tak całkiem jednoznaczna. Choć nie udzieliła ona poparcia decyzji Białego Domu, powołując się na normy prawa międzynarodowego, to jednak zaraz potem wyraziła „niepokój z powodu obecności wojsk w strefie buforowej". Czyli de facto powtórzyła argumentację przedstawiciela USA Rodneya Huntera, nie używając tylko przy tym słów: Iran ani Hezbollah. Tego rodzaju formalnoprawne, a zarazem oportunistyczne stanowisko jest w takich razach normą postępowania rządów, które nie chcą sobie po prostu przysparzać kłopotów.

Chociaż nie było żadnej publicznej debaty nad stanowiskiem ambasador Wroneckiej (czyli w istocie rządu polskiego), to o samym dekrecie Trumpa komentatorzy polskich mediów piszą (jak zwykle zresztą) z niechęcią albo wręcz odrazą. Warto jednak zdawać sobie sprawę z tego, że podnoszony w polskich mediach antyamerykański argument o precedensie, jakim ma być dekret Trumpa, jest chybiony. Sednem tego argumentu jest teza, że skoro Izraelowi wolno legalnie zaanektować Wzgórza Golan, to Rosji wolno równie legalnie zająć Krym, kawałek Ukrainy albo nawet – jak bez umiaru wywodzi komentator „Rzeczpospolitej" – polską Hajnówkę. Ale logika, wedle której jakieś użycie siły przez jeden kraj może legitymizować agresję innego kraju pół wieku później, jest przecież w realnej polityce niedorzecznością.

Każdy, komu choć raz zdarzyło się być na Wzgórzach Golan, wie doskonale, że spod góry Hermon widać w dobrą pogodę nie tylko syryjski Damaszek, lecz po stronie południowej także niemal całą równinę Galilei, wraz z Jeziorem Galilejskim i leżącą nad jego brzegiem Tyberiadą. Kiedy dziś po syryjskiej stronie Wzgórz Golan instalują się swobodnie najrozmaitsze wojska oraz islamskie milicje, tylko jakiś szalony rząd w Jerozolimie mógłby się zdecydować na wycofanie własnej armii ze szczytów tych wzgórz. Dekret Trumpa pod tym względem niczego tak naprawdę nie zmienia. Jego polityczne znaczenie odnosi się raczej do dalszej przyszłości.

Skoro Ameryka uznała Wzgórza Golan za trwałą część Izraela, to Żydzi mogą mieć teraz pewność, że ani ONZ, ani żadna konferencja pokojowa, ani też żadna międzynarodowa presja nie zmusi ich już do wyzbycia się obszaru, bez którego północna część kraju pozostałaby faktycznie bezbronna. Cud purimowy 2019 r. to nic innego jak znacznie mocniejsza niż dotąd gwarancja bezpieczeństwa państwa żydowskiego.

REKLAMA

eprasa.pl 2761d14f30

Chrystus odmładza nasze serca

Pełne mocy, radosne orędzie o Jezusie jest najważniejszym przesłaniem najnowszego dokumentu papieża Franciszka ogłoszonego 2 kwietnia. Adhortacja apostolska jest owocem niedawnego synodu biskupów poświęconego młodzieży. Jak zauważa Franciszek, młodość to nie tyle okres życia, ile stan serca. „Prawdziwa młodość polega na posiadaniu serca zdolnego do kochania. Natomiast tym, co sprawia, że dusza się starzeje, jest to wszystko, co oddziela nas od innych"

PIOTR SŁABEK

Papież wielokrotnie zwraca uwagę na wspólnotowy i relacyjny wymiar człowieka i Kościoła. Chrześcijaństwo opiera się na więziach przyjaźni i miłości. Bliska relacja z Chrystusem to istota chrześcijaństwa. Świat norm, nakazów i prawa ma służyć więziom i je podtrzymywać, nie górować nad nimi ani je ograniczać. Potrzeba słuchania, empatii, rozumienia drugiego człowieka jest ważniejsza od oceniania, poprawiania. Poprzez nią Bóg otwiera ludzkie serca i umysły na proces nawrócenia. W taką wizję wpisuje się najnowszy dokument papieża Franciszka.

Adhortacja „Christus vivit" jest pełna miłości i troski o człowieka młodego. Chrystus żyje i jest źródłem nadziei, On odmładza nasze serca. On jest w każdym z nas i nigdy nas nie opuszcza. Kiedy czujemy się starzy z powodu smutku, urazów, lęków, wątpliwości, porażek, On jest przy nas, aby na nowo dać nam siłę i nadzieję. Dokument przypomina prawdy wiary i zachęca do realizacji własnego powołania. Przestrzega młodych, by nie dali sobie ukraść nadziei, marzeń i nie zmarnowali tego daru, jakim jest młodość. Adhortacja jest formą odpowiedzi na tysiące pytań osób wierzących i niewierzących, które zostały przesłane w związku z pracami Synodu.

Nie możemy się ograniczyć do powiedzenia, że ludzie młodzi są przyszłością świata. Są jego teraźniejszością, ubogacają go swoim wkładem. Papież przytacza wiele fragmentów z Biblii o ludziach młodych, wspomina młodych świętych. Franciszek nie unika trudnych problemów, choćby tematu nadużyć w Kościele związanych z pedofilią. Dokument obejmuje m.in. takie tematy jak: waga przyjaźni i więzi międzyludzkich, proces dojrzewania, odkrywanie i rozeznawanie swojego powołania, rola internetu i mediów społecznościowych.

Młodość to nie tylko okres życia, lecz i stan serca. „Prawdziwa młodość polega na posiadaniu serca zdolnego do kochania. Natomiast tym, co sprawia, że dusza się starzeje, jest to wszystko, co oddziela nas od innych". Jezus jest młodym pośród młodych. „Jezus dbał o przyjaźń ze swoimi uczniami, a nawet w chwilach kryzysu pozostał jej wierny. Okazał głębokie współczucie dla najsłabszych, szczególnie ubogich, chorych, grzeszników i wykluczonych. Miał odwagę zmierzyć się z władzami religijnymi i politycznymi swoich czasów; doświadczył poczucia niezrozumienia i odrzucenia; doświadczył lęku w obliczu cierpienia i znał słabość Męki; skierował wzrok ku przyszłości".

Diagnoza sytuacji Kościoła ma żar i bezkompromisowość biblijnych proroków. Członkowie Kościoła nie mogą być dziwakami, winni być braterscy i bliscy ludziom, odważni w dawaniu świadectwa wielkoduszności, służby, czystości, męstwa, przebaczenia, wierności w małżeństwie, modlitwy, walki o sprawiedliwość i dobro wspólne, miłości do ubogich oraz przyjaźni.

„Kościół Chrystusowy zawsze może ulec pokusie zatracenia entuzjazmu, gdy nie słucha już wezwania Pana do ryzyka wiary, do dawania z siebie wszystkiego, nie zważając na zagrożenia, a także dlatego, że ponownie poszukuje fałszywych zabezpieczeń doczesnych. To właśnie ludzie młodzi mogą pomóc Kościołowi, by pozostał młody, by nie popadł w zepsucie, by się nie zamykał, nie stawał się zarozumiały, nie zamieniał się w sektę, by był uboższy i zdolny do świadectwa, do bycia blisko najmniejszych i odrzuconych, aby walczył o sprawiedliwość i pozwolił z pokorą zadawać sobie pytania".

Papież wyciąga wnioski z postaw ludzi młodych, którzy Boga, religię, Kościół odrzucają lub traktują z wielką nieufnością. „Konieczne jest, aby Kościół nie był zbyt skoncentrowany na sobie samym, ale aby przede wszystkim odzwierciedlał Jezusa Chrystusa. To zakłada, że pokornie uzna on, iż pewne konkretne kwestie muszą się zmienić, a w tym celu musi także poznać wizję, a nawet krytykę ludzi młodych".

„Znaczna liczba ludzi młodych z różnych przyczyn niczego nie oczekuje od Kościoła, ponieważ nie uważa go za znaczący dla ich życia. Co więcej, niektórzy wyraźnie proszą o pozostawienie ich w spokoju, ponieważ odczuwają jego

eprasa.pl 2761d14f30

obecność jako uciążliwą, a nawet irytującą. Takie żądanie często nie rodzi się z bezkrytycznej i impulsywnej pogardy, ale ma też swoje korzenie w poważnych i godnych uszanowania przyczynach: skandalach seksualnych i ekonomicznych; nieprzygotowaniu kapłanów, którzy nie potrafią odpowiednio uchwycić wrażliwości młodych ludzi; braku staranności w przygotowaniu homilii i głoszeniu słowa Bożego; bierności przypisywanej ludziom młodym we wspólnocie chrześcijańskiej; trudnościom Kościoła w uzasadnianiu swojego stanowiska doktrynalnego i etycznego wobec współczesnego społeczeństwa".

Zgodnie z powszechnym doświadczeniem komunikacji międzyludzkiej kluczową rolę w budowaniu więzi odgrywa aktywne, szczere słuchanie, jest ono ważniejsze od pośpiesznego dawania gotowych recept czy wygłaszania wyświechtanych banałów.

„Młodzi domagają się Kościoła, który by więcej słuchał, który by nie osądzał nieustannie świata ani nie myślał, że wszystko, co mu się przydarza, dzieje się z powodu niegodziwości społeczeństwa. Nie chcą widzieć Kościoła milczącego i nieśmiałego, ani też zawsze walczącego o dwa lub trzy tematy będące jego obsesją. Aby być wiarygodnym dla młodych, Kościół musi niekiedy odzyskać pokorę i po prostu słuchać, rozpoznać w tym, co mówią inni, światło, które może mu pomóc w lepszym odkryciu Ewangelii. Kościół w defensywie, tracący pokorę, który przestaje słuchać, nie pozwala na podawanie w wątpliwość, traci młodość i zamienia się w muzeum. Jak w ten sposób może przyjąć marzenia młodych? Chociaż posiada on prawdę Ewangelii, nie oznacza to, że w pełni ją zrozumiał; raczej musi zawsze wzrastać w zrozumieniu tego niewyczerpalnego skarbu".

„Czasami przeważa skłonność do udzielania gotowych odpowiedzi i gotowych recept, nie pozwalając na pojawienie się pytań młodzieńczych w ich nowości i zrozumienie zawartej w nich prowokacji". Z drugiej strony, kiedy Kościół porzuca sztywne schematy i otwiera się na słuchanie młodych z uwagą i otwartością, to wówczas ta empatia go ubogaca, ponieważ „pozwala młodym na wniesienie do wspólnoty ich wkładu, dopomagając jej w zrozumieniu nowych wrażliwości i postawieniu sobie nowych pytań".

Troska o prawdziwe, szczere relacje, wrażliwość na ludzką krzywdę to znak rozpoznawczy przesłania papieża Franciszka. „Nie możemy być Kościołem, który nie płacze w obliczu tych dramatów swoich młodych dzieci. Nigdy nie możemy się do tych dramatów przyzwyczaić, bo kto nie umie płakać, nie jest matką. Chcemy płakać, aby społeczeństwo także stawało się bardziej matczyne, aby zamiast zabijać, nauczyło się rodzenia, aby było obietnicą życia. Płaczemy, gdy pomyślimy o ludziach młodych, którzy umarli z powodu nędzy i przemocy, i żądamy od społeczeństwa, aby nauczyło się matczynej solidarności. Ten ból nie znika, wciąż nam towarzyszy, bo rzeczywistości nie da się ukryć. Najgorszą rzeczą, jaką możemy uczynić, jest zastosowanie recepty proponowanej przez ducha tego świata, która polega na znieczuleniu młodych ludzi innymi wiadomościami, innymi rozrywkami, banalnością".

„Dziś grozi nam, dorosłym, że będziemy sporządzali listę porażek i niedoskonałości obecnej młodzieży. Być może niektórzy będą nas oklaskiwać, ponieważ sprawiamy wrażenie ekspertów w znajdowaniu aspektów negatywnych i zagrożeń. Ale jaki byłby rezultat promowania takiej postawy? Coraz większy dystans, mniejsza bliskość, mniej wzajemnej pomocy".

„Dogłębne spojrzenie tych, którzy są uważani za ojców, pasterzy czy przewodników ludzi młodych, polega na dostrzeżeniu małego płomienia, który nadal się tli, krzewu, który zdaje się łamać, ale nie jest jeszcze złamany (por. Iz 42, 3). To zdolność znajdowania dróg tam, gdzie inni widzą tylko mury, to zdolność rozpoznawania szans, tam gdzie inni widzą tylko zagrożenia. Takie jest spojrzenie Boga Ojca, zdolnego docenić i pielęgnować ziarna dobra zasiane w sercach ludzi młodych. Każdy młody musi być uważany za »ziemię świętą«, niosącą ziarna życia Bożego, przed którą musimy »zdjąć sandały«, by móc podejść i zgłębić Tajemnicę".

Wszystkie cytaty z posynodalnej adhortacji apostolskiej „Christus vivit".

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 2761d14f30

Zaklinają spowolnienie gospodarcze

JANUSZ SZEWCZAK

Zamiast oczekiwanego i wymodlonego przez totalną opozycję załamania i spowolnienia zapowiada się całkiem przyzwoity rok i prawdziwy boom konsumpcyjny

PO na swej ostatniej konwencji wyborczej zapowiedziała: „Jak wygramy, to wam damy". Prawie wszystkim da podwyżki, obniży podatki prawie o połowę, zapewni czyste powietrze, a nawet wyleczy z raka i przyczyni się do urodzeń 100 tys. dzieci. Tyle że jak Platforma rządziła, to obcięła nawet zasiłek pogrzebowy i zabrała 150 mld zł z OFE. Taki program gospodarczy Platformy kosztowałby nie 40 mld zł, a grubo ponad 400 mld zł.

Przedstawiciele opozycji, jak tylko mogą, zaklinają spowolnienie gospodarcze w Polsce, bo ku ich rozpaczy na drugą Grecję, krach finansowy czy budżetowy armagedon w tym roku się jednak nie zanosi. Na placu pozostał już tylko odklejony od rzeczywistości i chory z nienawiści do PiS prof. Leszek Balcerowicz. Dziś ci, którzy kiedyś z ramienia UW, KLD, SLD, PSL czy AWS wyprzedawali za bezcen majątek narodowy (raptem 170 mld zł za 70 proc. najwartościowszego majątku narodowego), ci, którzy pozwolili zrabować i wyłudzić ok. 400 mld zł naszych dochodów podatkowych, nie tylko z VAT, ale i akcyzy, CIT czy braku opodatkowania hazardu, są wyjątkowo zatroskani o regułę wydatkową, deficyt finansów publicznych i koszty finansowe tzw. piątki Kaczyńskiego w kontekście stabilności finansów publicznych.

Dziś przepowiadają dramat 2–3 proc. deficytu finansów publicznych, jakby zapomnieli, że sami mieli deficyt rzędu 5–7 proc. PKB. Ale jak na złość

polska gospodarka nadal nie chce ostro hamować ani budżet zionąć pustką. Wręcz przeciwnie – polska gospodarka wydaje się teflonowa, a wyniki i wskaźniki gospodarcze za I kw. 2019 r. wróżą jak najlepiej. Nie tylko agencja ratingowa Fitch podniosła swoją prognozę wzrostu polskiego PKB na 2019 r. do 4 proc., lecz wiele wskazuje, że będziemy mieli w I kwartale wzrost gospodarczy na poziomie 4,5 proc., a w całym roku wzrost PKB na poziomie 4,2–4,3 proc.

Produkcja przemysłowa w lutym wzrosła o prawie 7 proc. i była najwyższa w Europie, a to znaczy, że opozycyjni eksperci i analitycy bankowi pomylili się w tej materii „tylko" o 80 proc., produkcja budowlano-montażowa wzrosła o 15 proc. Seria pozytywnych zaskoczeń trwa w najlepsze. Sprzedaż detaliczna wzrosła o ponad 6 proc., dynamika wynagrodzeń o ponad 7 proc., eksport rośnie szybciej niż import, mimo coraz większych problemów gospodarczych Niemiec, umacnia się polski złoty, a obligacje skarbu państwa na poziomie 2,7–2,9 proc. są wyjątkowo atrakcyjne. Polski boom jakoś nie chce wygasnąć mimo zaklęć politycznych przeciwników rządu, a wygląda też na to, że w tym roku przyspieszą inwestycje, wysoko notowany jest także wskaźnik ufności konsumenckiej (BWUK). PFR za 2 mld zł odkupił właśnie od zagranicznych funduszy terminal kontenerowy DCT w Gdańsku obsługujący już blisko 2 mln kontenerów, nareszcie skutecznie zaczyna być rozbijana mafia lekowa, która wywoziła za granicę medykamenty ratujące życie, na czym traciliśmy rocznie 2–4 mld zł.

Grzegorz Schetyna straszy nie tylko, że jak PO dojdzie do władzy, to wszystkich pozamykają, lecz także że wyrzucą wszystkie miernoty PiS ze spółek skarbu państwa. Tyle że to właśnie za PiS te spółki osiągają rekordowe zyski. Orlen SA zarządzany przez prezesa Daniela Obajtka i jego ekipę uzyskuje wyniki, o jakich mogli tylko pomarzyć „geniusze" zarządzania z PO i PSL, a zakup kopalni miedzi Sierra Gorda w Chile w 2012 r. przez tych samych „geniuszy" kosztował nas jak na razie ok. 20 mld zł strat. W 2017 r. Orlen zarządzany przez ludzi PiS zarobił 6,6 mld zł, a w 2018 r. – 5,4 mld zł i przeznaczył na dywidendę 1,5 mld zł, w tym 600 mln zł dla skarbu państwa.

Polski rząd zapowiedział, że zbuduje wkrótce kolejny terminal gazu skroplonego (LNG) również w Gdańsku, na co już bardzo krzywią się zarówno Niemcy, jak i Rosjanie. Polska może wkrótce dostać od 4 do 8 mld euro z UE na walkę ze smogiem i realizację rządowego programu Czyste Powietrze, co może się okazać kolejnym prawdziwym, rynkowym hitem, jeśli tylko zostaną maksymalnie uproszczone wnioski o dopłaty do pieców węglowych. PGNiG i Lotos właśnie przeprowadziły pierwsze operacje komercyjnego bunkrowania skroplonego gazu LNG na statkach – to wielki krok w kierunku rozwoju tego rynku w polskich portach morskich, rusza rozbudowa portów w Gdyni i w Gdańsku.

> Trwa seria pozytywnych zaskoczeń. Sprzedaż detaliczna wzrosła o ponad 6 proc., dynamika wynagrodzeń o ponad 7 proc., eksport rośnie szybciej niż import

Czyli zamiast oczekiwanego i wymodlonego przez totalną opozycję załamania i spowolnienia zapowiada się całkiem przyzwoity rok i prawdziwy boom konsumpcyjny. Nasze niewielkie osłabienie wzrostu PKB z poziomu 5,1 proc. do 4,4–4,5 proc. przy wzroście PKB w strefie euro na poziomie 0,5–0,8 proc. to po prostu pikuś. Musimy niewątpliwie zrobić wszystko, by jeszcze zintensyfikować relacje handlowe i biznesowe z USA i przyciągnąć do Polski inwestycje i kapitał amerykański. Bowiem dotychczasowe zbyt sztywne przywiązanie polskiej łódki gospodarczej do niemieckiego wieloryba gospodarczo-eksportowego jest dobre i korzystne, kiedy wieloryb pływa po powierzchni, ale kiedy zanurkuje, a to coraz bardziej grozi niemieckiej gospodarce – np. gdyby prezydent Donald Trump wprowadził cła na niemieckie samochody (potencjalne straty dla gospodarki naszego zachodniego sąsiada to ok. 18 mld euro) – wtedy może wciągnąć pod wodę i naszą łódkę. Co najmniej dziwne wydają się w tym kontekście słowa minister przedsiębiorczości i rozwoju Jadwigi Emilewicz, która deklaruje poparcie inicjatywy niemieckiego ministra gospodarki dotyczące wspólnej konkurencji z Chinami, Japonią i USA ze strony europejskich koncernów w ramach tzw. bateryjnego sojuszu: „W dobie globalnego wyścigu wspólnota Zachodu musi się dzisiaj odrodzić przede wszystkim dla ochrony naszej pozycji w światowej gospodarce". Tylko jak to się ma do Nord Stream 2, blokady polskich przewoźników, pracowników delegowanych, braku zgody na podatek od hipermarketów, zamrożenia cen energii elektrycznej, przekopu Mierzei Wiślanej czy wręcz niemieckich i francuskich gróźb cięć dotacji unijnych dla Polski?

Wielkie nadzieje PO,.N i KE oraz ich ekspertów ekonomicznych na rychłą recesję gospodarczą w Polsce z pewnością nie sprawdzą się w 2019 r., nie tylko z powodu stymulacji fiskalnej, propopytowych działań rządu, rosnących płac i konsumpcji. Wszystko to razem raczej nakręci koniunkturę gospodarczą, handel i wpływy z podatków pośrednich oraz podatku PIT. Z owych 40 mld zł wydatków budżetowych na piątkę Kaczyńskiego do budżetu wróci ok. 10 mld zł. Być może nowe dochody pojawią się w przypadku wprowadzenia podatku dla cyfrowych gigantów oraz uszczelnienia wydatków w systemie NFZ i FUS. Totalna opozycja powinna się raczej modlić nie o spowolnienie gospodarcze w 2019 r., bo na to nie ma co liczyć, ale raczej o szacunek dla ewidentnych faktów i choćby odrobinę przyzwoitości.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 2761d14f30

Minister środowiska na odsiecz polskim przedsiębiorcom

Czy częściowe urynkowienie usług odbioru i zagospodarowania odpadów komunalnych zatrzyma podwyżki cen za śmieci?

W ostatnich miesiącach przez gminy przetacza się fala podwyżek opłat za gospodarowanie odpadami komunalnymi. W wielu wzrost jest drastyczny, z kilkunastu do kilkudziesięciu złotych od mieszkańca. Eksperci twierdzą, że przyczyn jest co najmniej kilka: wzrost opłat za składowanie odpadów, kosztowny obowiązek podnoszenia standardów działania zakładów z tej branży czy słaby popyt na surowce wtórne i niska cena ich sprzedaży związana m.in. z zamknięciem rynku chińskiego na te towary. Prywatni przedsiębiorcy, zwłaszcza mali i średni, którzy swe rodzinne firmy otwierali zaraz po transformacji gospodarczej, dokładają do tego jeszcze jeden argument: podwyżki to skutek monopolizacji rynku przez gminy i upadku wielu rodzimych firm z tej branży. W choćby częściowym urynkowieniu usług widzą szansę na przetrwanie i proszą o pomoc ministra środowiska, który przygotował już projekt nowelizacji ustawy w tej sprawie.

10/04/19/F

Zautomatyzowana instalacja do przetwarzania odpadów należąca do jednej z polskich firm

REWOLUCJA ŚMIECIOWA POCZĄTKIEM KOŃCA

Wolny rynek po 1989 r. był szansą także dla prywatnych firm z branży śmieciowej. Wielu zainwestowało w ten biznes, a efekty widać było gołym okiem. Nowe pojazdy, pojemniki, schludnie ubrana i trzeźwa załoga śmieciarki – dziś to standard, a wtedy nowość kontrastująca z działającymi w PRL państwowymi molochami śmieciowymi. Rodzimi przedsiębiorcy przez lata skutecznie konkurowali z zachodnimi koncernami, uzbrojonymi w ogromny kapitał i doświadczenie w prowadzeniu biznesu. W 2011 r. rządząca ówcześnie koalicja PO-PSL zdecydowała o całkowitej przebudowie systemu. Celem miała być walka z dzikimi wysypiskami oraz odzysk i recykling surowców wtórnych pochodzących z odpadów komunalnych według wymagań UE. Jednak zamiast wprowadzić obowiązek przetwarzania śmieci, które do tej pory trafiały tylko na składowiska, liberalny w hasłach rząd postawił na częściową likwidację konkurencji na rynku. Przepisy weszły w życie dwa lata później. W ten sposób gmina stała się właścicielem odpadów na swoim terenie, a wytwórca w zamian za odgórnie ustaloną opłatę miał oddawać je jednemu podmiotowi wyłonionemu w drodze przetargu. Przedsiębiorców pocieszano, że co prawda muszą oddać przez lata zdobywanych klientów, ale

eprasa.pl 2761d14f30

mogą się ubiegać o obsługę całych gmin. Skończyła się konkurencja na rynku, a zaczęła konkurencja o rynek. Wielu jej nie przetrwało, ci najmniejsi odpadli w przedbiegach – nie mieli potencjału, by sprostać tak dużym zamówieniom. Jak podaje GUS, już w 2013 r. z gmin odbierało odpady o 7 proc. mniej firm niż w poprzednim, a w 2014 ubyło kolejnych 10 proc.

IN HOUSE: LEKARSTWO CZY TRUCIZNA?

Kolejne uderzenie przyszło trzy lata później, gdy do prawa zamówień publicznych wprowadzono możliwość powierzania spółce należącej do gminy wykonywania usług bez przetargu, czyli w ramach tzw. in house. Skutek? O ile w 2015 i 2016 r. – według danych GUS – z rynku znikało po ok. 5 proc. firm, o tyle w 2017 liczba zarejestrowanych firm odbierających odpady w gminach spadła o niemal 12 proc. Włodarze samorządowi w in house upatrują sposobu na zapobiegnięcie wzrostom cen, przeciwnego zdania są przedstawiciele przedsiębiorców. – To właśnie mordowanie konkurencji przyczyniło się w znacznym stopniu do sytuacji, że dziś w małych gminach praktycznie nie ma komu startować w przetargach. Duże i średnie gminy coraz chętniej rezygnują z przetargów na rzecz własnych spółek zarówno w odbiorze, jak i zagospodarowaniu odpadów. Nasze instalacje do ich przetwarzania, wybudowane za dziesiątki milionów złotych, zaczynają świecić pustkami, bo nie mamy dostępu do strumienia odpadów. A to właśnie w dużych ośrodkach powinna zostać utrzymana konkurencja, która rozlewać się będzie na okoliczne, mniejsze gminy – mówi Karol Wójcik ze Związku Pracodawców Gospodarki Odpadami, który w grudniu ubiegłego roku przekazał premierowi raport na temat sytuacji małych i średnich przedsiębiorców (tzw. MiŚ-ów) na rynku gospodarki odpadami komunalnymi w Polsce.

UWOLNIĆ FRAGMENT RYNKU

Pomysłem przedsiębiorców, który pozwoliłby zatrzymać falę bankructw i uratować konkurencję w gminach, jest pozostawienie wolnego rynku odbioru oraz przetwarzania śmieci z terenu nieruchomości niezamieszkanych, czyli biur, instytucji, firm itd. Tak to zresztą funkcjonuje niemal w całej UE. Według danych GUS te odpady stanowią tylko 17 proc. wszystkich wytwarzanych śmieci komunalnych w Polsce, ale dla prywatnych firm to już coś. Jak mówią ich przedstawiciele, za kilka lat, gdy zmieni się władza albo okaże się, że monopol przyniósł spadek jakości usług i podwyżkę cen, spółki miejskie, z całym rynkiem w kieszeni, będą prywatyzowane. Kto je kupi? Zdaniem rodzimych przedsiębiorców będzie to łakomy kąsek dla zachodnich koncernów, które od swoich spółek matek dostaną zastrzyk gotówki na te transakcje.

Proponowane przez prywatne firmy urynkowienie usług może być też atrakcyjne dla właścicieli nieruchomości, których do sumiennego sortowania zachęcą potencjalne oszczędności finansowe. – Rynkiem recyklingu rządzi ekonomia, a surowce wtórne coraz częściej wykorzystywane są do produkcji wyrobów gotowych zgodnie z nowymi założeniami gospodarki o obiegu zamkniętym. Odpad cenny surowcowo i dobrze wysegregowany jest pożądany w recyklingu, a niewłaściwie posortowany staje się problemem, wręcz kosztem. Odpad z nieruchomości niezamieszkanych jest mniej zanieczyszczony niż ten z gospodarstw domowych. Większość przesortowanych jeszcze na poziomie produkcji odpadów podlega indywidualnie negocjowanym cenom i cyklicznym odbiorom przez przetwórców. To zatem może oznaczać mniejsze koszty dla wytwórcy odpadu i korzyści dla środowiska – mówi Szymon Dziak-Czekan, prezes stowarzyszenia Polski Recykling.

NA RATUNEK „MIŚ-OM"

Postulaty branży odpadowej poparł także minister inwestycji i rozwoju. W podpisanym przez Andżelikę Możdżanowską – sekretarz stanu w MIiR – stanowisku czytamy, że urynkowienie tych usług pomoże zachować konkurencyjność, zapobiec podwyżkom i spadkowi jakości ich świadczenia. Sprawą zajął się także powołany w ubiegłym roku Rzecznik MŚP.

– Sytuacja małych i średnich przedsiębiorców z branży gospodarki odpadami staje się rzeczywiście arcytrudna. I nie dlatego, że wymagania dotyczące ich działalności stale rosną, ale dlatego, że tracą oni szanse na klienta, na dostęp do rynku. Dlatego zdecydowałem, że udzielenie im wsparcia będzie jednym z pierwszych kroków na starcie mojej działalności jako rzecznika MŚP. Cieszę się, że marcowy projekt nowelizacji ustawy o utrzymaniu czystości i porządku w gminach przygotowany przez ministra Kowalczyka odzwierciedla popierany przeze mnie postulat urynkowienia odbioru i zagospodarowania odpadów komunalnych z terenu nieruchomości niezamieszkanych. Skorzystają i ci przedsiębiorcy, którzy zajmują się tym branżowo, i ci, którzy odpady wytwarzają na terenie swoich firm – mówi tygodnikowi „Sieci" Adam Abramowicz. W stanowisku rzecznika czytamy m.in., że obowiązująca obecnie regulacja prowadzi w sposób nieunikniony do stopniowego unicestwienia krajowej przedsiębiorczości z branży, projekt nowelizacji ma to zmienić.

Oby więc nadzieje przedsiębiorców nie okazały się płonne, bo do ataku już przystąpiły organizacje samorządowe. Chcą, by nieruchomości niezamieszkane obowiązkowo znajdowały się w systemie gminnym, a ich właściciel mógł tylko raz na kilka lat decydować, czy chce w tym systemie funkcjonować. To zupełnie nie satysfakcjonuje przedsiębiorców, którzy mają nadzieję, że taki pomysł nie zyska koniecznej akceptacji. Ich zdaniem miałby on sens tylko wtedy, gdyby właściciel nieruchomości w dowolnym momencie mógł przystąpić lub wyjść z systemu organizowanego przez gminę, a propozycja samorządów to droga do kolejnych bankructw firm prywatnych. Czy zatem minister Kowalczyk zostawi wentyl bezpieczeństwa w postaci postulowanego przez przedsiębiorców rozwiązania, które przewidział w marcowym projekcie nowelizacji ustawy? Tego dowiemy się niebawem, bo w najbliższych dniach ma się ukazać kolejna jej wersja.

Kajetan Kutnowski

eprasa.pl 2761d14f30

Co to jest Kalkulator PPK i jak z niego korzystać

Kalkulator PPK pozwala obliczyć wysokość oszczędności, jaką można będzie uzyskać w ramach nowego elementu III filaru. Daje również podpowiedź, jak dużą część wynagrodzenia powinno się odkładać na konto PPK, jeśli chcemy mieć godziwy „dodatek" do emerytury

Już za kilka miesięcy będzie można oszczędzać w ramach PPK – Pracowniczych Planów Kapitałowych. To kolejny element III filaru emerytalnego, w którym pracownik może gromadzić prywatne pieniądze, do którego dokładają się pracodawca oraz państwo. Najmniejsza możliwa wpłata ze strony pracownika na konto PPK to 2 proc. wynagrodzenia brutto, kolejne – minimum 1,5 proc. – musi dołożyć pracodawca, a państwo poza 250 zł jednorazowej wpłaty powitalnej co roku dołoży po 240 zł.

W internecie pojawił się niedawno Kalkulator PPK. To narzędzie stworzone przez Polski Fundusz Rozwoju (PFR). Ma służyć do przeprowadzania symulacji pokazujących, na jakie wypłaty z PPK może liczyć pracownik, który zdecyduje się na oszczędzanie w tym systemie. Kalkulator PPK jest dostępny na stronie https://www.mojeppk.pl/kalkulator.html.

Fot. Shutterstock | 42/0219/F

ILE OTRZYMAM Z PPK

Kalkulator PPK oferuje trzy ścieżki obliczeń – ujętych w trzy pytania – dotyczące oszczędzania w ramach PPK, umieszczone w trzech zakładkach. Pierwsza to „Ile otrzymam?" (z PPK). Pokazuje ona, jaka będzie suma zgromadzonych oszczędności w zależności od tego, w jakim wieku zaczniemy oszczędzać w PPK, jaka jest nasza płaca brutto oraz jakie czynniki będą „po drodze" wpływały na przyszłą emeryturę.

Korzystając z narzędzia, musimy po kolei wypełnić wszystkie wymagane pola i ustawić wszystkie suwaki – w zasadzie wystarczy wypełnić dwie pierwsze pozycje. Najpierw podajemy swój wiek i obecne wynagrodzenie brutto. Kolejne ustawienia są opcjonalne – wskazujemy, czy chcemy wpłacać na konto PPK coś ponad 2 proc. wynagrodzenia oraz czy nasz pracodawca będzie dodatkowo dokładał coś na rachunek PPK ponad to, do czego jest zobowiązany. Potem musimy się zdecydować, do którego roku życia będziemy oszczędzać w PPK, ile chcemy po okresie oszczędzania wypłacić jednorazowo, a ile w ratach miesięcznych i przez ile lat. Na koniec można pomajstrować przy suwakach, które pokazują zakładaną roczną stopę zwrotu z inwestycji w okresie oszczędzania i wypłat oraz zakładany średnioroczny wzrost wynagrodzenia.

Załóżmy, że mamy 35 lat, a nasze wynagrodzenie brutto to 5 tys. zł miesięcznie. Nie chcemy dodatkowo oszczędzać (ponad obowiązkowe 2 proc.), a nasz pracodawca nie dokonuje dodatkowej dobrowolnej wpłaty. Chcemy oszczędzać do 60. roku życia. Potem mamy

eprasa.pl 2761d14f30

zamiar wypłacić jednorazowo 25 proc. uzbieranej kwoty, a pozostałą otrzymywać w ratach przez 12 lat.

Zostawmy suwaki widniejące na końcu kalkulatora bez zmian, bo ustawione na nich automatycznie wartości są całkiem realistyczne. Wygląda to tak: 3,5 proc. średniorocznej stopy zwrotu w trakcie oszczędzania i 2,75 proc. w okresie wypłat oraz 2,8 proc. średniego rocznego wzrostu wynagrodzenia. Jak tłumaczą twórcy narzędzia: „Przyjęte w założeniach do Ustawy o PPK parametry dla tych wartości, w oparciu o wieloletnie prognozy makroekonomiczne, to odpowiednio 3,5 proc., 2,75 proc. oraz 2,8 proc. – dlatego suwaki są domyślnie ustawione na tych wartościach". Można je do pewnego stopnia zmieniać. „Prognozy organizacji OECD dla Polski na najbliższe 40 lat zakładają stabilny rozwój w przedziale od 0 do 5 proc. rocznie – daliśmy więc użytkownikom możliwość przestawienia tych parametrów w dowolne położenie w zakresie prognozowanym przez OECD" – wyjaśniają twórcy Kalkulatora PPK.

Okazuje się, że przy tych konserwatywnych założeniach oszczędzimy 123 565 zł, z czego 30 891 zł wypłacimy w 60. roku życia, a resztę odbierzemy w miesięcznych ratach w wysokości 756 zł w ciągu 12 lat. Środki wpłacone przez pracownika wyniosły 42 620 zł, przez pracodawcę – 31 965 zł, a przez państwo – 6 250 zł. Wygląda to całkiem nieźle.

JAKI PROCENT WYNAGRODZENIA MUSZĘ ODKŁADAĆ, BY GODNIE ŻYĆ NA EMERYTURZE

Druga ścieżka oferowana przez Kalkulator PPK stara się odpowiedzieć na inne pytanie. Brzmi ono: „Jaki procent muszę odłożyć, by otrzymywać na emeryturze z konta PPK określoną sumę?". W tym wariancie w pierwszym oknie musimy wpisać, ile chcemy co miesiąc na emeryturze otrzymywać z konta PPK jako dodatek do emerytury z ZUS. Załóżmy, że 1,5 tys. zł. Dużo? Pamiętajmy, że przez kilka dekad inflacja na

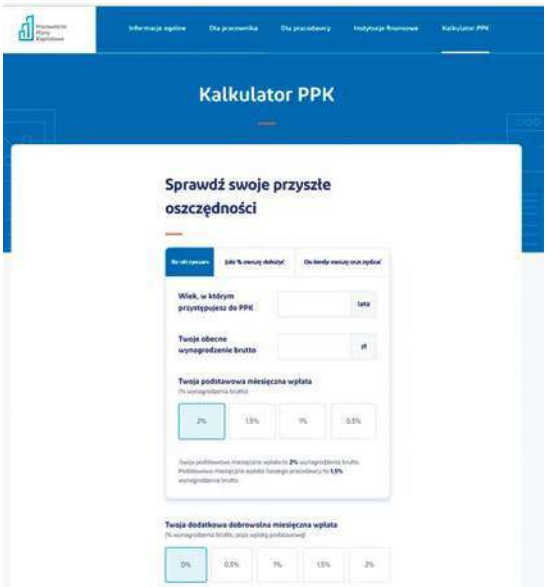

pewno zmniejszy wartość nabywczą pieniądza.

Zostańmy przy poprzednich założeniach. Rozpoczynamy oszczędzanie w wieku 35 lat, nasze wynagrodzenie brutto to 5 tys. zł, chcemy oszczędzać do 60. roku życia i tak dalej – wszystkie opcje i suwaki pozostają ustawione tak samo jak w poprzedniej ścieżce narzędzia.

Okazuje się, że aby uzyskać tak wysoką miesięczną wypłatę z konta PPK, należy zmienić założenia i liczyć na hojność pracodawcy czy wyjątkową koniunkturę na rynkach kapitałowych, która zwiększyłaby stopę zwrotu z inwestycji. Gdybyśmy odkładali przy wspomnianych konserwatywnych założeniach 2,65 proc. wynagrodzenia, wtedy suma zgromadzonych środków wyniosłaby 209 619 zł, wypłata jednorazowa – 52 405 zł, a wypłata miesięczna w okresie 12-letnim – dokładnie 1,5 tys. zł...

DO JAKIEGO WIEKU MUSIAŁBYM OSZCZĘDZAĆ, BY OTRZYMAĆ WYPŁATĘ W WYMARZONEJ WYSOKOŚCI

Zachowajmy poprzednie wartości, wchodząc na trzecią ścieżkę oferowaną przez Kalkulator PPK. Na niej możemy otrzymać odpowiedź na pytanie, do jakiego wieku musimy oszczędzać, jeśli chcielibyśmy otrzymywać co miesiąc wypłatę we wskazanej wysokości. Obniżmy nieco naszą miesięczną wypłatę – z 1,5 tys. zł do 1 tys. zł. Pozostałe ustawienia są takie same jak w poprzednich dwóch ścieżkach.

Okazuje się, że aby uzyskać 1 tys. zł co miesiąc, przy wypłacie jednorazowej w wysokości 25 proc. sumy oszczędności i przy wspomnianych konserwatywnych założeniach, trzeba by oszczędzać w PPK do 62. roku życia. Suma oszczędności wyniosłaby 141 810 zł, jednorazowa wypłata – 35 452 zł, a miesięczna – 1 015 zł.

Oczywiście radzimy poeksperymentować z ustawieniami kalkulatora. Można się naprawdę mocno zdziwić, gdy zobaczymy, jak duży wpływ na wysokość zaoszczędzonej sumy mają poszczególne kryteria, jak dużo daje wydłużenie okresu składowego o trzy lata albo jak wiele znaczy dodatkowa dobrowolna wpłata w wysokości 1 proc. wynagrodzenia. Kalkulator PPK pokazuje siłę drzemiącą w czasie i w procencie składanym.

ZAŁOŻENIA TWÓRCÓW KALKULATORA SĄ OSTROŻNE

Co ważne, twórcy Kalkulatora PPK nie uprawiają propagandy. Wyraźnie ostrzegają, że wyniki obliczeń są prezentowane według bieżącej wartości pieniądza, czyli w „dzisiejszych złotych". „Możemy sobie wyobrazić dzisiaj, ile jest warte 1 007 zł i co możemy za nie dziś kupić, nie wiemy jednak, jakiej kwocie (i w jakiej walucie) będzie ta suma odpowiadać za 20 czy 30 lat" – podkreślają twórcy Kalkulatora PPK (kwota 1 007 zł pojawia się w kalkulatorze jako przykład miesięcznych wypłat 30-latka zarabiającego brutto 4 tys. zł).

Specjaliści z PFR przypominają również to, o czym wielu na co dzień zapomina: że przyszłość jest nieznana. „Nikt nie pokusi się o odpowiedzialne stwierdzenie, jak potoczą się dzieje polskiej gospodarki przez następne kilkadziesiąt lat, ale doświadczenia minionego ćwierćwiecza napawają pewnym optymizmem, a historia innych państw z grupy krajów rozwiniętych, do których należy Polska, każą wierzyć w scenariusz może nudny, ale bezpieczny i stabilny. Takie też założenia przyjęliśmy dla naszego kalkulatora" – wskazują twórcy opisywanego narzędzia.

Paweł Sowiński

eprasa.pl 2761d14f30

Chłopcy na łąkach

Wszyscy grają boso. Wielu ma zapadłe klatki piersiowe. Niejeden nie był u dentysty dziesięć lat. Mają niedowagę. Wątłe zdrowie i braki w treningu nadrabiają ambicją

KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Futbol. Piłka nożna. Co w tej grze jest tak rzeczywiście niezwykłego, że 22 facetów (albo 22 kobiety) gra w nią do upadłego? Dlaczego każdy z nich z zapamiętaniem ją kopie, podaje do kolegi z drużyny lub posyła na drugi koniec boiska do następnego, albo lewym skrzydłem biegnie jak oszalały, by następnie spróbować zacentrować ją do dwóch nadbiegających napastników? W czym tkwi magia tej zespołowej gry? Cóż tkwi w motywacji tych chłopców? Chęć zwycięstwa, a może po prostu wymagającego wielu wyrzeczeń szybkiego zarobku? Lub odwieczne, pierwotne pragnienie – pokonania drugiej istoty? Udowodnienia, że jest się po prostu lepszym?

Brazuca. Tak nazwano piłkę zrobioną specjalnie na mistrzostwa świata piłki nożnej w Brazylii w 2014 r. Lecz to już teraz tylko wspomnienie. Cztery lata później do gry weszła futbolówka Telstar 18. Tamte dawne piłki, zrobione z kilkudziesięciu połączonych z sobą skórzanych łat, przestały istnieć. Współczesna piłka to dzieło nowoczesnej technologii, kulisty i szalenie elastyczny przedmiot wypełniony wewnątrz powietrzem. Producent chwali się metalicznym wykonaniem paneli, które zapewniają ogromną wytrzymałość podczas meczów.

W piłkę najwięksi mistrzowie grają od dziecka. Chłopaczki z najbiedniejszych, wielodzietnych rodzin. Dzieci rodziców, których nie było stać na posłanie ich nie tylko do prywatnych szkół, niekiedy także państwowych. Są nimi często dzieci złodziei, paserów, prostytutek. Ludzi wykolejonych, nikomu niepotrzebnych, żyjących na obrzeżach wielkich metropolii. W miastach i wioskach, gdzie trudno o dobrze płatną pracę. W których wielu mieszkańców jest wyzyskiwanych i poniżanych. Bo południowa Ameryka obok Afryki to nie tylko najbardziej gorące miejsca na ziemi, lecz również takie, gdzie skrajna bieda i ubóstwo sąsiadują z bogactwem i przepychem. To skaza na sercu współczesnego świata.

Tam – gdzie obok szklanych hoteli, domów gry, luksusowych dzielnic, po drugiej stronie miasta także żyją ludzie, gdzie nie ma kanalizacji, skrawka zieleni, przedszkola, boiska, gdzie o kokainę łatwiej niż o zwykłe śniadanie lub smaczny, domowy obiad – młodzi ludzie skrzykują się, ktoś przynosi starą piłkę, w którą grali ich ojcowie, i biegną na łąkę.

Grają każdego dnia i o każdej porze. Z pasją szlifują swoje umiejętności i to, co zwą talentem. Którego może im pozazdrościć niejeden chłopak w Europie i który dostaje się w prezencie od Boga. Lecz Bóg, jakby nic sobie nie robił z sytuacji na tej ziemi, na której aż roi się od biedy, wszechobecnego przygnębienia i ludzkiego cierpienia. Kiedy starsi przeżywają nieustającą frustrację. Gdzie dla nędzarza nie ma miejsca w przytułku albo w szpitalu, a każdy kolejny dzień, miesiąc, rok przypomina drogę na operację, która nie może się udać.

Chłopcy na łąkach. Już z daleka widać ich zaskakujące rajdy, porywające dryblingi, piłkarskie sztuczki. Ciągle próbują przechytrzyć jeden drugiego. Nagłym zwodem, długim podaniem albo wyrzutem z wolnego. Na zalanej słońcem plaży Copacabana w Rio de Janeiro. Na peruwiańskich łąkach – w Limie. Na polach, gdzieś pod stolicą Ekwadoru – w Quito. W hiszpańskiej Cordobie. W Santiago – w Chile. W Pocitos – w Urugwaju. W Rosario czy Plaza de Mayo – w Argentynie.

Gdzieś o dwa, trzy kilometry w tle rysują się wypalone od żaru, białe, rozpadające się domostwa. Albo tekturowe szałasy lub lepianki z gliny. „Wody!" – szepczą wyschnięte na wiór wargi.

eprasa.pl 2761d14f30

Fot. Shutterstock

„Ryżu, choćby miseczki ryżu!". Zostali tam tylko starsi ludzie. Umierający i niepotrzebni. Dla których określenie „wyrzucony za nawias" jest kolejnym banałem. A rządzący gubernatorzy prowincji, ministrowie i wielotysięczna rzesza zbiurokratyzowanych urzędników ma wszystko w nosie.

Ci malcy, kilkunastoletni chłopcy, których nie stać na naukę i parę nowych sandałów, przypominają wiejskie psy. Wieczne włóczykije. Rozbrykane, pazerne na piłkę jak na porzuconą kość.

„Agapeto!" – krzyczy rozemocjonowany Agostin. „Podaj! Dalej! Na co czekasz, durniu?!". „Już! Masz!" – odpowiada ten drugi i długim kopnięciem posyła piłkę koledze na głowę.

Wszyscy grają boso. Wielu ma zapadłe klatki piersiowe. Niejeden nie był u dentysty dziesięć lat. Mają niedowagę. Wątłe zdrowie i braki w treningu nadrabiają ambicją.

Kiedy oglądałem transmisje z mundialu 2018, pomyślałem tuż po rozstrzygającej dogrywce między Chorwacją a Anglią, że pomiędzy euforią zwycięzców i łzami przegranych nie ma przestrzeni. To zaledwie kilkanaście metrów, które dzielą jednych i drugich. Oto na zielonej murawie stadionu w Łużnikach usiedli pokonani – powaleni porażką młodzi Anglicy. Jak poprzednio piłkarze z Argentyny, a następnego dnia z Rosji. Rozpacz w oczach, opuszczone głowy i ramiona, skamieniałe sylwetki, pogięte od bólu ciała, bezruch. Tuż obok grupa kilkunastu całujących i ściskających się nawzajem Chorwatów, których mowa ciał mieści się tylko w jednym słowie: ekstaza. Kamery panoramują trybuny. Tłum kibiców w biało-czerwonych pasiastych strojach faluje, wznosi w górę swoje flagi, każda twarz wyraża zachwyt, uniesienie, pompatyczną radość. I naraz kamera zatrzymuje się na kilkuletnim chorwackim chłopcu, który za rodzicem powtarza coś szeptem, potrząsając główką. Ta mała istota – pomyślałem – także potrafi wyrazić swoje uczucia.

„Wszystko, co osiągnąłem do tej pory w życiu osobistym i zawodowym, zawdzięczam nie sobie, lecz Bogu" – opowiadał trener Chorwatów Zlatko Dalić w rozmowie z chorwackim radiem katolickim. „Jestem chrześcijaninem i bez wiary nawet najsolidniejszy trening piłkarski niewiele da. Życie piłkarzy, wszystkich sportowców przypomina życie chrześcijan. Polega ono na przezwyciężaniu własnych słabości, lenistwa, wygodnictwa – dotyczy to codziennej pracy na boisku, bieżni, w siłowni. To utrzymywanie zdrowego trybu życia, odmawianie codziennej modlitwy i regularnego uczestnictwa w Eucharystii. Świadomość konieczności korzystania z sakramentów została zasiana w naszej świadomości przez naszych rodziców. Już jako młodzik, gdy byłem ministrantem, w rodzimej parafii w miejscowości Livno, w Bośni, nosiłem w kieszeni różaniec, choć nie traktowałem i nadal nie traktuję go jako amuletu. Nie wyobrażam sobie, abym nie poszedł na mszę z żoną i dziećmi. To ona – niedzielna msza, trzyma mnie w pionie. Bez niej całe nasze życie nie miałoby większego sensu. Właśnie wtedy szczególnie czuję, jak Chrystus jest obecny w życiu naszej rodziny...".

Te ciemnoskóre chłopaczki z Kenii, Togo, Ugandy, Mozambiku, a także z Peru, Porto, Meksyku, Argentyny czy Chorwacji pobiegną na łąki pod swoją wioskę, miasteczko, których nazwy nikt nie potrafi wymówić, a co dopiero zapamiętać. Także ich imion. Ustawią z kilku wapiennych kamieni bramki. Tak jak my w Polsce w latach 60. ustawialiśmy je z naszych tornistrów i worków na kapcie. Niezapomniane lata 60. Czas wagarów. Łąki na Bielanach tuż pod lotniskiem, z którego startowały rosyjskie migi.

Czy ktoś z łowców talentów wyłowi z tych chłopców pewnego dnia nowego Pelégo, Eusebia, George'a Besta, Stevena Gerrarda, Javiera Hernándeza, Kevina-Prince'a Boatenga, Isco, Diega Milito, Nemanja Vidicia, Andreę Barzagli, Miroslava Klosego, Mario Gómeza, Oscara, Arjena Robbena, Franka Lamparda, Marcela, Cristiana Ronaldo?

A w naszym kraju – nowego Lucjana Brychczego, Huberta Kostkę, Jana Tomaszewskiego, Jerzego Gorgonia, Andrzeja Szarmacha, Roberta Gadochę, Kazimierza Deynę, Włodzimierza Lubańskiego, Jakuba Błaszczykowskiego albo Roberta Lewandowskiego?

Chłopcy na łąki! – chciałoby się zawołać. Grajcie, dryblujcie! Główka, kolanko, główka! Kiedy nikt was do tego nie zmusza, wyrastają z was prawdziwi mistrzowie. Wyrosną! Za pięć, dziesięć lat.

> Na zalanej słońcem plaży Copacabana, na peruwiańskich łąkach, w hiszpańskiej Cordobie, w Pocitos w Urugwaju już z daleka widać ich porywające dryblingi, piłkarskie sztuczki

eprasa.pl 2761d14f30

KUCHNIA CZASÓW KAZIMIERZA WIELKIEGO
OPOWIADA WOJCIECH ŻOŁĄDKOWICZ, AKTOR

Rozsolone średniowiecze

W serialu „Korona królów" grał Olgierda Giedyminowica, wielkiego księcia litewskiego. Teraz jest gospodarzem dokumentalnej produkcji, która co piątek dopełnia wieloodcinkową fabułę historycznym komentarzem, pokazuje tło zdarzeń, wyjaśnia zawiłości polityczne, ale też przybliża realia życia codziennego.

– Jako aktor i prowadzący program „Korona królów. Taka historia" nie tropię samodzielnie średniowiecznych wątków, nie sięgam do źródeł. Spotykam się natomiast z opracowaniami historyków, na których podstawie przygotowywany jest scenariusz.

Znalazłem w nich m.in. informację, że bigos, który dziś „jaki jest, każdy wie", w średniowieczu smakował zdecydowanie inaczej, bo też inne miał składniki. Teraz kojarzy nam się z potrawą, w której musi być kapusta, a za czasów króla Kazimierza Wielkiego było to mięso z grzybami. Dopiero później, pewnie ze względów oszczędnościowych, zaczęto dodawać kapusty, która z czasem stała się dominującym składnikiem, a mięso i grzyby tylko dodatkiem.

Obficie wykorzystywano wtedy sól. Używano jej do konserwowania produktów. Co ciekawe, taką zakonserwowaną rybę czy mięso przed podaniem należało nie tylko zagotować, lecz wręcz wygotować, żeby odzyskała swój smak. Otrzymany w ten sposób wywar nazywano... „rozsołem". I już wiemy, jaki jest źródłosłów nazwy tak dziś popularnej zupy.

Pragnienie gaszono przede wszystkim wodą. Do picia (stąd też wzięła się nazwa) służyło też piwo, które miało różne odmiany i moce. Lekkie piwo służyło jako napój do posiłków, a także baza do potraw. Robiono z niego piwne polewki. Po dodaniu zaprawy z jajek powstawała sycąca zupa. Mocniejsze piwo pozwalało poprawić nastrój, natomiast nie były to trunki tak mocne jak dziś. Co też ciekawe, do produkcji piwa nie używano chmielu. Bazą były ziarna zbóż (odpowiednio skiełkowane i wysuszone, czyli tzw. słód).

Średniowieczne menu opierało się na prostych potrawach. Ich podstawą było uprawiane wtedy powszechnie proso (z czasem pojawiły się na polach żyto i pszenica). Znano bób, groch, wykę. Wbrew potocznej opinii o braku warzyw i owoców uprawiano marchew, ogórki, kapustę, cebulę, koper czy rzepę. Zbierano jabłka, śliwki, wiśnie, czereśnie, gruszki.

Na przednówku zwłaszcza warstwy najuboższe musiały szukać różnych sposobów na zaspokojenie głodu. W „menu" pojawiała się zupa gotowana np. z kory drzew, wykorzystywano np. mielone żołędzie, a gdy tylko wzeszła pokrzywa, i ona trafiała do garnka (jak zresztą wiele innych rosnących swobodnie roślin).

Kuchnia czasów Kazimierza Wielkiego to prostota potraw, a jednocześnie wielka różnorodność ryb, zwierzyny dzikiej i hodowlanej, leśnego runa. To także ogromna wiedza na temat ziół. Leczono nimi, jak również przyprawiano. Z pewnością dzięki nim wydobywano różne walory smakowe.

Wszechobecne lasy miały swoje „złoto", czyli miód (przy czym barcie, tak jak łowna zwierzyna, należały do króla). Miód wykorzystywano na wiele sposobów. Sycony miód pitny pojawił się już w państwie Piastów, ale był to trunek kosztowny, więc podawano go jedynie przy większych uroczystościach. Na co dzień na stołach czasów średniowiecza gościła kasza, dlatego to ona pojawi się w przepisie.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Kasza po staropolsku
(przepis ze strony Smaker.pl)

Składniki: 200 g kaszy, 200 g boczku lub słoniny, 1 cebula.

Wykonanie: Gotujemy kaszę. Smażymy skwarki z mięsa, dodajemy pokrojoną cebulę, podsmażamy. Mieszamy z kaszą, doprawiamy i gotowe.

Fot. TVP, shutterstock

eprasa.pl 2761d14f30

SŁODKO-SŁONY

Kiełbasiany smog

ANNA MONICKA

Z pewną nieśmiałością, ale nieuchronnie rusza sezon grillowania. W ubiegły weekend, gdy tylko temperatury poszły w górę, a wieczorem wciąż było powyżej 10 stopni na dworze, dopłynęła do naszych nosów – a siedzieliśmy w tak zwanym salonie, oglądając film – fala charakterystycznego tłustego smrodku. Zaczęły się licytacje, co też sąsiedzi wrzucili na ruszt: kiełbasę z budą i łańcuchem, parówkę, oponę? Bo zalatywało jak z komina w Jaworznie. Sąsiad, który wybudował sobie w ogródku kamienną wędzarnię-krematorium, gdy dokonał pierwszego „wypału", postanowił jako podpałki użyć kartonów po sokach, ale on przeniósł się jakiś czas temu na łono Abrahama, więc ta kandydatura odpadała. Widać wiatr doniósł kiełbasiany smog znad nowo wybudowanych osiedli, o których nie mieliśmy nawet pojęcia, dopóki naszego przeświadczenia, że żyjemy niedaleko puszczy w ekologicznych laskach, nie rozwiał kolega, który odwiedził nas z dronem. Szpieg wzbił się na jakieś 50–60 metrów i bezwstydnie obnażył okolicę. Zobaczyliśmy na ekranie smartfona, że lasków i łąk, na których zbieraliśmy maślaki, podgrzybki i prawdziwki, już dawno nie ma. Drzewa wygolone co do jednego, nawet Bogu ducha winne stare jabłonki i śliwki, które wiosną cudnie kwitły, a jesienią rodziły małe kwaskowate owoce. W zamian dom na domu, grille i niebieskie oczka trampolin.

Samo pieczenie wydaje się tak proste, że radzili z nim sobie nawet jaskiniowcy. Bierzesz mięcho i obracasz nad ogniem. Ale tamto mięcho było chyba lepsze, podobnie jak dzisiejsze podpałki. To oczywiście nie znaczy, że pieczenie na ruszcie jest samym złem. Na przykład grill elektryczny z kamiennym blatem wydaje się znacznie lepszy i zdrowszy niż taki z żywym ogniem. Nie smrodzi, nie dymi, nie zatruwa sąsiadom życia. Soki i tłuszcz nie ściekają do paleniska, nie pryskają i nie kopcą, a toksyczny, rakotwórczy dym nie osmala mięsa.

U nas w domu największą popularnością cieszą się warzywne szaszłyki, cukinia posmarowana oliwą, z cytryną i pieprzem, kukurydza (genialna), małe ziemniaczki. A jeśli w ogóle mięso, to wyłącznie pakowane w folię aluminiową i obłożone ziołami.

Fot. shutterstock

WILCZYM OKIEM

Żeń-szeń i herbata

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Fot. Biblioteka Narodowa

Największy plagiat w historii polskiej nauki dotyczy przywłaszczenia dorobku XVII-wiecznego jezuity, który odkrył dla Europy chińską medycynę, naukę, język i kuchnię, tworząc podwaliny sinologii. To Michał Boym połączył to, że Kitaj opisany przez Marca Polo to ten sam kraj, do którego od jakiegoś już czasu drogą morską docierali Portugalczycy. Stworzył mapy i przepięknie ilustrowane atlasy botaniczne chińskiej flory, w których jako pierwszy Europejczyk opisał wiele gatunków roślin, m.in. owoc kaki, bananowca Musa basjoo czy drzewo chlebowe, a także tajemnice akupunktury, cudownej mocy żeń-szenia i badań na podstawie pulsu. Rozpowszechnił w Europie wiedzę o herbacie.

Urodził się we Lwowie. Po ukończeniu nauki w Kolegium Jezuickim w Krakowie Boym wyruszył w długą drogę do Chin, podczas której prowadził badania etnograficzne wśród ludów Afryki opisanych w dziele „Kafraria". W Chinach szybko zdobył zaufanie cesarza Yongli. Dwór cesarski Mingów (syn i żona cesarza, ministrowie itd.) był w tym czasie ochrzczony. W obliczu napierających od północy Mandżurów w 1650 r. Yongli zdecydował się wysłać do Europy poselstwo w celu pozyskania wsparcia dla chrześcijańskich Chin. Posłem uczynił Michała Boyma, który wraz z chińskim oficerem, chrześcijaninem Andreasem Chengiem, wyruszył do Europy. Koleje wyprawy były przedziwne. Oczywista droga morska musiała zostać z różnych względów porzucona w indyjskim Goa. Dalej ruszyli drogą lądową przez ziemie Mogołów, Persów i Imperium Osmańskie.

Po dotarciu do Europy Boym na papieską audiencję czeka dwa lata, od króla Portugalii otrzymuje ogólne obietnice wsparcia dla sprawy Państwa Środka. Wraca do Chin, niestety za późno. Mingowie są już pokonani, a krajem rządzi mandżurska dynastia Qing. Niewiele brakowało, a dzięki Boymowi Chiny byłyby dziś państwem chrześcijańskim.

Z ostatniej podróży już nie wrócił. Dzieła Boyma trafiły do Europy i zaczęły żyć własnym życiem. Imponująca spuścizna polskiego jezuity zawierała takie cenne rewelacje, że nawet utytułowani naukowcy, aby je przejąć, uciekali się do oszustw. Odkrycia Boyma zostały przywłaszczone m.in. przez Flamanda Philippa Coupleta, niemieckiego botanika Christiana Mentzela czy holenderskiego lekarza i botanika Willema ten Rhijnego.

prasa.pl 2761d14f30

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Polska dewiza narodowa

www.wojciechreszczynski.pl

Bóg, honor, ojczyzna – te trzy słowa znane są prawie wszystkim pokoleniom Polaków

Trzy lata temu, 1 kwietnia 2016 r., zmarł po długiej i ciężkiej chorobie Artur Górski, poseł czterech kadencji, publicysta, politolog. Miałem przyjemność znać go osobiście i cenić za uczciwość oraz żarliwość w prezentowaniu swoich oryginalnych patriotycznych poglądów. Nie ukrywał wielkiego przywiązania do Kościoła katolickiego i chrześcijańskiej wiary, np. zainicjował projekt uchwały sejmowej w celu intronizacji w Polsce Chrystusa Króla.

Mało kto wie, że zostawił nam swoisty testament, niewielkie opracowanie zatytułowane „Dewiza dla Polski". Przypomniałem sobie o tej książeczce, gdy tylko usłyszałem o niedorzecznym, wręcz kuriozalnym, pomyśle Władysława Kosiniaka-Kamysza wpisania do naszej konstytucji obecności Polski w Unii Europejskiej. Nie zauważyłem ostatnio większego zaprzaństwa, serwilizmu i kapitulacji intelektualnej. Nie sposób pisać o tym bez emocji. Tym bardziej należy przypomnieć „Dewizę dla Polski" Artura Górskiego, która zamyka się w trzech wyjątkowych słowach: Bóg, honor, ojczyzna. To te trzy słowa winny być wpisane do Konstytucji RP.

Większość europejskich państw ma własne oficjalne dewizy. Są tak samo ważne jak godło, herb, barwa flagi czy hymn państwowy. Art. 28 Konstytucji RP wymienia wizerunek orła białego w koronie na czerwonym polu jako godło Rzeczypospolitej. Barwami państwa są kolory biały i czerwony, a hymnem jest „Mazurek Dąbrowskiego". Te trzy elementy, które podlegają ochronie prawnej, nie stanowią jeszcze dewizy państwowej. Dewiza Francji to „Wolność, równość, braterstwo", Belgii – „W jedności siła", Anglii – „Bóg i moje prawo", Ukrainy – „Wolność, zgoda, dobro", Turcji – „Pokój w ojczyźnie", Szwajcarii – „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego", Danii – „Boża pomoc, miłość narodu, siła Danii". Węgrzy w nowej konstytucji (2012 r.) dewizę „Panie, błogosław Węgrów" umieścili na pierwszym miejscu. Za tymi sformułowaniami kryje się historia tych krajów, emocjonalny związek obywateli z własnym narodem i ojczyzną.

Powiedzmy otwarcie – nie ma bardziej trafnej dewizy dla Polski niż „Bóg, honor, ojczyzna". Trzy słowa znane są prawie wszystkim pokoleniom Polaków. „Dla nas po Bogu największa miłość to Polska" – pisał prymas kard. Stefan Wyszyński. Nie sposób w polskiej historii oddzielić „ojczyzny" od „Boga". Przypominał o tym Jan Paweł II w czasie swojej pierwszej pielgrzymki do ojczyzny 5 czerwca 1979 r.: „Nie tylko ustrój hierarchiczny Kościoła został w roku 1000 zdecydowanie wpisany w dzieje narodu, ale równocześnie dzieje narodu zostały w jakiś opatrznościowy sposób osadzone w tej strukturze Kościoła w Polsce, jaką zawdzięczamy już zjazdowi gnieźnieńskiemu". W ten sposób nieraz wiara w Boga, a jednocześnie przynależność do hierarchicznego Kościoła, pozwoliła nam zachować narodową tożsamość i pragnienie posiadania własnego niepodległego państwa.

Słowa „Bóg, honor, ojczyzna" są od 1993 r. oficjalną dewizą Wojska Polskiego. Wcześniej pojawiły się w 1943 r. na sztandarach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. W II RP Wojsko Polskie nie miało w dewizie słowa „Bóg", dlatego na frontonie budynku dawnej Szkoły Podchorążych Piechoty, dzisiejszej siedziby URM, słowa tego brakuje. Także dla żołnierzy wyklętych dewiza „Bóg, honor, ojczyna" była oficjalnym hasłem.

Pojęcie honoru również ma długą historyczną tradycję, poczynając od polskiego rycerstwa. W Polsce zawsze kojarzyło się z uczciwością, poświęceniem, altruizmem oraz odwagą. „Trzeba przywrócić sens słowu »honor«, które wiąże się z człowiekiem i jego fundamentalnymi prawami do życia, bez szukania kompromisów" – mówił abp Marek Jędraszewski. Wojenne pokolenie Polaków dobrze znało pojęcie honoru. W kartach naszej historii zapisane są znamienne słowa ministra Józefa Becka wypowiedziane w Sejmie 5 maja 1939 r.: „My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor".

Pojęcia „Bóg, honor, ojczyzna" są z sobą ściśle złączone, wręcz nierozerwalne. Jak pisał Artur Górski: „Według tego nieśmiertelnego credo Polacy przez wieki żyli, pracowali, modlili się, walczyli i umierali za wolność i niepodległość Ojczyzny". O polskiej dewizie narodowej pamiętają harcerze z ZHR, kibice, tłumy na manifestacjach narodowych i patriotycznych oraz podczas protestów społecznych.

Kiedy więc powstaną już warunki do zmiany naszej konstytucji, trzeba będzie powalczyć o to, aby polski kod kulturowy zawarty w słowach „Bóg, honor, ojczyzna" znalazł w niej należne miejsce jako ważny element naszej narodowej tożsamości. Taką ideę miał śp. Artur Górski, wierząc, że „konstytucyjne umocowanie tej dewizy przyczyni się do umocnienia polskości, spełni oczekiwania wielu Polaków i wypełni ideowy testament śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego".

eprasa.pl 2761d14f30

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Ballada o posiadaniu jaj

Kiedy ktoś dostaje w twarz i wstaje, bierze się do walki, to znaczy, że ma charakter. Nie sztuka nigdy nie dostać, nie sztuka też przyłożyć komuś znienacka, jednak stawanie do regularnej walki, nawet jeśli będzie ona bolesna i jej wynik niewiadomy, to rzecz męska, konieczna. Ci, którzy się przypatrują, właśnie po takiej postawie będą człowieka oceniać, traktować, liczyć się z nim.

Witold Gadowski

Podobnie jest z państwami i ich rządami. Najłatwiej oczywiście unikać starć, lawirować, uginać się i dyplomatyzować. Zdarza się jednak, że bierze się w pysk, i to publicznie. Można oczywiście rzecz zbagatelizować, udawać, że zachowało się zimną krew i „moralną wyższość", jakoś ustać po siarczystym policzku. Kiedy jednak znów się dostaje i znów, to zaczyna się być traktowanym jak ten, który stworzony jest do brania w pysk, sierota obrzygana.

Azari obraziła nas w Auschwitz, potem dostaliśmy na odlew operetką związaną z nowelizacją ustawy o IPN, następnie cała seria kopniaków od tzw. diaspory. Występy Grossa, Engelking, Grabowskiego, Śpiewaka i wreszcie nieszczęsna, niepotrzebna konferencja o „bezpieczeństwie na Bliskim Wschodzie", a wraz z nią występy Netanjahu i jego totumfackiego Katza.

Reakcja polskich władz: udajemy, że pada deszcz, coś tam w domu pobrzękamy szabelką, ale żeby na zewnątrz... o, to już nie. Nawet nie zdobyliśmy się na wydanie zakazu wjazdu do Polski dla Katza, aby nie psuć stosunków dyplomatycznych z Izraelem. To znaczy, że te stosunki są całkiem dobre?! Coś jak relacje misia i zająca ze znanego wierszyka nieodżałowanego Andrzeja Waligórskiego.

W Polsce lawinowo przybywa interesów izraelskiego kapitału: sieci aptek, kompleksów kinowych, deweloperów, fabryk leków, tymczasem w Izraelu polskich interesów jak na lekarstwo.

Mój znajomy mawiał, że jak się szafy nie trzaśnie, to się drzwi nie zamkną. Czy dzisiejsze polskie władze zdają sobie sprawę z tego, ile tracą przez brak reakcji na prezentowane wobec Polski chamstwo i nieuzasadnioną butę? Piszę to z troską, bo wiem, jak kończą pozbawione charakteru lebiegi. Rządowi i prezydentowi powierzyliśmy także dbałość o naszą osobistą dumę i interesy. Z tego obowiązku trzeba się wywiązać, a jeśli nie ma się charakteru, to się po prostu na ring nie wychodzi.

Powiem wulgarnie: jeżeli nie pokażecie, że macie jaja, to jesteście nam po prostu niepotrzebni i wasze prężenie muskułów w kraju przyniesie jedynie śmiech oraz drwiny. Chcecie tego?!

Gdyby nie komunizm, tobyście krowy pasali!

Słów tych (cytuję z pamięci) użył Mieczysław Rakowski, przemawiając w 1983 r. do strajkujących stoczniowców. Buta i bezczelność premiera PRL mocno zabolały i wkurzyły robotników. Dlatego dziwię się postkomunistom próbującym dziś taką właśnie argumentacją usprawiedliwiać istnienie PZPR. Partii założonej przez sowieckich „spadochroniarzy" (oddelegowanych tu przez Stalina do roli POP-ów, tzn. pełniących obowiązki Polaków) i wspierających ich działania polskich kolaborantów. Ci drudzy wywodzili się przeważnie ze społecznych nizin; dla nich rzeczywiście awans do komunistycznych „elit" był (w myśl hasła: „Nie matura, lecz chęć szczera...") jedyną możliwą ścieżką kariery.

Lech Makowiecki

A co z resztą Polaków? Żeby skundlić jakąś część narodu, trzeba było najpierw wystrzelać tych, którzy skundlić się nie dawali. W wyniku krwawej czystki utraciliśmy prawdziwe (i tak nadszarpnięte już wojną) patriotyczno-naukowe elity, które wydatnie mogły się przyczynić do szybszego rozwoju kraju. Zostaliśmy wtłoczeni w ramy gospodarki socjalistycznej, w której władza ludowa udawała, że płaci, a obywatele udawali, że pracują. Rabunkowa polityka Kraju Rad i brak odpowiednika planu Marshalla dla Europy Środkowo-Wschodniej powiększyły jeszcze nasz dystans do Zachodu. Złodziejska „transformacja" ustrojowa (po przejęciu nas przez UE) ten stan rzeczy jeszcze utrwaliła. Tym bardziej trzeba docenić to, że wychodzimy dziś na prostą.

PS W dyskusji o ACTA 2 jestem za absolutną wolnością w sieci! W zamian za to proponuję wprowadzić obowiązek jawności autorów wszelkich wpisów. Skoro Gadowski, Braun czy Michalkiewicz publikują w internecie z otwartą przyłbicą (i ponoszą odpowiedzialność karną za swoje wypowiedzi), automatyczne wyświetlanie nazwisk i wizerunków ich „recenzentów" już w trakcie logowania ukróciłoby sieciowe chamstwo oraz trolling. Wszak każdy polemista, stając w realu oko w oko ze swym rozmówcą, znacznie bardziej waży słowa.

eprasa.pl 2761d14f30

PRZEZ ŚWIETLIK

Hordy ignorantów

Wiktor Świetlik

Ile to jest sześć razy osiem? Czterdzieści osiem. A osiem razy sześć? Trzydzieści sześć. Co jest stolicą województwa lubuskiego? Lublin. Z jakimi krajami Polska graniczy na północnym wschodzie? Z Litwą i Łotwą. Co to jest Koran? Święta księga hinduizmu. Tych wszystkich odpowiedzi udzielili młodzi ludzie ankietowani przez Anię Machińską, reporterkę „W tyle wizji". Wszystkie sondy, które zdobyły już dość sporą popularność w sieci, zostały przeprowadzone przed bramą mojej Alma Mater – Uniwersytetu Warszawskiego. Zapewne większość ankietowanych była studentami tej uczelni.

Przeprowadziłem własne wewnątrzredakcyjne śledztwo. Czy Ania rozmawiała z ludźmi, którzy wyróżniali się na tyle, że można było w nich rozpoznać ignorantów? Czy też rozmawiała z setkami osób i wyselekcjonowała tylko tych, którzy uważają, że biblijni prarodzice to była Maryja z Józefem, i nie znają tabliczki mnożenia? Nic z tych rzeczy. To naprawdę wypadkowa. Po prostu takich odpowiedzi udzielali współcześni studenci. Dosyć charakterystyczne, że starsi ludzie pytani przed warszawską Halą Mirowską, zapewne w większości bez wyższego, a czasem nawet bez średniego wykształcenia, wchodzą w detale związane z powstaniem warszawskim, kwestiami wiary czy polityki. Zapewne z liczeniem do stu też sobie sprawnie radzą.

Właściwie – uwzględniając horyzont naszych przyszłych kadr – okazuje się, że większość naszych obecnych sporów i dylematów będzie kompletnie nieistotna. Polacy nie będą ani filo-, ani antysemitami, bo nie wiedzą, kim jest rabin, a właściwie sądzą, że to duchowny prawosławny. Nie będą decydować, czy chcą podatek liniowy, czy progresywny, bo nie potrafią wyliczyć stawki ośmioprocentowego podatku z 50 zł. To są po prostu sprawy nieaktualne. Do tej pory uważałem dużą część młodych polityków za jakąś selekcję negatywną, mam z nimi po prostu najczęściej kontakt. To reprezentacja społeczeństwa, swojego pokolenia, prawdziwa i niekłamana. Demokracja działa w ramach jej struktur. Świat zniknie na skutek powszechnego zidiocenia. Nowe pokolenie zacznie obsługiwać urządzenia i obsadzać instytucje utworzone przez stare. Młodzi ludzie przyjdą zarządzać elektrowniami atomowymi, wielkimi tamami i globalnymi procesami ekonomicznymi i zaprowadzą tam swoje porządki. A potem jak w starym przeboju Europe – ostateczne odliczanie.

Młodzi ludzie przyjdą zarządzać elektrowniami atomowymi, a potem jak w starym przeboju Europe – ostateczne odliczanie

By nie być gołosłownym – młody Japończyk pytany o to, kto zaczął II wojnę światową, odparł, że to Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Francja napadły na Japonię. Na szczęście, jego zdaniem, Japończycy wojnę wygrali. Nie wiem, czy kogoś to pocieszy, że w Kraju Kwitnącej Wiśni jest równie źle jak u nas. Myśliciel Boecjusz w celi śmierci znalazł pocieszenie w filozofii. Ale nie jestem przekonany, czy jak kolejna sonda będzie dotyczyła tej dziedziny, to znajdziemy w niej światełko w tunelu.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA

SPÓŁDZIELCZY INSTYTUT NAUKOWY poleca

w numerze m.in.:

Edward O'Boyle, **Pope Francis and pope John Paul II on economic affairs**

Eugeniusz Gostomski, Tomasz Michałowski, **Zmiany wielkości i struktury migracji międzynarodowych w dobie globalizacji**

Marlena Stradomska, **Zagrożenie suicydalne a formy wsparcia osób potrzebujących pomocy**

Joanna Bocianowska, Sebastian Żywicki, **Obowiązek dewelopera należytego określenia udziałów w nieruchomości wspólnej**

Anna Reiwer-Kaliszewska, **Regulacje Światowej Organizacji Handlu dotyczące subsydiowania towarów i usług**

w numerze m.in.:

Grzegorz Kozieł, **Uwagi o koncepcjach normatywnych określenia kompetencji organu administrującego w systemie monistycznym w polskiej regulacji spółki europejskiej (SE) i spółdzielni europejskiej (SCE)**

Grzegorz Maroń, **Instytucja „uchwał problemowych" organów samorządu terytorialnego na wybranym przykładzie**

Michał Grudecki, **Tak zwane przestępstwo plagiatu jako przejaw ochrony autorskiego prawa do utworu**

Marcin Maksymiuk, **Wpływ jednostek samorządu terytorialnego na proces legislacyjny – nieformalny lobbing legislacyjny**

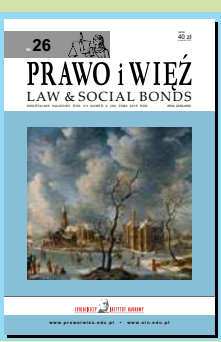

www.p-i-w.edu.pl www.sin.edu.pl

104/0119/F

eprasa.pl 2761d14f30

Po życie sięgnąć lepsze

Mój Boże, czuję zażenowanie, gdy widzę, jak politycy żrą się między sobą i używają coraz bardziej chamskich chwytów, aby tylko dostać się do Parlamentu Europejskiego. Jak się chce tej kasy, tych wygód, tego wszystkiego, co obiecuje Bruksela. Interes narodowy? A skądże! Najwęższej pojęty interes własny i tylko własny.

W przypadku opozycji to żaden wyjazd. Od dawna skarży na Polskę, a teraz będzie miała po prostu bliżej i już za oficjalne pieniądze. Ci wszyscy mniej lub bardziej nieudani posłowie uznali, że polski parlament, miejscowe biura poselskie, diety, zagraniczne podróże i delegacje to jeszcze mało. Zatem chce się tej Brukseli jak królik brukselki. Żyli nieźle, ale chcą jeszcze lepiej. Zero programu, zero kompetencji językowych, zero kompetencji międzynarodowych, ale kto im zabroni?! Trzeba się nachapać, ustawić, urządzić i żyć po pańsku. Reelekcja do Sejmu niepewna, czasy chwiejne, a tam, w Brukseli, wygodny hotelik, ładne knajpki, miły nozdrzom zapach Marksa na starówce i niemal zero obowiązków. Jak się nie zna języka, to i obowiązki żadne, prawda? Jeśli będzie kasting na kosmonautów, też się zgłoszą różne przaśne Brejzy czy Kosiniaki.

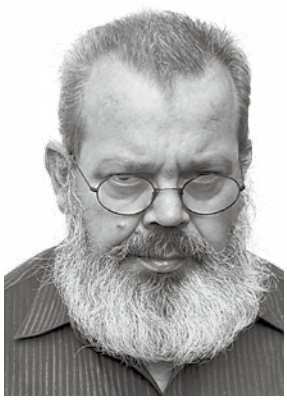

Aleksander Nalaskowski

Politycy w swej większości, gdy mówią „Polska", myślą „szmal"

Ten ostatni przepięknie ogłosił, aby wpisać do konstytucji przynależność Polski do Unii Europejskiej. Widział ktoś kiedyś takiego ignoranta! Trzeba być naprawdę mało politycznie rozgarniętym, aby głosić takie brednie. Witos i Mikołajczyk nie przewracają się w grobach, bo ten PSL (przefarbowane peerelowskie ZSL) ma tyle samo z nimi wspólnego, ile Kosiniak-Kamysz z rolnictwem, a Piechociński z muzyką country. Mam nadzieję, że wyborcy ostatecznie ten polityczny pokurcz pogrążą i zatopią. A Kosiniaki zobaczą Brukselę jak świnia niebo.

Wielką ochotę na Parlament Europejski ma Ewa Kopacz. Rozczaruje się zapewne, bo tam nie ma zbyt wielu płotów, którym będzie mogła się kłaniać, jak to się działo w Niemczech. Ale coś się zawsze znajdzie.

Wszelkie rekordy bezczelności biją Miller z Cimoszewiczem. Komunistyczni aparatczycy, którzy uświadamiają nam, że brak lustracji i dekomunizacji (w przypadku Cimoszewicza jedno i drugie) był gorzkim, długoterminowym błędem. Co oni jeszcze robią w życiu publicznym?! Gdzie się pną?! Czy towarzysz Włodzimierz z brukselskiego hotelu też wyniesie, co się da? Może mu to nie ujść na sucho.

Wprawdzie homoseksualiści nie mogą jeszcze adoptować dzieci, których wszak (z racji wieku i wiedzy) nie można zapytać o akceptację takiej opcji, ale mogą lansować swoich kochanków. Jak nie kijem, to pałką, czyli Śmiszkiem. Wystarczyło, że wysłuchałem kilku wywiadów z Biedroidem, i mam jasne przekonanie, że to absolutny dyletant, niekonsekwentny w tym, co mówi, i niemający nic do zaoferowania Polsce kandydat.

Kandydatką do Brukseli jest, a jakże!, Scheuring-Wielgus (czyt. Szojringwieldżis). Dla mnie to ikona aspiracyjnej bezczelności i politycznych nizin. Myślę, że w Anglii miałaby szanse w programach z Jasiem Fasolą albo Bennym Hillem. Na razie tak konsekwentnie krzykiem kryła jakiekolwiek swoje kompetencje, że do teraz nie wiadomo, czy i jakie posiada. Zapewne rozkwitnie w Parlamencie Europejskim. Nadzieja tylko w tym, że ta wiosna do nas nie przyjdzie (i przeskoczymy wprost do lata), a ta wydmuszka w końcu zniknie z polskiej polityki. Wyobrażacie sobie, jak woła: „Gdzie jest przewodniczący Tusk?!", gdy Tusk będzie przy stole prezydialnym? Albo że się wydziera: „Precz z dyktaturą kobiet"?! Przecież w Brukseli to niechybne dyby albo odstawienie do granicy!

Do Parlamentu Europejskiego wybiera się też Krzysztof Brejza. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek powiedział coś sensownego, i mocno podejrzewam, że już nie powie. Od chwili gdy udaremnił zamach na swoje życie, zamach za pomocą szaletu toi toi, jest jakiś wystraszony, zwłaszcza na komisji ds. Amber Gold, gdzie tylko dobremu sercu Małgorzaty Wassermann zawdzięcza, że nie skompromitował się jeszcze bardziej, niż był w stanie.

To, co łączy tych i wielu innych kandydatów (dodam, że także z niektórymi z prawej strony), to niespotykana bezczelność i brak chociażby odrobiny samokrytyki. Wszyscy są mądrzy, piękni, doświadczeni i pożyteczni. Wszystkich łączy ten sam interes, absolutnie własny. Bo w tym kształcie Parlament Europejski to synekura, ciepła i dobrze płatna posadka, możliwość wyjechania z „tego kraju". Bo z „tego kraju" nie da się już więcej wycisnąć dla siebie ani rodziny, a jeszcze pryncypał może nie dać miejsca na liście do Sejmu albo suweren nie zagłosuje jak trzeba.

No, ale gdy się już uda w tej Brukseli umościć, to żyć nie umierać (na koszt podatnika). Wystarczy być kompetentnie bezczelnym, a życie zmieni się w dobrze płatny raj na ziemi. Bo politycy w swej większości, gdy mówią „Polska", myślą „szmal".

eprasa.pl 2761d14f30

Sprawa prof. Chazana, czyli aborcyjni fundamentaliści w natarciu

Taki obrót sprawy nie ma precedensu w historii orzecznictwa Naczelnego Sądu Lekarskiego

JAN POSPIESZALSKI

Jednym z najbardziej symbolicznych obrazów ostatnich tygodni jest scena, gdy podczas konwencji ugrupowania Wiosna Robert Biedroń do zgromadzonych na Torwarze krzyczy, że zlikwiduje klauzulę sumienia! Towarzyszy temu wybuch entuzjazmu, ludzie reagują burzą braw i okrzykami radości.

Na czym polega fenomen takiego przyjęcia deklaracji ograniczenia naszych swobód?

Klauzula sumienia nie jest jakimś dziwacznym przywilejem, jest tylko potwierdzeniem przyrodzonego prawa. Daje gwarancje, że państwo stoi na straży prawa do odmowy działań, które w swoim sumieniu uznajemy za niegodziwe. Jednym słowem – gwarantuje wolność.

Ludzie, którzy cieszą się z obietnicy zabrania im wolności, są na tyle ograniczeni, że nie rozumieją, co się do nich mówi, albo w sposób prostacki budują następujący ciąg skojarzeń: klauzula sumienia = prof. Chazan = pro-life = zakaz aborcji (czytaj: klerofaszyzm i średniowiecze). Gdy więc Biedroń mówi, że to zlikwiduje, wtedy jest super!

To, co jest przejawem prymitywnej reakcji tłumu, w formie bardziej wyrafinowanej realizowane jest przez ludzi uważających się za wykształconych i kulturalnych. Normy prawa stanowionego im wystarczą. Sumienie jest balastem, zagrożeniem dla demokratycznego ładu, więc najlepiej je odrzucić. Wszyscy, którzy uporczywie przypominają o jego istnieniu, a co gorsza, uznają jego prymat, są źródłem potwornego dyskomfortu dla pozostałych. Należy więc ich przywołać do porządku lub wyeliminować z zawodu lekarza. Taki mechanizm realizowany jest w tzw. sprawie prof. Bogdana Chazana.

Po latach nękania, wielu zeznaniach, posiedzeniach sądów Naczelny Sąd Lekarski po raz trzeci uchylił postanowienie Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej Naczelnej Izby Lekarskiej w Warszawie i tym razem przekazał do dalszego prowadzenia przez Okręgowego Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej w Łodzi. Rozpoczęło się ponowne śledztwo i kolejne składanie przez profesora zeznań.

Przypomnijmy, wiosną 2014 r. Bogdan Chazan (wtedy dyrektor Szpitala św. Rodziny w Warszawie) odmówił dokonania aborcji dziecka, u którego stwierdzono wady rozwojowe. W sytuacji gdy miał do wyboru racje dwójki pacjentów – życie dziecka, nawet ciężko upośledzonego („Ten płód nie rokuje" – mówili o nim inni lekarze), i spełnienie życzenia pacjentki, emocje matki – wybrał obronę małego pacjenta. Zakładając nawet, że wady są na tyle poważne, że dziecko umrze, nakłaniał matkę, by nie przykładała ręki do jego uśmiercenia. Mały Jaś się urodził– istotnie, jego stan nie dawał nadziei. Zmarł. Rodzice zarządali odszkodowania i wytoczyli proces. Od lipca zaczęły się przesłuchania przed Rzecznikiem Odpowiedzialności Zawodowej NIL w Warszawie. Profesor stracił stanowisko dyrektora szpitala. Postępowanie rzecznika zakończyło się korzystnie dla prof. Chazana. Trzykrotnie było zaskarżane przez Sąd Lekarski i za każdym razem rzecznik uznawał racje profesora. 6 marca 2019 r. łódzki rzecznik, prawie pięć lat „po dokonaniu czynu", postawił zarzuty i przydzielił prof. Chazanowi status obwinionego. Sprawa wydaje się absurdalna. Dlaczego orzeczenia Rzecznika Naczelnej Izby Lekarskiej są trzykrotnie uchylane, a sprawa z poziomu krajowego trafia do poziomu regionalnego, do organu niższej rangi, do Izby Okręgowej w Łodzi? Jakie nowe fakty zostały ujawnione? Czyżby tam dopiero znaleziono takiego rzecznika, który nie miał oporów, by postawić absurdalne zarzuty? Taki obrót sprawy nie ma precedensu w historii orzecznictwa Naczelnego Sądu Lekarskiego. Po wielu latach pracy dla polskich kobiet i dzieci lekarza, uhonorowanego państwowymi odznaczeniami, byłego dyrektora szpitala, wieloletniego ordynatora, stawia się dziś w sytuacji oskarżonego za odmowę zabicia chorego dziecka. To nauczka dla innych lekarzy – dyrektorów szpitali czy ordynatorów, by odkładali swoje sumienia na bok. W przeciwnym razie im też może grozić odebranie prawa do wykonywania zawodu.

Bez względu na to, jak potoczy się proces, historia Bogdana Chazana już dziś ma bardzo realny wymiar. Od momentu zwolnienia go z pracy przez Hannę Gronkiewicz-Waltz i nagłośnienia tego faktu wzrosła liczba tzw. legalnych aborcji w całej Polsce. Decyzja Gronkiewicz-Waltz sprawia, że coraz więcej dzieci tylko podejrzewanych o niepełnosprawność jest likwidowanych przed urodzeniem. Coraz więcej lekarzy, pielęgniarek i położnych przeżywa konflikt sumienia.

eprasa.pl 2761d14f30

Poufna poczta PSL

Jerzy Jachowicz

Prawdopodobnie z rozpędu, przez nieuwagę administratora sieci, jako dawny, oddany działacz PSL, wyrzucony dyscyplinarnie za nieregularne płacenie składek partyjnych, otrzymałem wczoraj pocztą e-mailową następującą korespondencję:

„Do wszystkich naszych kandydatów do Parlamentu Europejskiego.

Kierownictwo Rady Naczelnej PSL, pod kierunkiem naszego nieocenionego lidera Władysława Kosiniaka-Kamysza, po konsultacjach ze specjalistyczną firmą Jak nie Przerżnąć Wyborów, zdecydowało się wydać własną Dyrektywę dla kandydatów naszej partii do PE.

Podkreślamy, że Dyrektywa różni się zasadniczo od Wytycznych, zalecanych przez Grzegorza Schetynę, które można wyrzucić do kosza! Nie zawiera m.in. chamskich zwrotów pod adresem polityków PiS oraz Jarosława Kaczyńskiego ani aroganckich uwag o kandydatkach tej partii, od jakich roją się Wytyczne.

Nasi kandydaci winni jednakże możliwie ściśle stosować się do wskazówek zawartych w Dyrektywie:

– Zakazuje się przyjeżdżania na spotkania z wyborcami własnymi samochodami. Najlepiej PKS lub PKP, a na miejsce furmankami organizatorów, w małych miejscowościach – pieszo (dlatego dobrze jest zaopatrzyć się w wygodne obuwie oraz kalosze ze względu na spodziewane w maju duże opady).

– Jeśli kandydat wywodzi się ze wsi, nie należy się tego wypierać. Odwrotnie, trzeba swoją biografię mocno wiązać wieloma osobistymi nićmi ze środowiskiem wiejskim. Dobrze jest wskazywać na swoje związki i przywiązanie do tradycji poprzez pokrewieństwo z wiejskimi duchownymi. Podczas spotkań nie może zabraknąć dobrze przygotowanych opowieści pokazujących cierpienia polskich rodzin chłopskich za czasów komunizmu i obecnej władzy.

– Ważnym fragmentem każdego spotkania muszą być zapewnienia o podjętych już pierwszych krokach (faza negocjacji z resortem cyfryzacji) doprowadzenia do danego terenu szybkiego internetu oraz budowy fabryk przetwórstwa owocowego i spożywczego (zaawansowane rozmowy w Warszawie).

Wierząc we wzbogacenie Dyrektywy o własne pomysłowe rozwiązania, życzymy naszym kandydatom sukcesu”.

CO MNIE ZDUMIEWA

Panowie prezydenci

Katarzyna Łaniewska

Były prezydent RP Bronisław Komorowski i obecny prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski niedawno wypowiedzieli się w środkach masowego przekazu. Znając wypowiedzi przedstawicieli totalnej opozycji, myślałam, że nic już mnie nie zaskoczy. A jednak...

Były (na szczęście) prezydent Polski w radiu, już po ogłoszeniu tzw. piątki Kaczyńskiego, pouczał naród: 500+ – brać, trzynastą emeryturę – brać, niższy podatek – brać. Wszystko brać, brać i brać. Zrobił pauzę... i dodał: nic nie podpisywać! Czyli nie ponosić konsekwencji i odpowiedzialności za to, co się brało i w czym się uczestniczyło. I za to, co się obiecało. Chyba kierował się swoimi osobistymi poglądami i poczynaniami. Pan Komorowski znany był z tego, że gdy pełnił urząd prezydenta, swoje prywatne mieszkanie wynajął na długi okres, spodziewając się królowania przez dwie kadencje. Gdy go jednak nie wybrano ponownie, to rzutem na taśmę zadziałał tak, by wynająć sobie mieszkanie na koszt Kancelarii Prezydenta. Gdy opuszczał swoje stanowisko, brał, co mu w ręce wpadło: meble, obrazy i przedmioty gospodarskie. A teraz ten pan poucza naród.

Słowa obecnego (niestety) prezydenta Warszawy po prostu wbiły mnie w fotel. Mówił: „pisowskie szczuje”. Wsłuchiwałam się, mówił dość wyraźnie: „szczuje pisowskie”. My, sympatycy lub wyborcy PiS, szczujemy, czyli zachęcamy do złego? To język naszej elyty politycznej. To naprawdę jest smutne.

Pomijając już to, co pan Trzaskowski wyczynia, zapominając o tym, co warszawiakom naobiecywał, nie będzie tego realizował, bo to rząd powinien. Gdy odbywają się sesje rady miasta, na które przychodzą mieszkańcy Warszawy, by protestować, to znika i go nie ma. A jego zastępca odczytuje prywatny list od prezydenta miasta. Prywatny list to można sobie do cioci Marysi lub wujka Bolka wysłać.

Co my wynosimy z publicznych wypowiedzi tych panów? Proszę się zastanowić.

eprasa.pl 2761d14f30

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Przecieki kontrolowane

W tle ważnych informacji tlą się te bardziej opiniotwórcze

Gruchnęła wieść, że marszałek Kuchciński uprawiał seks z nieletnią Ukrainką, i to w miejscu do tego przeznaczonym, czyli w domu schadzek. Co gorsze, zawiadomione o tym CBA tuszowało sprawę. I tu się budzi pierwsza wątpliwość: co ma CBA do życia seksualnego polityków? Z tego wydarzenia towarzyskiego w podkarpackim domu publicznym jest ponoć nagrany film. To czemu nie ma go jeszcze na YT czy innym portalu?

Ryszard Makowski

Według wiadomych mediów i według wiadomych polityków największym jednak skandalem jest to, że sam oczerniany nie zabrał głosu i przez to powoli sprawa więdnie. Już są domniemania, że może ta Ukrainka nie była wcale nieletnia. „GW" weszła w rzekomy tryb obronny: „Nie ma jednak dowodów na to, by Kuchciński dopuścił się przestępstwa". Czyli na nasze: wiadomo, dopuścił się, tylko nie złapano go z rękę.

Żeby ludzie nie zwątpili gremialnie w homo politicus, są też dobre wieści. Pojawiła się fotografia Donalda Tuska na poczcie w Sopocie. „Król Europy" siedzi skromnie, czekając na swoją kolej. Jak zwykle melancholijnie zadumany. Potem stoi przy okienku. Nawet zamienił parę słów z autorem zdjęcia. I może być pięknie? Wzór! Nie żadne pisiorstwo z biało-czerwoną w klapie czy różańcem zawieszonym w samochodzie.

I tak fachowcy od mediów formatują polityków. Z tym że polityków PiS nie ma co żałować. Zgadzają się, by wytwórnie fake newsów hasały w najlepsze. A że takowe mogą ich perfidnie zdmuchnąć ze świecznika. No cóż, widać lubią adrenalinę.

eprasa.pl 2761d14f30

Zawistowski prezentuje: ***Komisarz***

Wycinki z przeszłości

Załoga karabinu maszynowego na stanowisku bojowym – zapowiadał w 1937 r. jeden z wiosennych numerów pisma „Wiarus", magazynu dla podoficerów Wojska Polskiego. O czym jeszcze donoszono?

„Święto oswobodzenia Kujaw (6 stycznia 1937 r.) połączono w Inowrocławiu z ekshumacją zwłok zamordowanego powstańca w 1918 r., Jakuba Olejnika, i złożeniem ich na cmentarzu powstańców. Uroczystość rozpoczęła się apelem, po czym odbyło się nabożeństwo. Zebrały się tłumy.

Rada i pracownicy Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych w Warszawie zadeklarowali 111 tys. zł na Fundusz Obrony Narodowej. Ofiara ta będzie wręczona przez delegację na specjalnej audiencji marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi.

Tymczasowe zamknięcie rachunków skarbowych za miesiąc grudzień 1936 r. wykazują dochody w wysokości 192,8 mln zł i wydatki w kwocie 192,2 mln zł. Za tym nadwyżka budżetowa za ten miesiąc wyraża się okrągłą kwotą 600 tys. zł. Za okres 9 miesięcy gospodarki narodowej nadwyżka wynosi 2,6 mln zł. W roku poprzednim był deficyt.

W ostatnich miesiącach roku ubiegłego nastąpił znaczny wzrost importu przez Gdynię surowców dla przemysłu hutniczego, a w szczególności żelastwa i rud. W grudniu przybyło do portu gdyńskiego 70 statków z ładunkami tego typu". ***(mk)***

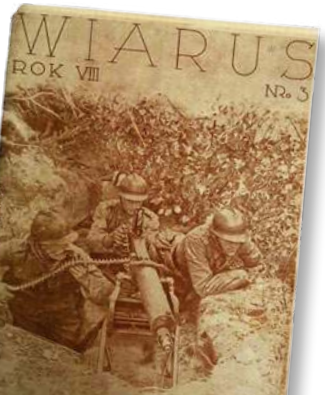

Non omnis moriar

Leszek Długosz

Przystała do polszczyzny z własnego wyboru. Jeden z najwspanialej rokujących talentów przedwojnia. Inteligencja, oryginalna wyobraźnia, kreatywność, także językowa. Na dodatek olśniewająca uroda. Bardzo semicka. W czas okupacji nie był to szczególny prezent losu. Ukrywała się w Warszawie, we Lwowie, na koniec w Krakowie. Tu aresztowana i rozstrzelana, niewiele przed oswobodzeniem miasta.

Zuzanna Ginczanka (1917–1944)

Non omnis moriar – moje dumne włości,
Łąki moich obrusów, twierdze szaf niezłomnych,
Prześcieradła rozległe, drogocenna pościel
I suknie, jasne suknie pozostaną po mnie.

Nie zostawiłam tutaj żadnego dziedzica
Niech więc rzeczy żydowskie twoja dłoń wyszpera,
Chominowo, lwowianko, dzielna żono szpicla,*
Donosicielko chyża, matko folksdojczera.
Tobie, twoim niech służą, bo po cóż by obcym.
Bliscy moi – nie lutnia to, nie puste imię
Pamiętam o was, wyście, kiedy szli szupowcy
Też pamiętali o mnie. Przypomnieli i mnie.
Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze
I zapiją mój pogrzeb i własne bogactwo:

Kilimy i makaty, półmiski, lichtarze –
Niechaj piją noc całą, a o świcie brzasku
Niech zaczną szukać cennych kamieni i złota
W kanapach, materacach, kołdrach i dywanach.
O, jak będzie się palić w ręku im robota,
Kłęby włosia końskiego i morskiego siana,
Chmury prutych poduszek i obłoki pierzyn
Do rąk im przylgną, w skrzydła zmienią ręce obie;
To krew moja pakuły z puchem zlepi świeżym
I uskrzydlonych nagle w aniołów przerobi.

** nazwisko konfidentki*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 2761d14f30

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Niemcy jak zamurowani

Rozmaite stereotypy trzymają się mocno. Np. taki, który mówi, że najliczniejszy i najsilniejszy gospodarczo kraj Unii zasługuje na przewodzenie Europie nie tylko ze względu na swój ciężar gatunkowy, tj. ilościowy, lecz także dlatego, że skutecznie uporał się z cieniami hitlerowskiej przeszłości i zbudował już u siebie demokrację wzorcową. To jest taką, jakiej można nauczać inne kraje, które na drodze postępu tak daleko jak Niemcy jeszcze nie zaszły (ale chciałyby).

Nic dziwnego zatem, że nasi postępowcy są często bardzo proniemieccy. I że skwapliwie korzystają z nauczania oferowanego nam np. przez liczne i dobrze zorganizowane niemieckie fundacje, które zresztą działają nie tylko w Polsce.

Gdy jednak z faktami się bliżej zakolegujemy, okazuje się, że ta wzorcowa demokracja nie tylko ma kłopoty z zarządzaniem bodaj czy nienadmierną już wielokulturowością, lecz przede wszystkim nie radzi sobie z usunięciem śladów muru berlińskiego strzegącego społecznych podziałów.

Ta wzorcowa demokracja nie radzi sobie z usunięciem śladów muru berlińskiego strzegącego społecznych podziałów

DEUTSCHE WELLE INFORMUJE

„Wschodni Niemcy zajmują tylko 1,7 proc. najlepiej opłacanych stanowisk w Niemczech, co udowodniła analiza naukowa uniwersytetu w Jenie z roku 2017. Ten odsetek jest o wiele mniejszy niż udział wschodnich Niemców w populacji RFN wynoszący 17 proc. Na 80 państwowych uniwersytetach w Niemczech kierownicze stanowiska zajmują wyłącznie zachodni Niemcy. Jest wiele przykładów, które ukazują, że cała władza decyzyjna w gospodarce, wymiarze sprawiedliwości, armii, administracji, badaniach naukowych i oświacie prawie 30 lat po zjednoczeniu Niemiec leży w przeważającej części w rękach zachodnich Niemców".

ODPOWIEDNIE GESTY

„Lars Vogel jest naukowcem z uniwersytetu lipskiego badającym elity. [...] Kto należy do elity, ten jako następcę rekrutuje osoby podobne do niego pod względem pochodzenia, wykształcenia czy przebiegu kariery. Studia na odpowiednim uniwersytecie, idealnie pasujący kierunek studiów, klub golfowy – te drogi dotarcia na szczyty są w Niemczech mało przejrzyste – twierdzi lipski naukowiec. Wschodnim Niemcom brakuje często takiej wiedzy i dojścia do odpowiednich kręgów. Chodzi przy tym nawet o odpowiednią mimikę, gesty i postawę ciała, czyli o dość subtelne sygnały, właściwe wyższym sferom. Zachodni Niemcy zazwyczaj lepiej orientują się w tych kodach".

W LONDYNIE TAK, W BERLINIE NIE

Urszula Ptak, autorka interesujących esejów publikowanych przez „Krytykę Polityczną", zauważa: „W Berlinie, w Monachium, Hamburgu około jednej czwartej wszystkich mieszkańców legitymuje się innym niż niemiecki paszport. To, co jednak np. w takim Londynie jest oczywistością, nie musi nią być w Berlinie. Pamiętam, jak parę lat temu pytałam niemieckie koleżanki zakochane w multikulti, jak to jest, że w Londynie w każdym banku, na poczcie, w drogówce, w sklepach pracują ludzie wszystkich możliwych odcieni skóry, a w Berlinie nie. Nigdy nie widziałam czarnej urzędniczki na poczcie, w banku, w jakimkolwiek urzędzie, a jedyny czarny policjant w Berlinie został zdjęty z pracy na ulicy, bo ludzie wciąż go obrażali. Moi rozmówcy byli zawsze zdziwieni tym pytaniem, najczęstsza odpowiedź brzmiała: »Przecież wszystkie sklepy z warzywami są tureckie«".

KAPITAŁOWI MUR NIESTRASZNY?

Wzorcowa niemiecka demokracja, wzorcowe zwalczanie rasizmu, wzorcowa integracja socjalna. To wszystko pozostaje bezradne wobec muru strzegącego te prawdziwe elity.

Jasno widać, że zjawisko, które socjologowie określają mianem krążenia elit, demokratyczne Niemcy mają solidnie przyblokowane. I to zarówno w wewnętrznym wymiarze klasowym, jak i międzyetnicznym. Najwyraźniej nie pomaga tu nawet niemieckie państwo prawa równego dla wszystkich...

Ale w krążeniu i pomnażaniu kapitału mało kto może się z nimi równać. Jest tu co nieco do przemyślenia. I wnioski będą chyba mało stereotypowe.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 2761d14f30

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE/PL

HOŁDYŃSKA • JAKUBOWSKA • ŁOSIEWICZ • BAREŁKOWSKI • BIEDROŃ • FIJOŁEK • KARNOWSKI • KARNOWSKI • MAJEWSKI • OTOKA-FRĄCKIEWICZ • PYZA • WIKŁO • WOLNY

OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange™ — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

Książka na święta

z tygodnikiem SIECI

w sprzedaży od 8 kwietnia

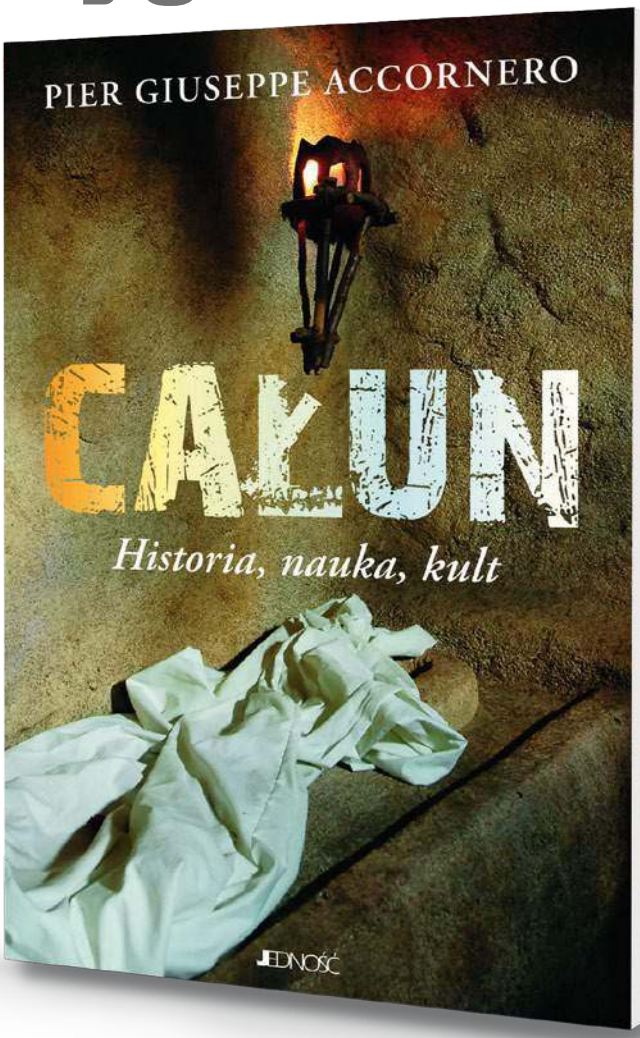

- Niezwykłe losy cennej relikwii
- 120 lat historii badań nad Całunem
- Aktualny stan wiedzy o Chrystusowym płótnie
- Pasjonujące analizy naukowców
- 500 lat kultu liturgicznego

KUP TYGODNIK Z KSIĄŻKĄ W CENIE 9,90 ZŁ
W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY M.IN.:

Empik • Relay • Inmedio • 1-Minute
• Tabak • Świat Prasy • Salony Prasowe „Kolportera"